

PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Rok III • Nr 3 (10)

2017

J. Andrzejczak
A. Bańkowska
Baśka eR.
Z. Beszczyńska
K. Beśka
J. Binkowski
T. Bochwic
T. Bóldak-Janowska
K. Boruń-Jagodzińska
K. Choiński
M. Dąbrowski
L. Długosz
C. Dobies
P. Dunin-Wąsowicz
J. Durski
B. Dylan
V. Fischl (A. Dagan)
S. Gibaszek
J. Hartwig
H. Heine
J. Jagiełło
A. Janowska
E. Kasjanowicz
R. Kipling
ks. J.A. Kobierski
H. Kowalewska
J. Kulmowa
G. Kurylewicz
R. Lasota
A. Leyva

A. Lizakowski
G. Łatuszyński
J. Marciniak
M. Martinović
U. Michalak
P. Müldner-Nieckowski
A. Nasitowska
W. Oramus
M. Orlic
J. Pankiewicz
A. Patey-Grabowska
M.K. Piekarska
B. Postawa
K. Rodowska
E. Roszak-
-Andrukiewicz
K.S. Schreyer
J. Sendlak
A. Sexton
M. Strękowska-
-Zaremba
T. Strzałka
K. Sutarski
M. Szyszko-Kondej
J. Śleszyński
K. Świegocki
S. Vukanović
G. Walczak
B. Wasilewska
M. Zelwan



Joanna Kulmowa



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok II Nr 3 (10) 2017

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska

Prezes OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

(*poezja, dramat*)

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Grzegorz Łatuszyński (*esej, krytyka*)

Maciej Parowski (*proza, esej*)

Małgorzata Strękowska-Zaremba (*proza*)

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Korekta Małgorzata Strękowska-Zaremba

Skład Piotr Müldner-Nieckowski

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Po prostu dycha 3

Anna Nasiłowska Julia Hartwig 5

ks. Janusz Adam Kobierski

Konkurs im. ks. J. Twardowskiego .. 7

Konkurs poetycki OW SPP 15

Nowy Zarząd Główny SPP 20

NOWI CZŁONKOWIE OW SPP

Rafał Lasota 18

DLA DZIECI - MŁODZIEŻY

Zofia Beszczyńska, Chatka z piernika 21

Wiersze o strachach... 23

Rafał Lasota, Bardzo dziwny sen,

Na skrót szybciej, Nocą wszystko

STRASZNIEJE 27

Małgorzata Karolina Piekarska

LO-teria 29

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Rotmistrz Witold Pilecki 41

ESEJE

Konrad Sutarski

Poezja i historia 47

KRYTYKA

Beata Wasilewska

Tajemnica wielkiego astronoma

(Krzysztof Beśka) 53

Michał Dąbrowski

Syn dwóch matek

(Małgorzata K. Piekarska) 56

Adam Lizakowski

Blowing in the Wind (Bob Dylan) .. 57

MYŚLI I AFORYZMY

Jacek Durski Myśli 64

PIEŚNI

Małgorzata Szyszko-Kondej

Zostaw serce na ziemi 66

POEZJA

Janusz Andrzejczak

Ogłoszenie 67

Jerzy Binkowski

Listeczki płaczące na wierzbie,

Jaskroń 68

Cezary Dobies		Krzysztof Choiński	
Odpowiedź	69	Misja (Polski los)	134
Sylwia Gibaszek		Paweł Dunin-Wąsowicz	
Podróż z przesiadką	71	Muniek na pieprzonym Żoliborzu (Dzika biblioteka)	139
Joanna Jagiełło		Gabriela Kurylewicz	
Przystanek łąka, Wpadnij do nas kiedyś	74	Zaczarowane lusterko	144
Eugeniusz Kasjanowicz		Joanna Jagiełło	
List do George Sand	77	Szklarnia	146
Joanna Kulmowa		Hanna Kowalewska	
Żeby nie wiedzieć, Rówieśnicy, Skrzydła poetów, Wszystko	78	Julita i huśtawki	150
Jerzy Marciniak		Rafał Lasota	
Pieśń dla Laury	80	Przekłete kochane Kresy	155
Piotr Müldner-Nieckowski		Wiesława Oramus	
Baloniki z helem, Pod słońce, Tysiąc dwieście, Z prywatnego..., Portret... ..	82	Nie tylko słodkość	160
Anna Nasiłowska		Jacek Pankiewicz	
La Nause, Róża, Lato, Jaskółki.	85	Wyrok. Ściąga do przyszłej historii świata. Odczucie pokus.	163
Alicja Patey-Grabowska (Steffen)		Joanna Sendłak	
Do C.K. Norwida, Okno, Las.	87	Piramida	175
Baśka eR. A jeśli już nie ma, ***, rozzrasta się we mnie	90	Kazimierz Świegocki	
Krzysztof Saturnin Schreyer		O czasie	184
List do żony, Nadzieja	92	PRZEKŁADY	
Jerzy Śleszyński		Anna Bańkowska	
Dobra wiadomość, Nieruchomość na sprzedaż	94	Rudyard Kipling	188
Kazimierz Świegocki		Katarzyna Boruń-Jagodzińska	
Blues o Wielkim Ptaku, Wiatr od Boga, Przed lustrem, Ciało	96	Viktor Fischl (Avigdor Dagan) ...	190
Grzegorz Walczak		Joanna Jagiełło	
Treny Mojej Matce	99	Anne Sexton	194
Marta Zelwan		Anita Janowska	
Sezon Jaszczurek (czarne morze, sieć, iluzjon, przeprowadzka)	104	Heinrich Heine	198
PROZA		Grzegorz Łatuszyński	
Janusz Andrzejczak		Miraś Martinović	204
W głębi zwierciadła	107	Slobodan Vukanović	211
Krzysztof Beška		Milan Orlić	215
Cień na piasku	109	SATYRY	
Teresa Bochwic		Alicja Patey-Grabowska (Steffen)	
Świniak	114	W karnawałowym tramwaju, Pchła, Osioł	220
Tamara Bóldak-Janowska		WYWIADY	
Krótką rozmową połoźnicza... ..	129	Krystyna Rodowska	
		rozmawia z Angelem Leywą	222



Po prostu dycha

Jest taki stary dowcip: „Co to jest? Leży na ulicy i nie dycha?”. Odpowiedź brzmi: „Dwie dychy! ”. Tak mi się przypomniał przy okazji prac nad dziesiątym numerem naszego Kwartalnika. Niby słowo dycha uważane jest za slang, ale... czy rzeczywiście? Jak podaje stary słownik języka polskiego pod redakcją niezapomnianego Witolda Doroszewskiego słowo dycha wzięło się z... francuskiego i jest zgrubiałą wersją liczebnika „dix” oznaczającego dziesięć. Podobno pisownia słowa dycha przez „ch” wynika stąd, że pochodzi ono z francuskiego używanego w... USA, w stanie Luizjana. Cóż... język to ciekawa sprawa, a pochodzenie niektórych słów to często zadania dla językoznawcy o zacięciu detektywa. Dycha z francuskiego? *C'est possible!* A zatem *Revenons à nos moutons*, jak to było w starej farisie mistrza Patelina, czyli do dychy. Bo oto z drugiej strony, co widać już w starym dowcipie, dycha to także trzecia osoba liczby pojedynczej czasu teraźniejszego od czasownika dychać, który dawniej oznaczał „oddychać, zwłaszcza z trudem, ciężko; dyszeć, sapać”. A ja tak myślę, że przy tym dziesiątym numerze to my jednak wreszcie oddychamy pełną piersią. Okrzepliśmy trochę, zgrubieliśmy, jak nie przymierzając to wspomniane francuskie „dix”, bo ten numer to sporo stron.

Niestety nie obywa się bez pożegnań. Odeszła nasza Koleżanka i honorowa prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich – Julia Hartwig. A przecież nie tak dawno, gdy startowaliśmy jako kwartalnik, czyli te dziesięć numerów temu, przysłała nam krótkie słowo wstępne, rodzaj błogosławieństwa dla naszej działalności. Choć od roku mieszkała w Stanach Zjednoczonych u córki w Pensylwanii cały czas mieliśmy wrażenie, że jest z nami. Być może dlatego, że zimą na zjeździe SPP w Krynicy nasz kolega Adam Kulig prezentował swój film dokumentalny, którego była bohaterką. Nakręcił go jeszcze w 1995 roku jako dziennikarz TVP Lublin, bo Julia Hartwig była lublinianką z urodzenia. Odeszła mając 96 lat.

Na naszych łamach wspomina Ją nasza koleżanka i jednocześnie Prezes Zarządu Głównego – Anna Nasiłowska.

U bieżącym numerze kwartalnika następuje pewna wymiana pokoleń. Pojawili się bowiem nowi autorzy, z których jeden – Rafał Lasota

– przedstawia się jak przystało na nowego członka naszego oddziału. Robi to w sposób niezwykle ciekawy.

Co jeszcze w numerze? Po raz pierwszy, jako Oddział i jako Kwartalnik ogłosiliśmy konkurs literacki dla debutantów, którego plon znajduje się w dziale *Z życia OW SPP*. Mamy gorącą nadzieję, że jego zwycięzcy zostaną kiedyś poetami pełną gębą, a co za tym idzie także członkami naszego stowarzyszenia. W tym samym dziale czytelnicy znajdą wiersz Cezarego Dobiesa, najbardziej poetycką odpowiedź na pytanie o poezję, które padło podczas jego spotkania autorskiego, a na które poeta wtedy nie odpowiedział, bo rzecz wymagała przemyślenia.

Poza tym w numerze jak zwykle jest różnorodnie. Trochę twórczości dla dzieci, trochę poezji dla dorosłych – m.in. fragmenty najnowszego tomiku Joanny Kulmowej zatytułowanego *Jeszcze 37 wierszy*, w którym każdy utwór jest poetycką perełką. Są fragmenty twórczości nieopublikowanej, nad którą nasi autorzy dopiero pracują. Mam tu na myśli poważną prozę Krzysztofa Choińskiego i mniej poważną, ale nie beletrystyczną Pawła Dunin-Wąsowicza. Znów możemy przeczytać utwory dramatyczne, krytyczne i tłumaczenia, wśród których jest m.in. stary wiersz Rudyarda Kiplinga w nowym tłumaczeniu Anny Bańkowskiej.

I tak na koniec: znajomy prawnik powiedział mi ostatnio, że w gwarze więziennej dycha oznacza dziesięcioletni wyrok. Ja liczę na minimum dwie dychy... wydawania *Podglądu*. A co do więzień to znam historie co najmniej kilku pisarzy tworzących w zamknięciu: Daniel Dafoe, Karol May, Markiz de Sade, Alfred Szklarski czy Janusz Krasiński – nasz wieloletni prezes. Poza tym – jestem optymistką.

Małgorzata Karolina Piekarska

Julia Hartwig

14.08.1921, Lublin – 14.07.2017, Pensylwania, USA



Julia Hartwig. Fot. Mikołaj Rek

Julia Hartwig, urodzona w 1921 roku w Lublinie, była jednym z najważniejszych głosów poezji polskiej XX i początku XXI wieku. Równieśniczka poetów pokolenia wojennego, jako kurierka AK – jak oni – była uczestniczką konspiracji. Po wojnie poświęciła się pracy literackiej. Była autorką biografii Guillaume Apollinaire'a, w której po raz pierwszy naświetliła sprawę polskich przodków jednego z najważniejszych poetów awangardy francuskiej XX wieku. Jej książka została przetłumaczona na francuski.

Julia Hartwig bardzo dużą część swojego życia poświęciła budowaniu mostów między kulturami. Tłumaczyła poezję amerykańską i francuską, pisała o współczesnej Ameryce (*Dziennik amerykański*, 1980) i o literaturze francuskiej.

Pierwszy tom poetycki *Pożegnania* opublikowała w 1956 roku, w okresie gdy energia przełomu politycznego dawała nadzieję a literatura wyzwalała się spod dyktatu polityki. Twórczość poetycką Julii Hartwig od początku znamionowało łączenie kultury przeszłości z nowoczesnością. To poezja długiego trwania, toteż krytycy (jak Ryszard Przybylski w swojej książce



Uroczystość 90. urodzin Julii Hartwig (pierwsza z prawej) w Oborach, Konstancin-Jeziorna 2011 r. Po wygłoszeniu laudacji przez Adama Pomorskiego, prezesa PEN Clubu (pośrodku), przemawia Jacek Moskwa, prezes OW SPP (pierwszy z lewej).

To jest klasycyzm) włączali jej twórczość w ponadczasowy prąd poszukiwań klasycyzmu, który wciąż musi się odnawiać, ale sięga też nieustannie do greckich i rzymskich wzorów europejskiej kultury. Poezja Julii Hartwig nie była oparta o osobiste wyznania. W młodości posłuchała rady Czesława Miłosza, by szukać uogólnienia i dystansu.

W PRL Julia Hartwig należała do intelektualistów, którzy potrafili zachować niezależność. Jej własna twórczość rozkwitła po 1989 roku, po tomie *Czułość* z 1992 roku. Wypracowała własną formułę zapisów, jaką były prozatorskie „błyski”. W ostatnich tomach żegnała się ze światem, bez tragicznego poczucia buntu, ale z żalem i uśmiechem. Spokój i jasna świadomość to najważniejsze przesłanie twórcze jej późnych lat.

Była jedną z osób, które po 1989 roku zakładały Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Za zasługi dla środowiska przyznano jej tytuł Honorowego Prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Żegnamy ją ze smutkiem i z wdzięcznością.

Anna Nasiłowska, Prezes SPP

Konkurs Literacki

im. ks. Jana Twardowskiego 2017

W dniu 29 marca 2017 r. odbyło się posiedzenie Kapituły Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego w celu przyznania nagrody za rok 2016. W minionym roku nowe tomy wierszy również wydało wielu interesujących poetów.

Obecni jurorzy:

Tomasz Burek – krytyk literacki
 Wojciech Kaliszewski – poeta, krytyk literacki
 Grzegorz Zegadło – dyrektor Książnicy Pruszkowskiej
 Jan Rodzim – wydawca poezji ks. Jana Twardowskiego
 Stanisław Grabowski – sekretarz Kapituły, poeta, pisarz,
 ks. Janusz Adam Kobierski – przewodniczący Kapituły, poeta,
 krytyk literacki

szczególną uwagę zwrócili na książki następujących Autorów:

1. Cezary Maciej Dąbrowski *Ech, żywocie*, Oficyna Wydawnicza „Agawa”, Warszawa 2016.
2. Leszek Marek Długosz *Ta chwila, ten blask lata cały...*, Instytut Książki, Kraków 2016.
3. Andrzej Gnarowski *Cantata*, Wydawca: Adam Marszałek, Toruń 2016.
4. Urszula Michalak *Dzień za dniem, rok za rokiem*, ZLP Oddział w Lublinie, Lublin 2016.
5. Marcin Świetlicki *Drobna zmiana*, Wydawnictwo a5, Kraków 2016.
6. Teresa Tomsia *Kobieta w kaplicy*, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2016.
7. Wojciech Wencel *Epigonia*, Wydawnictwo Arcana, Kraków 2016.

Po dyskusji Nagrodę przyznano **Urszuli Michalak** (Siostrze Urszulance). Ponadto Medal im. ks. Jana Twardowskiego za całokształt twórczości przyznany został **Leszkowi Markowi Długoszowi**.
 Gratulujemy!

Uchonorowanie Laureatów odbyło się w dniu finału Konkursu 28 maja (niedziela) br. o godz. 17.00 w Pałacyku Sokoła w Pruszkowie, ul. Kościuszki 41. Wydarzenie ubogacił liryczny koncert zespołu A MY TACY pod nazwą „Daj się zaczarować”. Piosenki do wierszy Barbary Białowas, która słowem wiążącym nastrojowo je zapowiadała, wprowadziły obecnych w atmosferę zamyślenia i wręcz właśnie zauroczenia.

Stan ten został w nas pogłębiony, gdy na koniec p. Leszek Długosz przeczytał kilka swoich wierszy i kilka zaśpiewał, akompaniując sobie na fortepianie.

ks. Janusz Adam Kobierski

LAUDACJA NA CZEŚĆ LESZKA DŁUGOSZA
Z OKAZJI PRYZNANIA MEDALU
im. ks. JANA TWARDOWSKIEGO

Stanisław Grabowski

Twórczość na medal

Już po raz trzeci Kapituła Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego przyznała medal im. ks. Jana Twardowskiego za zasługi dla poezji polskiej. To ważne odznaczenie po raz pierwszy otrzymała Teresa Ferenc. Drugim nagrodzonym, w ubiegłym roku, był Erwin Kruk. W 2017 roku, w marcu, Kapituła pod przewodnictwem księdza poety Janusza Adama Kobierskiego, na wniosek Tomasza Burka, tym zaszczytnym medalem wyróżniła Leszka Długosza.

Długosz to człowiek-instytucja, to ktoś obdarzony wieloma talentami. Aktor, pieśniarz, autor tekstów piosenek, pianista, kompozytor, poeta, felietonista... Nazwano go śpiewającym poetą. Już w 1972 roku w miesięczniku „Odra” pisano o nim: „To indywidualność skomplikowana i bogata. W »Piwnicy« [pod Baranami] egzystuje na prawach kontrastu, jest bowiem dla niej właściwie za subtelny i niezbyt pasuje do cudownej błazenady przez piwniczną uprawianej”. Czy tak było istotnie? Nie nam to rozstrzygać.

Leszek Długosz (debiut poetycki w 1964 roku w „Studencie”) w 1973 roku debiutuje lirycznym tomikiem opublikowanym przez Wydawnictwo Literackie, który nosi tytuł *Lekcje rytmiki*. Michał Woroniecki pisał o nim w „Nowych Książkach”, że jest „nareszcie autentycznym dokumentem

przewycięzania walki wewnętrznej, jest pewnym procesem twórczym, skłaniającym czytelnika do szacunku”. Jednak może ważniejsze dla poetyki Długosza były nie głosy zawodowych krytyków, lecz przyjaciół, choćby Stanisława Czycza, autora sławnego *Anda*, który tak mówił o początkach twórczości Leszka: „Powiadam ci. To jest (...) czyste i piękne. W tomie *Lekcje rytmiki* jest wiele intrygujących Czytelnika utworów poetyckich. Zwracamy uwagę np. na wiersz pod tytułem *Kołysanka*. Ciekawi nas jednak, jak młody twórca widział wówczas swoją *ars poetica*. Dlatego wybieramy z tego tomu wiersz *Urodziny*. Zaczyna się tak:

Ponieważ wieczór nie obiecywał nic ciekawego
 Przykryłem się derką z nikotyny
 I wyruszyłem na szosę
 – Zaraz się zresztą wiersz pojawił
 – Odrzekł że może w każdym kierunku
 Oraz do wielu znaczeń
 – Pomknęliśmy autostradą
 Linijką prostą tak jak strzelił
 – Wiatr tylko w uszach łopotał frazą
 I dodawaliśmy metafory
 – Ach co za kompan się przydarzył
 [...]

Z tym „kompanem” Leszek Długosz już się nie rozstał. Towarzyszy od-tąd pocie, który co kilka lat, dość zresztą nieregularnie, wydaje kolejne zbiorki wierszy, nie zaniedbując przy tym roli krakowskiego barda, choć konkurencję miał przez lata nieliczną, dość wspomnieć związaną z nim przyjaźnią i wspólnymi występami Ewę Demarczyk.

Po latach zasłużył także choćby na taką ocenę: „Wyjątkowa trafność instrumentacji tekstów, połączona ze specyficznym tembrem głosu, wyczu-ciem tempa, artykulacji i dynamiki sprawiają, że piosenki artysty posiadają indywidualny charakter, fascynują słuchaczy, zjednując mu wielu sympatyków”.

Sławę poza „Piwnicą” zyskuje także pierwsza płyta długogrająca arty-sty czy ówczesznie dobrze odbierane kasety.

W 1977 roku wychodzi drugi tom poezji Leszka Długosza zatytuło-wany *Na własną rękę*. Z tego zbiorku polecamy uwadze choćby wiersze: *Niedziele dzieciństwa* i *Szkic do portretu pani N*.

Trzeci opublikowany przez Długosza zbiór nosił tytuł *Wywoływanie wilka z lasu*. Krytyk Maciej Krassowski w „Życiu literackim”, w 1980 roku, tak podsumował ocenę owego tomu: „Jest to poezja, której praw strzeże jej imię własne – własna miara liryki”.

Potem były kolejne poetyckie książki: *Śpiewnik ilustrowany; Pewnego dnia; Lekkie popołudnie* (1989); *Gościnne pokoje muzyki* (1992); *Album krakowski; Z tego co jest* (premiera w warszawskim Klubie Księgarza); *Podróże* (z rysunkami Janusza Kapusty); *Po głosach, po śladach...*

Tomem, który stanowi wybór z poezji Długosza, choć nie pierwszy, jest niejako przeglądem jego poetyki, jego twórczego dojrzewania czy tematyki jest obszerny zbiór *Dusza na ramieniu* z podtytułem *Wiersze i piosenki*. Na czwartej stronie okładki tego tomu czytamy: „Nowy tom wierszy i piosenek Leszka Długosza – krakowskiego poety, pieśniarza, barda »Piwnicy pod Baranami« – to zarazem premiera kilkudziesięciu nowych utworów i przypomnienie najważniejszych tekstów, które były publikowane w latach 1973–2001”.

Z tego tomu, skoro interesuje nas „sztuka poetycka” krakowskiego twórcy, cytujemy fragment wiersza pt. *Pisanie wierszy*:

Nie, to nie tak
 – Rozłożyć papier
 W stronę okna szepnąć:
 „Proszę połączyć z Muzą”.
 To jest inaczej
 – Dużo
 Dużo razy
 Wcześniej
 Musiały startować samoloty
 Z przylądka wyobraźni
 Z „bazy pragnień”
 Gwałtownie (do bólu aż silnika)
 Już, już zdawało się: dościgną
 Wrócą
 I trzeba było taić katastrofę
 (Ile razy?)
 Pisanie wierszy...?
 To znów się zbierać
 Sklejać się na nowo

[...]

Pisanie wierszy

– To na papierze podchodzić, węszyć

Niczym na skórze własnej sprawdzać

[...]

Pisanie wierszy...

– Niewiele

Ale i co więcej?

Inne tomy poety: *Pamiętać*, wydany w Bibliotece Bardów z rysunkami Franciszka Maśluszczaka (inni twórcy w tej serii to: Kaczmarek, Kleyff, Poniedziałki), *Na rynku usiąść w Kazimierzu...*, z ilustracjami Jerzego Gniatowskiego.

Nie sposób w krótkim tekście napisać o wszystkich. Z całą pewnością poezja Leszka Długosza jest rozpoznawalna nie tylko od strony formy, stoi za nią lekkość stylu, choć przecież pozorna, budowana jest kunsztownie, ze znajomością sztuki poetyckiej, często ma charakter dialogu, autor dialoguje sam z sobą, ale i z innymi, słucha, polemizuje... Widać jak bardzo mu zależy na kontakcie z czytelnikiem, wiele w tej poezji elementów muzycznych, nawiązań do klasyki literatury, do nieobecnych już twórców, do antyku, a więc należy docenić jej wartości kulturowe, ważne są w niej impresje z miast, w których poeta bywał, to jakby jego poetycki dziennik, bogaty we wrażenia i refleksje. Cechuje ponadto tę lirykę własny, rozpoznawalny język, własna fraza.

Doceniając poezję Leszka Długosza, jego od dziesiątków lat twórczą pracę w poetyckim słowie, nie możemy nie dostrzec i prozy tego autora. Przykładem jakże wymownym książka *Pod Baranami. Ten szczęśny czas...* Mam przed sobą jej drugie wydanie z 2016 roku, w twardej oprawie, pełne zdjęć, z których każde przywołuje nostalgię i miniony „szczęśny czas”. Roi się w niej od anegdot, świetnych charakterystyk dawnych towarzyszy z Piwnicy. No, ale podtytuł tej książki: *Sceny i obrazy z życia piwnicznego w Krakowie w latach 60. i 70. XX wieku* wyjaśnia wszystko. Na czwartej stronie okładki biografia poety, która kończy się tak: „[...] Mistrz Mowy Polskiej 2007, przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego uhonorowany Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, przez prezydenta Andrzeja Dudę odznaczony Krzyżem Komandorskim”.

Dopełnijmy ową biografię tym, że poeta urodził się w 1941 roku w Zaklikowie i tam przebywał do osiemnastego roku życia, to jest

do matury, w młodości uczył się także gry na fortepianie. W 1959 roku podjął studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, które ukończył z tytułem magistra w 1964 roku. Zwróćmy uwagę, że z Zaklikowa młody maturzysta miał bliżej do uniwersytetu w Lublinie niż do Krakowa. A jednak wybrał Kraków, co w zasadniczy sposób miało wpływ na jego życie. Na uniwersytecie, najstarszym w Polsce, zaczynał drogę artystyczną od występów w Teatryku Piosenki UJ „Hefajstos”. Było to w 1963 roku. Dwa lata później Leszek Długosz, dzięki życzliwości Piotra Skrzyneckiego, znalazł się w „Piwnicy pod Baranami”. Z „Piwnicą” związał się na trzynaście lat, dopiero później robiąc karierę indywidualną, i dużo więcej uwagi poświęcając twórczości sensu stricto poetyckiej. Warto jeszcze wspomnieć, że od zawsze fascynował go francuski język, literatura, francuska piosenka. Ma w tym języku cały recital. Był stypendystą rządu francuskiego ze względu na zainteresowania twórczością Henry’ego de Montherlanta i przekłady literatury francuskiej na język polski.

Wiersze publikował także w prasie, m.in. w czasopismach: „Życie Literackie”, „Radar”, „Dziennik Polski”, „Teatr”, „Student”, „Szpilki”, „Tygodnik Powszechny”, „Scena”, „Czas”...

Jeśli chodzi o prasę to poza wierszami ogłaszał lub ogłasza także felietony w takich pismach jak „Rzeczpospolita”, „Czas Krakowski”, „Dziennik Polski”; w tygodniku „wSIECI” prowadzi „Okienko poetyckie”. Obecny jest także na antenie telewizyjnej i radiowej.

Swoje piosenki prezentował w większości krajów europejskich, także w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Rosji, na Syberii.

W 75. rocznicę urodzin Poety, w ubiegłym roku, ukazał się jubileuszowy wybór jego wierszy pt. *Ta chwila, ten blask lata cały*, który raz jeszcze potwierdził dojrzałość jego poezji, jej uniwersalny charakter, jej pasję i żarliwość, stałość poglądów; warto też zwrócić uwagę na metafizyczny ton tej liryki, jakże bliski poecie, ks. Janowi Twardowskiemu, którego imieniem nazwano medal przyznany Leszkowi Długoszowi.

Chciałbym zakończyć tę krótką jakże niepełną laudację, skromnym cytatem z wywiadu z Poetą. Powiedział w nim: „Z poezji nie da się wyżyć, ale bez poezji nie da się żyć”.

Stanisław Grabowski

LAUDACJA
O TOMIKU S. URSZULI MICHALAK

ks. Janusz Adam Kobierski

Wiersze jak piękna katecheza

Tegoroczny finał naszego Konkursu im. ks. Jana Twardowskiego jest naznaczony smutnym wydarzeniem. Bo oto 1 maja br. zmarł nasz główny juror pan Tomasz Burek. Już byliśmy po obradach Kapituły (29 III 2017). I jak zwykle pan Tomasz był najrzetelniej przygotowany. Zdołał przejrzeć (a wiele z nich przeczytać) 185 tomików poetyckich wydanych w 2016 roku. To prawda, że był w lepszej sytuacji od nas, bowiem przysyłano mu je na adres w Brwinowie, gdzie mieszkał. Tym samym czynił selekcję książek i przygotowywał się również do obrad Konkursu Orfeusza, który w lipcu br. ogłosi kolejny werdykt.

Pan Tomasz przybył do nas z kolejną niespodzianką. W tej dużej ilości książek co najmniej kilka jest godnych głównej nagrody. Trudność polega na wybraniu sprawiedliwym tej jednej najlepszej. I oto po wstępnej rozmowie, gdy już przedstawiliśmy swoje propozycje – pokazał nam tomik siostry zakonnej, urszulanki szarej, Urszuli Michalak z okładką pełną czerwonych maków jak widokówka imieninowa. Tytuł książki prosty: „Dzień za dniem rok za rokiem”.

Popatrzyliśmy po sobie zdziwieni. Ale pan Tomasz, zresztą i tym razem, oczarował nas swoją wypowiedzią.

Rzekł: „Oto wiersze jak strumień źródlanej wody – czystej, rześkiej, krzepiącej”. Przeczytał z książki trzy liryki, które nam się spodobały.

Wyznał też ze smutkiem, że nawet poetki próbują zwrócić na siebie uwagę językiem wulgarnym, że mało jest tomików pisanych czystą polszczyzną. Mocno podkreślił, że wiersze s. Urszuli Michalak wyróżniają się. I poprosił, by uwzględnić jego racje. Tyle pan Tomasz Burek. Przy finalnym głosowaniu ten tom wierszy jednogłośnie otrzymał aprobatę jako najlepszy.

W konkluzji należy nadmienić, że utwory zawarte w nagrodzonym tomiku ułożone są w cykl rocznych liturgicznych wydarzeń. Przypominają liryczny kalendarz albo poetycki brewiarz. Ażeby skomponować tak swoje wiersze, niezbędne jest doświadczenie i duża wiedza, przede wszystkim teologiczna. Ale też filologiczna, chodzi o cały zakres warsztatu pisarskiego – o język oraz całe bogactwo poetyckich środków wyrazu.

Autorka z wykształcenia jest filozofem z tytułem naukowym. Treści dotyczące wiary przez dziesięciolecia przekazywała słuchaczom w różnym wieku, w różnych środowiskach, w tym studenckich.

Drugi nurt tego przekazu to książki poetyckie w liczbie czternaśtu, w których znajdujemy osobiste świadectwo spotkania z Bogiem. Różnorodność przemyśleń pozwala treść tej liryki przyjąć jak piękną katechezę.

Witraż narodzenia

Gwiazda z Betlejem
w jodłowym śnie.

Niebo przytulone do ziemi
w kołysce horyzontu.

Bóg – Człowiek
płacze na sianie

* * *

Na weselu w Kanie
znowu zabrakło вина.

Nim świt
zarumieni się wstydem,
Matka jak kielich pokory,
zasłuchana u stóp Słowa
modli się o cud.

Mamy więc do czynienia z Poetką o bogatej twórczości. Przedmowy do Jej zbiorów pisali m.in. autorzy tak znani, jak: ks. Jan Twardowski, ks. Wacław Oszejka, ks. Jan Sochoń, ks. bp Józef Zawitkowski, ks. Ireneusz Skubiś, o. Jacek Salij, siostra Zofia J. Zdybicka.

Życzymy Siostrze Urszuli dalszych natchnień. I wierności temu wzniesłemu powołaniu, bo to jest przecież rodzaj powołania.

I gratulujemy oczywiście tegorocznej nagrody. Szczęść Boże!

ks. Janusz Adam Kobierski

„JEST U NAS KOLUMNA W WARSZAWIE”

Konkurs poetycki OW SPP dla debutantów

W roku 2017 przypada 90. rocznica sprowadzenia do Polski prochów Juliusza Słowackiego. Tablica poświęcona poecie wisi w centralnym miejscu w hallu Domu Literatury. Z naszych okien widać kolumnę, o której pisał w jednym ze swoich najśłynniejszych wierszy „Uspokojenie”.

W związku z tym Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Warszawie ogłosiło konkurs na wiersz inspirowany twórczością lub życiorysem Juliusza Słowackiego. Tytuł konkursu brzmiał: „Jest u nas kolumna w Warszawie”.

Głównym sponsorem było Wydawnictwo Literackie. A oto wyniki.

Po burzliwych obradach jury postanowiło przyznać nagrody następującym osobom:

III miejsce **Tomasz Strzałka** za wiersz pt. „Puławy”

II miejsce **Barbara Postawa** za wiersz pt. „Juliusz Słowacki”

I miejsce **Ewa Roszak-Andrukiewicz** za wiersz pt. „Królowi. Cześć!”.

Gratulujemy!

Tomasz Strzałka

Puławy

Puławy, ukochana osado Lubomirskich
Dlaczego dałaś się spalić w wieku osiemnastym?
Czy Sieniawski za mało miał walecznych bliskich?

Podarowałbym Wam nawet z nieba gwiazdki
Bylebyście sprawiły, że historia zapomniana
Pogodzi lud zwaśniony, pożegna niesnaski

Co jakiś czas pęka zablizniona rana
Którą zasklepić chciałby z nas niejeden
Głowiąc się nad tym od zmierzchu do rana

Tak nie wygląda nasz wymarzony eden
Żyjemy u Was już ładnych lat kilka
Może razem zlikwidujemy biedę

To stanie się nie wcześniej niż zęby jak u wilka
Spiłuje każdy na znak łagodności
A to długo potrwa, to nie będzie chwilką

Barbara Postawa

Juliusz Słowacki

Wieszczu wielki i... kruchy, targany natchnieniem,
Co pochodziło prosto z boskiego kosmosu,
Każdy twój wizerunek to oczy-płomienie.
Siła uczuć się mierzy z potęgą chaosu.

Ach, dobrze by usłyszeć, jak mówisz, jak wzdychasz!
Słyszeć Twój język giętki, widzieć wyraz twarzy,
Dostrzec, gdy na policzku łza jawi się cicha
Lub, gdy zamierasz, czując ducha przyszłych zdarzeń.

Wieszczu, Wieszczu prawdziwy, a wciąż... za tym Pierwszym...
Nie dla Ciebie owacje, wiwaty, zachwyty,
Choć cierpienie i miłość przelałeś do wierszy,
Choć gnałeś z aniołami ponad ziemskie szczyty.

Niech Ci nie będzie smutno, bo trafiłeś w krwiobieg,
W samo sedno polskości, w dusze, serca, zmysły!
Królom równy spocząłeś na wawelskim grobie,
A tym, których wzruszyłeś, nigdy łzy nie wyschły.

Jest kolumna w Warszawie... Czy bywasz tam duchem?
Daj odczuć swą obecność choć przez oka mgnienie,
Ze strof pozwól zaczerpnąć mądrość i otuchę,
I niech nas uspokoi Twe „Uspokoienie”.

Ewa Roszak-Andrukiewicz

Królowi. Cześć!

Nie dygoce z zimna,
jak na deszczu pies,
choć wodą ocieka –
nieruchomy wodospad.
Słysząc pod nią czasami
butelek brzęk i śpiew,
nietrudno się pod nią dostać.

Miewam wrażenie, że porusza
od czasu do czasu,
drogę wskazuje i daje cień.

Na zdjęciach czarno-białych
szkielety ludzkich istnień,
wojna pozbierała wspomnienia.

I choć ból uśmierzyć niełatwo jest,
zachwyca, buntuje, wzbudza lęk.

Rafał Lasota

Tysiąc osiemset znaków o sobie

Ok. To bardzo łatwe. Ze spacjami czy bez? Nieważne. Siadam naprzeciwko siebie. Zaczynam wywiad.

Mam na imię Rafał.
„Kochamy Cię, Rafał”.

Początek jak na spotkaniu AA.

Kiedy zacząłeś pisać...?

Kiedy zachorowałem.

To żart czy złośliwość?

Dlaczego złośliwość?

Bo może to oznaczać, że tylko chorzy piszą książki!

Jest w tym ziarno prawdy, tylko psychopata i pisarz ciągle myśli, jak kogoś zgładzić – zwłaszcza ten od kryminalów. Ale zostawmy żarty. Przez trzy lata było tragicznie. Żeby zapomnieć na sekundę o cierpieniu – zacząłem pisać.

Ból nie pozwala się ruszyć. Leżę i patrzę w sufit. Staram się przeżyć. Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa... Sześćdziesiąt sekund to minuta, potem druga, trzecia. Udało się, jest kolejna godzina życia. Znowu boli. Na kółdrze przede mną leżą jakieś podłużne kształty. To ręce. Czyje są te ręce? Moje? Nie czuję ich. O teraz, teraz! Zaczynają mrowić jest lepiej. Siadam. Grymasy na twarzy. Jakoś mnie mniej w tej koszulce... Biorę długopis, kartkę, piszę słowa – (z pamiętnika).

Najpierw wiersze?

Tak, dla dzieci.

Dlaczego wiersze dla dzieci?

Po pierwsze – każdy kiedyś pisał wiersze, lepiej czy gorzej, ale pisał. Po drugie – wyobraźmy sobie na chwilę wojnę. Na ziemi leży ranny człowiek, krzyczy, wije się z bólu. W tym cierpieniu on chce tylko jednego – powrócić do rodzinnego domu sprzed lat. Tam był bezpieczny. Leżąc na łóżku, byłem na swojej małej wojnie. Dlatego powróciłem do wspomnień.

Wtedy okazało się, że na dzieciństwo nigdy nie jest za późno. Tak powstały „Płaski” w 2011 roku, pierwszy zbiór wierszy dla najmłodszych. Świat z którego byłem wyłączony, przyszedł do mnie i usiadał na kartach mojej książeczki. Usiadł dosłownie, bo moje słowa na obrazy zamieniła fantastyczna ilustratorka Barbara Kuropiejska-Przybyszewska.

Jaki był ten świat?

Kolorowy i barwny, czasami przewrotny i złośliwy jak dzieci. A to już było dobre, bo złośliwość to objaw powrotu do zdrowia.

A potem?

A potem przyszła zachłanność na słowo, zjadana baterią leków. Rok po sukcesie „Płasków” pojawiły się „Śmieszki i Zachwytki”, potem „Roześmiane Cienie”, „Po drugiej stronie drzwi”, „Czterolistna koniczyna”, „Moja mała ojczyzna”. Przyszedł też czas na powieść historyczną „Zwierciadło mistrza”.

Nie za dużo tego pisania?

Na co dzień spotykam wielu ludzi. Część mówi, że pisze. Część powtarza, że oni też byliby pisarzami, ale nie mają czasu. Jest takie powiedzenie: „na napisanie pierwszej książki każdy człowiek ma całe życie, na kolejną tylko rok”. I to prawda.

Rafał Lasota

Nowy Zarząd Główny Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, który obradował w dniach 10-11 czerwca 2017 r. w Warszawie, wybrał na kadencję w latach 2017-2020 nowy Zarząd, w skład którego weszli:

Prezydium:

prezes **Anna Nasiłowska**

wiceprezes **Jacek Moskwa**

wiceprezes **Piotr Müldner-Nieckowski**

skarbnik **Bogdan Baran**

sekretarz **Dorota Mentzel**

przewodnicząca Komisji Kwalifikacyjnej **Żaneta Nalewajk-Turecka**

sekretarz Komisji Kwalifikacyjnej **Marek Ławrynowicz**

Członkowie:

Łucja Dudzińska

Gabriela Matuszek-Stec

Lesław Nowara

Bożena Ptak

Zgodnie ze Statutem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w skład Zarządu Głównego z urzędu wchodzi ponadto prezesi oddziałów, których jest jednaście.

(pmn)

Zofia Beszczyńska

Chatka z piernika

Kobieta była stara, starsza od jego babci, ale trzymała się prosto. Miała siwe włosy upięte w niedbały kok, luźne spodnie i rozciągnięty sweter nieokreślonego koloru; podciągnięte do łokci rękawy odsłaniały sękatę przedramiona. Pachniała ładnie, dymem i ziołami.

Przed zapadniętą chatą płonęło ognisko. Kobieta wrzucała do niego sterty papierów i kartek, które rozwijały się w płomieniach jak skrzydła motyli, a potem, skręcone w czarne tutki, z sykiem przyskały w niebo.

Rzuciła chłopcu niechętnie spojrzenie, ale zaraz jej twarz złagodniała.

– Zgubiłeś się? – Jej głos był zaskakująco młody.

Chłopiec nie odpowiedział. Wpatrywał się w chatę, jakby coś mu przypominała.

Kobieta zeszła z ledwo widocznej w trawie ścieżki, żeby zrobić przejście.

Wyglądające na drewniane, ciemnobrązowe ściany wydzielaly korzenny zapach przypominający coś miłego, co zniknęło z pamięci. W dotyku były miękkie i ciepłe, zamszowe. Między deskami tkwiły ciemnoczerwone grudki.

Kobieta nie spuszczała z niego wzroku.

– Co to jest? – zapytał.

– Żurawina, synku – odparła bez zdziwienia. – Lepsza od rodzynek. Spróbuj.

Nagryzł, spróbował, cierpko-słodki smak rozplynał się na języku.

– Wejdiesz do środka czy wolisz zostać tutaj?

– Tutaj – wyszeptał. Ognisko tak ładnie pachniało.

Kobieta weszła do chaty i po chwili wróciła z przewieszonym przez ramię burym kocem. Położyła go na ramionach chłopca: koc był ciężki i drapiący, ale otulał jak kokon.

Dym i płomienie ogniska wprawiały powietrze w drżenie i wydawało się, że krążąca wokół niego kobieta tańczy, unosząc się nad ziemią.

Chłopiec poczuł ciepło i senność. Mrużył oczy, ale patrzył zafascynowany. Teraz płomienie były dzikimi zwierzętami, które tańczą razem z kobietą, a ona jest to stara, to młoda, w długiej spódnicy lub płaszczu z futra, a czasem przypomina lecącego ptaka. Zmienne kształty nakładały się

na siebie i mieszały, chłopiec patrzył, z trudem powstrzymując opadające powieki, ale cienie napływające od lasu stawały się wciąż gęstsze, raz przybierały postać wilka, raz jelenia o rosochatych rogach...

Na kolanie przysiadła mu wiewiórka, po chwili była dziewczynką o trójkątnej twarzy i rudych włosach. Uśmiechała się, odsłaniając drobne zęby.

Szkoda, że nie mam orzeszków – pomyślał przez sen.

Kobieta znów znikła w chacie i wróciła z parującym kubkiem.

– Co to jest? – wymamrotał.

– Pij, chłopaku. Kwiat lipy z miodem, sama zbierałam. Trochę ostrzejszy w smaku niż sklepowy.

Już pierwszy łyk przeniósł go w dzieciństwo, do lasu, który jak myślał, opuścił na zawsze, przed chatką pachnącą piernikiem i czekoladą.

Ledwie poczuł sztywnienie palców, a potem stóp, gdy ciężka głowa opadła mu na kolana i w ogarniającym go mroku usłyszał dochodzący z bardzo daleka dźwięk ostrzonego noża.

Wiewiórka-dziewczynka uśmiechnęła się znowu albo wyszczerzyła zęby, teraz już nie był pewien.

Zofia Beszczyńska

Zofia Beszczyńska

Wiersze o strachach i straszylach

*

kto w tobie mieszka?
mały potworek

jak się nazywa?
Brązowy Worek

co lubi robić?
bić kopać drapać

co chcesz z nim zrobić?
za rękę złapać
wygnać na powietrze

czemu nie robisz?
bo może wtedy
zamieszka we mnie
ktoś gorszy jeszcze

*

a co to za jedna?
dziewczynka z drewna
z drewna ma rączki paluszki
z drewna ma zgrabne nóżki

a jak w tym drzewie żyje?
zwyczajnie: łapie za szyję
i wysysa życie

aż zmienisz się w drzewo i ty
całkowicie

*

a gdzie ty mieszkasz?
w skorupce orzeszka

a orzeszek gdzie?
a nie wiem

może w niebie?

*

potwór wyszedł
z nocy i mgły
bardzo ciemny i zły

mówił że strzeże skarbów
złota i kamieni
i że nic tego nie zmieni

a jeśli skarb
to mgła i nic?

to wtedy już
nie miałby po co żyć

*

przykucnął pod krzakiem
bo chciałby być robakiem

przykucnął pod korzeniem
bo chciałby być kamieniem

przykucnął pod bratkiem
bo chciałby zostać kwiatkiem

lecz wiatr mu zamknął powieki:
zostanie tak już na wieki

*

cień czarownicy
czyha na ulicy

cień królika
przez pokój pomyka

cień sowy
fruwa wokół głowy

a twój cień kochanie
kiedy cię dostanie?

*

księżyc płonie na niebie:
wiedźma leci po ciebie

gdy się do końca spali
(tarcza i srebrny rogalik)

to nie wiem
co będzie dalej

*

wrona usiadła w oknie
cuchnęła okropnie

całe jej ciało napuchło:
prawdziwe wronie truchło

co robi w naszym świecie?
skąd tu zdołała przylecieć?

*

mroczną porą wieczora
wyłazi z lustra zmora
widmowym światłem świeci
leci porywać dzieci

w tę noc bez księżycy

potem zamknie je w lustrze
w czarnym włochatym futrze
i schrupie jak ciasteczka
do ostatniej kosteczki

w tę noc bez księżycy

*

konik na biegunach
kołysze się pod ścianą

nie było go tam rano

Zofia Beszczyńska

Rafał Lasota

Bardzo dziwny sen

Szczeka pies i kot miauczy
W norze przez megafon śpiewają myszy
Czarownik stoi za krzakiem i
Przez siatkę z palców przylepioną do twarzy
Krzyczy
Lecz nikt go nie słyszy

Ze ściany kapie poziomkowy budyń
Pełźnie słoń po kanapie
Na drzewie dzwoni telefon
Albo czasami coś chrapie

Pająk się huśta na bucie
Wyszywa z rzodkiewki różę
Pochyla się nad nim mucha i czarną chmurą się chmurzy

Skończył się sen!
Już ranek!
I słońce rozlało się w szybie
To takie przyjemne uczucie
Gdy wszystko znów jest prawdziwe

Na skróty szybciej

Kolacja z liścia sałaty
Więdnie jak słońce na zachodzie
Nadciąga zmierzch
„Pójdę na skróty, żeby zdążyć przed nocą do domu” – pomyślał ślimak
I poprawił skorupkę na plecach

Nocą wszystko STRASZNIEJE

Dlaczego tak to się dzieje
Że nocą wszystko STRASZNIEJE?

STRASZNIEJĄ i drzewa i domy
I nawet komin znajomy
Przybiera dziwne rozmiary
Rozciąga się nie do wiary

Sięga po same chmurzyska
A tam w chmurzyskach coś błyska
Cień jakiś przykucnął na trawie
O tam! Gdzie zawsze się bawię!

Coś się za oknem przemyka
I płynie dziwna muzyka...
Więc powiedz mamie i tato
Dlaczego tak to się dzieje

Że kiedy słońko zachodzi
To wkoło wszystko STRASZNIEJE?

Rafał Lasota

Małgorzata Karolina Piekarska

LO-teria

(fragmenty)

Wahanie na Manhattanie

– Pójdziemy do kina? – Miodowe oczy Pawła patrzyły wyczekująco na Małgosię.

Siedzieli na ławce w Central Parku na wprost wielkiego jeziora i popijali colę.

– Na co?

– Na *Harry’ego Pottera i więźnia Azkabanu*.

– Na to nie mogę.

– Ktoś ci zabrania? – zażartował Paweł.

– Po prostu na to pójść w Warszawie z Maćkiem.

Przez twarz Pawła przebiegł cień zawodu. Nie lubił, kiedy mówiła o Maćku. Wkurzały go te wyprawy do kawiarenek internetowych, to czekanie, aż skończy pisać do niego kolejny list, i pytania w każdym sklepie: „Jak myślisz? Czy to się mu spodoba? Czy ty byś coś takiego chciał? ”. On, Paweł, chciałby od Małgosi cokolwiek, ale skąd ma wiedzieć, czy mityczny Maciek również zadowolony byłby z czymś, byle od niej?

Małgosia zajęta spijaniem przez słomkę resztki coli nie zwróciła uwagi na minę Pawła, który przyglądał jej się ukradkiem.

– To może na *Troję*? – spytał po chwili.

– Aha – odparła Małgosia i głośno siorbnęła, co miało oznaczać, że coli w kubku już nie ma.

Razem podnieśli się z ławki i ruszyli w stronę kiosku z gazetami.

* * *

Pawła poznała kilka dni po przylocie do Stanów. Był starszy o dwa lata, dobrze zbudowany i umięśniony, a jednocześnie delikatny. Bardzo jej przypominał Olka. Poznali się właściwie dzięki ciotce Dorocie. To ciotka

zaniepokojona tym, że kiedy ona wychodzi do pracy, to Małgosia się nudzi, postanowiła znaleźć jej towarzystwo.

Pierwsze dni w Nowym Jorku były dla Małgosi jak podróż w głąb trójwymiarowego filmu, a raczej wielu takich filmów. Ogromne miasto, które zwiedzała w towarzystwie ciotki, fascynowało i przerażało jednocześnie. Fascynowało – bo za każdym rogiem czaiło się coś, co znała z filmów, a przerażało swym ogromem. Gwarne ulice Manhattanu roiły się od takiej rzeszy turystów, jakiej Małgosia nigdy wcześniej nie widziała.

Obawiała się też o swój angielski. Ta wątpliwość spędzała jej sen z powiek jeszcze w Warszawie. Tu na miejscu mimo upływu czasu nadal bała się konfrontacji z rzeczywistością. To dlatego nie mogła się przemóc i wybrać sama na Manhattan. Ciotka mieszkała i pracowała na Greenpoincie, czyli w polskiej dzielnicy. Tutaj porozumiewanie się po angielsku nie było potrzebne. Wszyscy w sklepach i na ulicach mówili po polsku. Szyldy były polskie lub dwujęzyczne, a w kioskach leżały polskie gazety.

Przez pierwszy tydzień pobytu Małgosi w Stanach ciotka miała urlop. Mogła więc oprowadzić ją po mieście i pokazać kilka ciekawych miejsc. Popłynęły razem obejrzeć Statuę Wolności, gdzie weszły na samą górę, zwiedziły muzeum emigracji, a na Manhattanie wjechały na ostatnie piętro Empire State Building. Ale potem ciotka Dorota wróciła do pracy do Poloneza. Było to biuro turystyczne, które mieściło się oczywiście na Greenpoincie. Dzięki niemu żyjący tu Polacy mogli wyjeżdżać na tanie wycieczki do ojczyzny, do Europy Zachodniej, ale i zwiedzać Stany. To właśnie dzięki pracy w tym miejscu ciotka mogła zaprosić Małgosię do siebie, kupić jej tańsze bilety do Ameryki, a przede wszystkim spłacić długi, jakie miała wobec jej mamy.

Gdy ciotka wróciła do pracy, Małgosia zaczęła się nudzić. Bała się sama pojechać na Manhattan. Ciotka Dorota poszła więc do mieszkających piętro niżej sąsiadów i spytała, czy ich córka Matylda nie zaopiekowałaby się piętnastoletnią dziewczynką z Polski.

Czy to dlatego, że ciotka użyła słowa „zaopiekowała”, czy może z innych powodów, w każdym razie starsza dwa lata Matylda nie polubiła Małgosi. To dało się wyczuć już pierwszego dnia, gdy dziewczyna przekroczyła próg jej pokoju.

– Hej – przywitała się Małgosia, kiedy stanęła w drzwiach.

– Hello – odparła Matylda z amerykańskim akcentem, ale nawet nie odwróciła głowy w kierunku gościa. Nie musiała. Twarz Małgosi widziała doskonale w lustrze, w którym teraz poprawiała makijaż.

– Małgosia.

– Wiem. – Ton głosu Matyldy nie zachęcał do konwersacji.

– Wyjdiesz gdzieś ze mną?

– Gdzieś... – mruknęła Matylda i pociągnęła kredką powiekę. – Idę za godzinę do kumpla na party. Możesz ze mną iść.

– To zapukam do ciebie – odparła Małgosia i odwróciła się na pięcie w kierunku wyjścia.

– Tylko się nie spóźnij – dobiegł ją głos Matyldy. – Bo nie będę czekać.

Jakże Małgosia pragnęła, by Matylda ją polubiła. „W końcu być gdzieś dwa miesiące i nie mieć żadnej koleżanki to horror” – mówiła do siebie i przekładała wszystkie swoje wiszące w szafie ubrania. Bardzo chciała zrobić wrażenie na Matyldzie. Dlatego wybrała nowiutkie obcisłe czarne spodnie i dość luźną bluzkę z długimi rękawami i wysokim kołnierzem. Punktualnie godzinę później stanęła przed Matyldą. W jej pokoju siedzieli już Paulina i Patrycja. Małgosia się przedstawiła.

– Na pogrzeb się wybierasz? – spytała kpiąco Patrycja.

– Nie. Dlaczego?

– No bo tak na czarno...

– Nie wiedziałam, co włożyć, a to wygodne... – Małgosia tłumaczyła się gęsto, patrząc przy tym uważnie na dziewczyny.

Wszystkie trzy wymalowane, wystrojone w kolorowe szmatki wyglądały jak rajskie ptaki, a ona? Zerknęła w lustro, przed którym tak samo jak godzinę temu siedziała Matylda i kręciła włosy lokówką elektryczną. Z lustra patrzyła na nią czarnowłosa dziewczyna o smutnym spojrzeniu. Gdzież jej do Matyldy, Patrycji czy Pauliny? Małgosia spuściła wzrok. Po chwili pod oknem dał się słyszeć klakson samochodu.

– Szybko! To Sławek! – zawołała Matylda. Wyszarpnęła z kontaktu sznur od lokówki, zgarnęła drugą ręką stojącą na szafce torebkę. – Dziewczyny, lecimy!

Wszystkie cztery już po chwili zapakowały się do minivana, za którego kierownicą siedział wysoki, przyszczyty blondyn ze złotym łańcuchem na szyi.

– A to kto? – spytał, przyglądając się Małgosi.

– Przyjechała do sąsiadów na wakacje.

– Aha – odparł i zasunął z impetem drzwi. – Musimy szybko jechać, bo będziemy ostatni.

* * *

– E! Palisz? – Patrycja wyciągnęła w kierunku Małgosi dłoń z fajką wodną. Stały w obszernym pokoju z wielkim barkiem. W powietrzu unosił się dym z papierosów, a dookoła w rytm muzyki kiwały się pary w różnym wieku.

– Nie. Nie palę – odparła Małgosia i aż wzdrygnęła się na samą myśl. W domu nikt z rodziców nie palił nawet papierosów, a to coś, co tu palono w tej dziwnej fajce, z pewnością było czymś innym niż papierosy. Patrycja uchwyciła spojrzenie Małgosi i prychnęła pogardliwie, po czym podała fajkę Matyldzie, która chichocząc, zaciągnęła się dymem. Małgosia usłyszała bulgotanie wody w fajce, a po chwili kaszel Matyldy.

– Co to jest? – Małgosia spojrzała pytająco na Patrycję.

– Marihuana.

– A to nie jest zabronione?

– Jest. No i co z tego? Poskarżysz się cioci?

– Nie. Tak tylko pytam, bo w Polsce jest zakazane.

– W Polsce to i oddychanie jest zakazane – odparła z pogardą Patrycja.

– Tu jest prawdziwa wolność. – Patrycja zatoczyła ręką koło. – Tam w Polsce miałaś chłopaka?

– Mam.

– Eee tam. Ściemniasz.

– Dlaczego?

– No bo jak ty wyglądasz? Jak dziecko. – Patrycja wzruszyła ramionami.

Paulina z Matyldą zachichotały.

– Jak długo mieszkasz w Stanach? – spytała Małgosia, żeby zmienić temat.

Ta rozmowa zaczynała ją męczyć. Podobnie jak same dziewczyny. Czuła się przy nich trochę jak szara myszka. Bo rzeczywiście na ich tle nie wyglądała zbyt korzystnie w tym swoim czarnym ubraniu. Ale nie wiedziała też, o czym z nimi mówić. Z Kamilą nie miała tego problemu. Nawet z Kaśką dawało się gadać. A z nimi?

– Cztery lata – odparła Patrycja, wypinając z dumą pierś i wołając „hello” do wchodzącego właśnie chłopaka, który spojrzał w jej stronę i szybko odwrócił głowę. Patrycja szturchnęła łokciem Matyldę. – Widziałaś?

– Yhm... jest – odparła Matylda i oblizała usta, a potem wyciągnęła z torebki lusterko.

– To kawał czasu – powiedziała Małgosia do Patrycji, myśląc o spędzonych przez nią w Ameryce czterech latach, ale Patrycja nie słuchała. Więc

Małgosia zamilkła. Po wejściu chłopaka dziewczyny w ogóle straciły nią zainteresowanie i zaczęły szeptać między sobą.

– Długo tu będziemy? – spytała Małgosia Matyldę.

– Słuchaj – odezwała się Matylda tonem, który nie wróżył nic dobrego.

– Przyszedł tu facet, na którym bardzo mi zależy, i nie radzę ci zepsuć mi tego wieczora, bo nigdzie cię już więcej nie zabiorę. Jasne?

– Tak.

– To spadaj napić się dżusa i nie marudź.

– Co mam pić? – zdziwiła się Małgosia.

– Sok – mruknęła niecierpliwie Matylda i oddaliła się w kierunku ogrodu, w którym zamajaczała sylwetka chłopaka.

Małgosia została sama. Spostrzegłszy Tomka – gospodarza przyjęcia – spytała, czy może skorzystać z komputera. Pozwolił i zaprowadził ją do małego pustego pokoiku niedaleko drzwi wejściowych. Dziewczyna szybko odczytała listy od Maćka. Pierwszy głos z Polski. Serce zabiło jej żywo, kiedy przebiegała wzrokiem literki e-maila. „A więc jednak był na lotnisku” – pomyślała i poczuła, że się rumieni. Napisała mu kilka zdań w odpowiedzi. O Nowym Jorku. O tym, że jest na imprezie i że się nudzi, i... nagle usłyszała za plecami głos Matyldy:

– Wkurza mnie to, że musiałam wziąć tutaj ten ogon.

Małgosia spojrzała za siebie. Przez szybę w drzwiach dostrzegła znajome sylwetki dziewcząt.

– To więcej jej nigdzie nie bierz... – Małgosia poznała głos Pauliny.

– Myślisz, że to takie *easy*? Jak nie wezmę, to nie będziemy mieli dobrych układów z panią Dorotą, a ona może załatwić tańsze bilety, wycieczki...

„Mówią o mnie” – pomyślała Małgosia i zrobiło jej się przykro.

– To co teraz? – pytała Paulina.

– Nie wiem. – Matylda była wyraźnie wściekła. – Paweł przyszedł, ale nie zwraca na mnie uwagi. Pewnie przez tę ostatnią akcję. Teraz to chciałabym zostać tu do końca party, żeby wreszcie się mną zainteresował. A ta niedawno się pytała, kiedy wracamy. O shit! Cześć!

To ostatnie słowo Matylda wypowiedziała zupełnie innym tonem, więc Małgosia zorientowała się, że w pobliżu musiał znaleźć się wspomniany Paweł.

Po chwili do pokoiku wszedł wysoki, dobrze zbudowany chłopak. Małgosia widziała go już wcześniej, bo to z nim właśnie witała się Patrycja. Tuż za nim wbiegła Matylda z koleżankami.

– A, tu jesteś! – zawołała zaskoczona na widok Małgosi, choć jej wzrok zdawał się mówić, że wcale z tego faktu nie jest zadowolona.

– Już wychodzę. – Małgosia podniosła się z miejsca.

– Siedź – powiedział chłopak i posadził ją z powrotem na krześle.

– Idź – rzuciła Matylda i spojrzała na Małgosię wzrokiem, jakiego nie powstydziliby się bazyliśzek.

– Zostań – nie ustępował chłopak.

– Ja już skończyłam – odparła Małgosia i znów wstała z krzesła, ale Paweł jeszcze raz ją posadził.

– Ja też skończyłem. – Chłopak spojrzał wymownie w stronę Matyldy, aż ta skuliła się pod jego wzrokiem. – Mogłabyś stąd wyjść? – zwrócił się do niej takim tonem, że Małgosia aż zamarła.

– Wyjdę, ale wtedy Małgosia wyjdzie ze mną, bo to ja ją tu przywiozłam.

– Ty? – Paweł spojrzał na Małgosię ze zdziwieniem i wyraźnym rozczarowaniem.

– Jedziesz, mała? – spytała Matylda takim głosem, że Małgosia bała się odpowiedzieć cokolwiek. Czuła, jakby żadna odpowiedź – ani przecząca, ani twierdząca – nie była mile widziana.

– Co, kolejne superparty? – spytał Paweł z pogardą.

– *Fuck you!* – zawołała Matylda i trzasnęła drzwiami.

– Ja naprawdę... – zaczęła Małgosia niepewnie, bo zupełnie nie rozumiała wymiany zdań, której była świadkiem.

– Ja cię odwiozę – zaproponował Paweł.

Małgosia stała bezradnie na środku pokoju.

– Słuchaj, nie znam cię... – zaczęła, ale chłopak jej przerwał.

– Na imię mam Paweł i... – urwał, spojrzał na Małgosię i dodał z rozbrajającą szczerością: – Gadać mi się nie chce. A ty?

Małgosia wzruszyła ramionami.

– Co ja?

– Skąd znasz Matyldę?

– Jest sąsiadką cioci... – zaczęła Małgosia i po chwili, sama nie wiedząc czemu, opowiedziała Pawłowi o sobie, Maćku, mamie, żyrowaniu przez nią pożyczki, długu, wreszcie o komputerze, na który pieniądze przysłała Leśkiewiczowa, i o zaproszeniu, z którego Małgosia skorzystała, by teraz w wakacje znaleźć się w Nowym Jorku. Z dała od wszystkich bliskich. Bez jakiegokolwiek życziwej duszy, która poszłaby z nią zwiedzać muzea na Manhattanie lub po prostu spacerować po Central Parku.

– A co cię interesuje? – spytał Paweł i przysunął do komputera drugie krzesło.

– Wszystko – odpowiedziała Małgosia.

– Zobacz... jest taka strona o Nowym Jorku i możesz na niej znaleźć wszystko... – mówił spokojnie Paweł, wpisując w przeglądarkę adres www.nyc.com.

* * *

Właśnie tak się poznali. W sumie dzięki Matyldzie, choć Małgosia wołała myśleć, że to dzięki ciotce Leśkiewiczowej. Zwłaszcza że od czasu tego party u Tomka Matylda stała się dla niej jeszcze bardziej niemiła. Nic dziwnego... Paweł opowiedział Małgosi o tym, że rozbiła jego poprzedni związek, posługując się podstępem i kłamstwem tylko po to, by zostać jego dziewczyną.

Troja podobała się obojgu. Zrobione z wielkim rozmachem sceny bitwy po prostu ich urzekły. Wracali z kina, dyskutując o tym, co widzieli. Wprawdzie Małgosia kilkukrotnie musiała prosić Pawła o przetłumaczenie słów, ale w sumie była dumna z siebie i swojego angielskiego. Całkiem nieźle rozumiała film.

Wracali pieszo. Na dworze było już ciemno, tylko w oknach paliły się światła. Małgosia zdążyła się przyzwyczaić, że tu zmierzch zapada o wiele szybciej niż w Warszawie. Ostatnio często wracała z Pawłem o tej porze. Dzięki niemu sporo zobaczyła, choć nadal nie wszystko. Niby Paweł pokazywał jej najróżniejsze miejsca w Nowym Jorku i poza metropolią, ale w końcu Ameryka to wielki kraj. A Małgosia przyjechała tylko na dwa miesiące. Tymczasem koniec wakacji zbliżał się wielkimi krokami.

– Jutro pojedziemy do West Point – zapowiedział Paweł, kiedy stanęli pod drzwiami domu ciotki. – To akademia wojskowa, gdzie był nawet Kościuszko. Ma tam swój pomnik. Warto go zobaczyć.

– Nie wiem, czy tak warto – zaśmiała się Małgosia. – Kościuszko był strasznie brzydki.

– Brzydki?

– Miał kaczy nos.

– Przecież kaczki nie mają nosa.

– Ale tak się mówi.

– A ja jaki mam? – spytał Paweł i przysunął swoją twarz do Małgosi, robiąc przy tym głupią minę.

– Całkiem zgrabny – odparła ze śmiechem.

– To poczekaj, teraz ja twój obejrzę! Może ty masz kaczy. – Paweł ujął twarz Małgosi w dłoń i zanim zorientowała się, co się dzieje, delikatnie musnęła wargami jej usta.

– Nie, nie... przestań – szepnęła Małgosia i odsunęła się od Pawła. – Ja nie mogę... nie mogę.

– Przepraszam. Zapomniałem się. Ja po prostu... Nie spotkałem wcześniej takiej dziewczyny jak ty.

– Coś ty...

– Tu są same pustaki zachłyśnięte Ameryką.

– A ty? Ty się nie zachłystujesz? Przed chwilą zachwalałeś West Point.

– Małgosia starała się obrócić wszystko w żart.

– Bo współtworzył go Kościuszko!

– Z kaczym nosem!

Ale Paweł milczał. Odezwał się dopiero po chwili.

– Ja nie chciałem tu jechać. Do Ameryki. Moi rodzice chcieli.

– Rozumiem – powiedziała cicho Małgosia.

– Nie rozumiesz – zachnął się. – Ty stąd zaraz odjedziesz. A ja zostanę. Maciek to szczęściarz, że ciebie ma. Niedawno myślałem, że oddałbym wszystko za to, by znowu być w Polsce. By móc z kumplami pójść do kina na polski film i mieć przy sobie dziewczynę, która myśli o czymś więcej niż tylko o tym, jak się zamerykanizować. Oddałbym wszystko, byś to ty była tą dziewczyną. I wkurza mnie, że za tydzień ciebie tu nie będzie i że pewnie nigdy więcej się nie spotkamy.

Małgosi serce biło jak młot. Jakże chciałaby nie słyszeć tych słów. Jakże chciałaby nie czuć tego, co czuła. Bo słowa Pawła bolały, ale i cieszyły. A to, że cieszyły, sprawiało, że czuła się nie w porządku wobec Maćka. „Rany! Co się ze mną dzieje!” – myślała, starając się nie patrzeć w miodowe oczy Pawła.

Stali przez chwilę w milczeniu, aż wreszcie Małgosię z kłopotliwej sytuacji wybawił głos ciotki, która wyrzała przez okno i zawołała:

– Małgosia! Wchodź na górę. Telefon z Polski.

To był Maciek. Kupił specjalną kartę, by zadzwonić do niej po powrocie z obozu. Jakże ucieszyła się, słysząc jego głos w słuchawce. Gadali dobre dwadzieścia minut. Tak jakby nie było tych prawie dwóch miesięcy rozłąki. Wszystkie niepokojące myśli zniknęły. Dlatego kiedy następnego dnia rano Małgosia obudziła się, zadzwoniła do Pawła.

– Wiesz co? Nie gniewaj się. Nie jedźmy do West Point. Nie jedźmy nigdzie. Nie chcę, żebyśmy się więcej spotykali. Przepraszam.

I nie czekając na jego reakcję, odłożyła słuchawkę.

Pijawka

– Nie mam już siły – powiedziała, ciężko wzdychając, Agata i zdjawszy z ramion niewielki granatowy plecak, usiadła koło Maćka.

– Przecież to nie był długi dystans. – Maciek wzruszył ramionami. Ta dziewczyna straszliwie go irytowała.

O obozie wędrownym Maciek marzył od dawna. Mama wiele mu o takich obozach opowiadała. Sama właśnie dzięki nim zwiedziła w młodości spory kawałek Polski. Maciek też tak chciał. Obóz, na który wybrał się z Aleksem i Białym Michałem, był miesięczną wędrówką po Kotlinie Kłodzkiej. Zatrzymywali się w schroniskach, w prywatnych kwaterach i na polach namiotowych. Ciężki sprzęt obozowy wiozły specjalne samochody, a obozowicze wędrowali wytyczonym szlakiem jedynie z lekkimi plecakami. Maciek z Aleksem i Białym Michałem po kilku dniach przyzwyczaili się do codziennego pokonywania długich dystansów pieszo, zwiedzania różnych turystycznych atrakcji i spania w coraz to innym miejscu. I tylko Biały Michał poranne wstawanie uznawał za jakiś koszmar. Dla Aleksa koszmarem było załatwianie się w toaletach na szlaku, a dla Maćka... Agata.

Teraz, gdy sadowiła się koło niego, rozglądał się rozpaczliwie dookoła w poszukiwaniu wsparcia ze strony kolegów. Niestety Aleks oglądał swoje odrapane nogi i liczył bąble po komarach, a Biały Michał leżał oparty o plecak i żuł żdźbło trawy. Obaj nie patrzyli w jego stronę. Szef obozu właśnie zarządził półgodzinny postój. Polana, którą na ten cel wybrał, była dość spora, nic więc dziwnego, że koledzy nie zauważyli rozpaczliwej sytuacji Maćka...

Agata uczepliła się go jak rzep psiego ogona już pierwszego dnia obozu. Wszystko chyba dlatego, że odsunął jej krzesło, kiedy siadała do stołu. A przecież nic się za tym nie kryło. Zwykle, wyniesione z domu przyzwyczajenie wpojone mu jeszcze przez babcię. Jednak Agata najwyraźniej nieopatrnie wzięła ten gest za coś więcej niż zwykłą uprzejmość, bo od tej chwili nie odstępowała Maćka na krok.

– Nogi mnie strasznie bolą – jęczała.

Maciek milczał. Wyjawszy z kieszeni komórkę, wystukiwał parę słów do Małgosi. Esmesy nie były wprawdzie tak długie, jak chciał, i na pewno nie takie długie, jakie chciałaby dostać Małgosia, ale zawsze stanowiły jakiś dowód, że pamięta. Ona nie mogła do niego nic napisać. Dlatego z taką pieczołowitością przechowywał jeden stary esemes, który kiedyś bardzo dawno do niego napisała, a który brzmiał: *Tęsknię za tobą*. Teraz, oddalony

od niej o tysiące kilometrów, odczytywał tę krótką wiadomość minimum raz dziennie, wywołując tym śmiech i u Białego Michała, i u Aleksa, którzy na samym początku obozu przyłapali go na tej niemęskiej czynności.

– Co piszesz? – spytała Agata, przechylając zalotnie głowę.

Ciężki warkocz długich blond włosów opadł jej na ramię.

– A tam. Takie... – Maciek nie chciał z nią rozmawiać. Z drugiej strony nie bardzo wiedział, jak się zachowywać. Jak się jej pozbyć? Gdyby znajdowali się w jakimś pomieszczeniu, mógłby wyjść. A tak? Dobrze wiedział, że gdy wstanie i się przeniesie na drugi koniec polany, Agata i tak pójdzie za nim. Nieraz już próbował.

– Nasmarowałbyś mi plecy olejkiem? – dobiegło go natarczywe pytanie Agaty.

– Poproś dziewczyny – odparł, nie podnosząc wzroku znad telefonu.

– Ale ty jesteś bliżej.

– Ale ja się na tym nie znam i daj mi wreszcie spokój. – Maciek był wyraźnie zirytowany nachalnością Agaty, więc podniósł głos, co sprawiło, że kilka osób spojrzało w ich stronę.

Na szczęście w tym momencie dobiegło go wołanie Aleksa. Podniósł się z trawy i poszedł w stronę kolegów, nie oglądając się na Agatę.

– Panowie! Ja z nią oszaleję! Czy moglibyście nie zostawiać mnie na jej pastwę? – jęknął, sadowiac się obok nich i otwierając plecak w poszukiwaniu atlasu zabytków.

– Nie wiem, o co ci chodzi – powiedział Aleks. – Przecież właśnie cię zawołaliśmy.

– Trochę późno – zauważył Maciek.

– Stary! – Aleks był zniecierpliwiony. – A ty rozumu nie masz? Języka w gębie też nie masz? My mówiliśmy jej, że masz laskę na wakacjach w Stanach, a do niej nie dociera, więc powiedz jej teraz ty, raz a dobitnie, „spieprzaj” i będziesz miał święty spokój.

– Przecież wiesz, że ja tak nie umiem.

– To się naucz!

– Albo korzystaj z sytuacji – odezwał się milczący dotąd Biały Michał.

– To znaczy? – spytał Maciek i spojrzał pytająco na kolegę.

– Zakochała się w tobie rybka i sama nadziewa się na twoją wędkę, a ty...

– Weź, przestań! Rybka? – Maciek wzdygnął się z obrzydzenia. – Tobie się chyba zwierzęta pomyliły. To nie rybka. To... to... – Przez chwilę szukał odpowiedniego określenia, wreszcie wykrzyknął: – PIJAWKA!

– Cha! Cha! Cha! Pijawka! – roześmiał się Biały Michał.

– A co ty myślisz? – burknął Maciek. – Trzeci tydzień nic tylko: „Nasmaruj mi plecy”, „Co tam piszesz? ”, „Co ci się śniło? ”. A przecież sto razy słyszała, i ode mnie, i od was, że mam dziewczynę, że nią nie jestem zainteresowany i że w ogóle chcę tylko świętego spokoju. Czy wy myślicie, że ja nie mam ochoty powiedzieć jej „spadaj”, kiedy pyta, kto do mnie dzwonił? Mam! Ale nie umiem! A wy tego nie potraficie zrozumieć.

– To się naucz! – powtórzył Aleks i chciał jeszcze coś dodać, ale w tym momencie szef obozu zarządził koniec przerwy. Do przejścia mieli niewielki kawałek drogi. Gdzieś tam w górze czekała na nich Jaskinia Niedźwiedzia i dawno nieczynna kopalnia uranu.

* * *

– Gdzie jest mój telefon? – zaniepokoił się Maciek.

Wyszli właśnie z kopalni, a on chciał napisać Małgosi krótki, szybki esemes z informacją, że zwiedził miejsce, w którym pięćdziesiąt lat temu pracowali więźniowie polityczni i umierali na raka od napromieniowania. Choć w sumie nie wiedział, czy dla niej ta wiadomość byłaby aż tak interesująca jak dla niego i chłopaków. Wszyscy trzej opowieści przewodnika – o kopalni uranu, o rudach, które pięćdziesiąt lat temu słano w ołowianych tubach daleko w głąb Związku Radzieckiego – uznali za pasjonujące. To w końcu już historia. Ta kopalnia wydała im się ciekawsza nawet od kopalni złota w Złotym Stoku.

– Kiedy widziałeś ją po raz ostatni? – spytał Aleks, gdy Maciek bezskutecznie macał się po kieszeniach w poszukiwaniu komórki. Szli drogą w kierunku punktu, w którym czekał na nich obiad.

– Na postoju na polanie pisałem do Małgosi.

– Przy nas nie pisałeś.

– Przy Agacie pisałem.

– Może twoja komórka została na polanie?

– Agata! – zawołał Maciek, podbiegając do dziewczyny.

Uśmiechnięta odwróciła się do niego.

– Nie pamiętasz, czy tam na postoju, jak siedziałem obok ciebie, nie zostawiłem swojej komórki?

– Nie – odparła Agata i odwróciwszy się na pięcie, przyspieszyła kroku.

– Zadzwoncie do mnie – poprosił Maciek, kiedy wrócił do kolegów. – Może mam ją gdzieś na dnie plecaka? W końcu na postoju wyjmowałem atlas zabytków.

Ledwo skończył mówić, kiedy trzy metry przed nim rozległ się znajomy dźwięk dzwonka. Melodia *Małgoški* Maryli Rodowicz, którą kiedyś ustawił sobie w telefonie na cześć Małgosi, dobiegała z kieszeni granatowego plecaka zawieszonego na ramieniu Agaty. Maciek podbiegł do dziewczyny.

– Dawaj ten telefon! To już szczyt! – krzyknął.

Agata bez słowa podała mu aparat. Wieczorem, gdy zakwaterowani w nowym miejscu kładli się spać, zapukała do pokoju chłopców.

– Zapomniałam, że go mam. Naprawdę! – powiedziała, rumieniąc się na twarzy, kiedy otworzył jej Maciek.

– Spieprzaj! – rzucił i zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

– Uuuuuuu! – zawyli Biały Michał z Aleksem. – Cóż za zmiana! Jednak potrafisz.

Ale Maciek nie odpowiedział. Za nic w świecie nie przyznałby się przed kolegami, że nigdy w życiu nie odezwałby się tak do żadnej dziewczyny, nawet do Agaty, gdyby nie fakt, że oddała mu telefon bez tego starego esemesu od Małgosi. Tego esemesu, który brzmiał „Tęsknię za tobą”, a którego istnienie, zwłaszcza teraz, gdy byli oddaleni od siebie o tysiące kilometrów, dawało mu tyle radości.

Małgorzata Karolina Piekarska



Małgorzata Karolina Piekarska

LO-teria

Nasza Księgarnia, Warszawa, 2017

Rysunki: Marta Blachura

Wydanie II

Stron 528

ISBN 978-83-10-13051-8

Małgorzata Strękowska-Zaremba**Rotmistrz Witold Pilecki***(fragment)***Ziewające zuchy**

To miało być proste zadanie, Tolek, Kasia i jeszcze kilka osób z drużyny harcerskiej zgłosili się na ochotnika. Uznali, że zapoznanie najmłodszych zuchów z losami patrona szkoły Rotmistrza Witolda Pileckiego nie sprawi im kłopotów. Niestety, pierwsze spotkanie Tolka i Kasi z zuchami nie wypadło tak, jak planowali.

– Witold Pilecki jest wielkim polskim bohaterem – zaczął uroczyście Tolek, po czym wyliczył bitwy, potyczki i brawurowe akcje, w których wziął udział bohater. Przypominał tajne organizacje, które założył. Wymienił medale i odznaczenia... Nie, nie wymienił. Przerwało mu głośnie ziewnięcie.

– Aaa – ziewała siedmioletnia zuchna Róża, młodsza siostra Tolka. Pozostałe zuchy poszły w jej ślady, bo ziewanie jest bardziej zaraźliwe niż grypa.

– Może chcecie o coś zapytać? – Kasia próbowała ratować sytuację.

Z wyjątkiem zucha Stefka, najlepszego przyjaciela Różyczki, nikt nie przerwał ziewania. – Jakim samochodem jeździł bohater? – spytał zuch.

Tolek i Kasia nie byli przygotowani na takie pytanie.

– Chyba żadnym. Urodził się ponad sto lat temu. Ludzie jeździli wtedy konno, bryczkami, dorożkami, powozami, pociągami. Niewiele osób miało samochód – odpowiedziała Kasia.

– Nieważne, czym jeździł, tylko co zrobił dla ojczyzny – wtrącił Tolek. – Pilecki jest jednym z najodważniejszych konspiratorów Europy. Nie chcecie się dowiedzieć, jak stał się superodważnym, superwytrzymałym, superbohaterem?

– Wszyscy wiedzą, jak zmienić się w superbohatera. Trzeba dać się pogryźć napromieniowanym pająkom jak Spiderman – stwierdził Stefek.

Kasia i Tolek oniemieli. Z ulgą oddali prowadzenie zbiórki zuchomistrzowi, obiecali spotkać się z zuchami innym razem i wyszli.

– Trzeba im to inaczej opowiedzieć, tylko jak? – zastanawiał się Tolek, nerwowo czochrając blond czuprynę.

– Zrobimy burzę mózgów, coś wymyślimy – pocieszała go Kasia.

Rozmowę przerwało dwoje zuchów, Różyczka i Stefek.

– Mamy tajne zadanie! Możemy je razem wykonać! – przekrzykiwały się zuchy. – Bo w Prawie Zucha jest napisane, że wszystkim z zuchem jest dobrze! I my zrobimy coś dobrego! I nie pytajcie co, bo to tajemnica!

Pulchne policzki zuchów aż pały z emocji.

Tolek popatrzył na siostrę krzywo. Nie mógł jej wybaczyć, że przerwała mu ważną zbiórkę ziewaniem. – Do domu, marsz! – wydał komendę. Ani on, ani Kasia nie wykazali zainteresowania tajnym zadaniem. Mieli własne zadanie do zaplanowania.

* * *

Witold Pilecki, patron szkoły Różyczki, został uznany za jednego z sześciu najodważniejszych członków ruchu oporu działających w Europie w czasie drugiej wojny światowej. Na jego pomniku w Grudziądzu widnieje napis „Kochaj wszystkich, wszystkim służ”. Niełatwe to zadanie dla kogoś, kogo nie ugryzł napromieniowany pająk, jak Spidermana, więc pozostał tylko człowiekiem.

To hojror?

Tolek wysypał na biurko zawartość plecaka i z namysłem przyglądał się rzeczom rozsypanym po blacie. – Gwóźdź, okej, bocianie pióro... to na później, wcześniej przydałoby się coś związanego ze skautingiem – mruczał do siebie. – Zdjęcia, pocztówki, chleb, grzebyk... Trzeba to mądrze wykozystać, tylko jak?

Sygnał Skype’a wyrwał go z zamyślenia. Na ekranie laptopa ukazała się roześmiana twarz Michała Dzieciola, klasowego żartownisia, zwanego przez przyjaciół Dzieździółem.

– Kacha maluje mapę. Zuchy-karaluchy zaznaczą na niej miejsca związane z Pileckim. Na przykład chorągiewkami, które sami robią. Kręci się! – zameldował.

„Zuchy-karaluchy”? – Różyczka nadstawiła uszu. I zaraz wśliznęła się do pokoju brata. Zrobiła to tak cicho, że jej nie zauważył.

– Teraz najlepsze: dziadek Kachy pożyczy nam aparat telefoniczny z początku dwudziestego wieku. Taki z bajerami, ze słuchawką z drewnianą rączką i widełkami.

– Jakimi widełkami? – nie zrozumiał Tolek.

– Nie wiem, Kacha tak powiedziała. A ty zdążysz z pisanie? Kacha mówi, że trzeba nasze pomysły przetestować na jakichś maluchach, żeby znowu nie było kompromitacji.

– Spoko, myślę o tym. Napisałem już kilka fragmentów. Przeczytam ci zjawkę.

Tolek wyszukał odpowiedni plik i zaczął czytać.

– W tej historii wszystko stoi na głowie. To znaczy, nic nie jest takie, jakie powinno być. Dlatego nasza opowieść o Witoldzie Pileckim może wydawać się tak fantastyczna jak lot na Słońce. Bo kto to słyszał, żeby oddać się w ręce wrogów, aby trafić do obozu śmierci – najstraszniejszego miejsca na ziemi...

– To hojror? – spytała Róża, zapominając, że udaje nieobecna.

Tolek drgnął. Dopiero teraz dostrzegł siostrę. Zerknął na nią groźnie, więc zrobiła dwa kroki ku drzwiom.

– Przeszkadzasz. Prawo Zucha nie pozwala przeszkadzać starszemu bratu – skarcił ją, jednak odpowiedział na pytanie. – Horrory to zmyślone historie, a my opowiemy zuchom o prawdziwych wydarzeniach z życia Rotmistrza. Wesołych i smutnych, dobrych i strasznych, ale prawdziwych. Rozumiesz?

Różyczka prawie się obraziła. – Duża jestem. Jak skończę tajne zadanie, to sam zobaczysz! – odparła naburmuszona. Jej okrągłe policzki jeszcze bardziej się zaokrągliły i wyglądały jak poliki chomika wypchane zapasami na zimę.

– A ty jakie historie chciałabyś usłyszeć? – spytał Tolek pojednawczym tonem.

– Tajemnicze i bajkowe – odparła bez zastanowienia.

– Bajkowe? – chłopak otworzył szeroko oczy. – Słyszałeś? – zwrócił się do Dziędziola. – Ma być tajemniczo i bajkowo. Ja wymiękam. Może Kacha coś wymyśli... – raptem zerwał się z krzesła. – Zapomniałem, że jesteśmy z nią umówieni! Pospiesz się, masz dalej ode mnie! – ponaglił kolegę. – Róża, niczego tu nie ruszaj! – zapowiedział, wskazując na rzeczy wyjęte z plecaka.

Dziewczynka podeszła do biurka, długiego na całą ścianę. – Po co ci one? O, piórko, mogę wziąć?

– Nie możesz. To nie są zabawki, tylko rekwizyty do opowieści o Pileckim. Dowiesz się wszystkiego za dwa tygodnie na zbiórce. I tym razem nie zarażaj innych ziewaniem!

Różyczka nieśmiało dotknęła poczerniałego gwoździa, który leżał wśród rekwizytów. – A zuchmistrz mówił, że w wakacje harcerze uczą nas gotować zupę na gwoździu – przypomniała sobie.

Tolek przewrócił oczami. – To nie jest zwyczajny gwoździec. Jest ręcznie kutą i... umie mówić. Jeśli coś sobie stąd weźmiesz, on mi powie. Muszę iść! Nikomu nie otwieraj i zamknij okno w kuchni. Mama znów będzie narzekać, że leci smród od Kalarepy.

– Gwoździe nie mówią – pewnie stwierdziła zuchna Róża.

Gdy Tolek wyszedł [...] zamknęła uchylone okno i wróciła do pokoju brata. Nieufnie popatrzyła na rekwizyty. Żaden nie przemawiał ludzkim głosem. Usiadła na krześle Tolka. – Gwoździe nie mówią – powtórzyła, jednak dla żartu przyłożyła sobie gwoździec do ucha.

– Daleko stąd, sto kilometrów od Wilna... – usłyszała stłumiony głos. Zdziwiona zuchna otworzyła usta tak szeroko, że kukułka mogłaby złożyć jajo na jej języku.

Opowieść gwoździa

Daleko stąd, sto kilometrów od Wilna, w pobliżu Lidy, i dawno, bo ponad sto lat temu, było sobie takie miejsce na ziemi, które wydawało się puste, ale puste nie było, wydawało się bezludne, ale bezludne nie było, które wydawało się bajkowe, chociaż było prawdziwe. Tam właśnie pośród łąk płynęła rzeczka Krupka, dwa stawy błyszczały w słońcu jak sreberka, a z soczyście zielonej trawy wyrastał duży, kryty słomą dwór szlachecki z pobielonymi ścianami – siedziba rodu Pileckich herbu Leliwa. Mieszkali w nim pradziadkowie, potem dziadkowie Witolda Pileckiego. Mały Witek spędzał tam wakacje, a gdy dorósł, zamieszkał na stałe.

Różyczka bała się poruszyć, żeby nie spłoszyć cichego głosu. Nie pojmowała, skąd płynie. Czy zza okna, czy z jej głowy, czy z laptopa, który niespodziewanie zaczął mrugać wskaźnikami. Czy może z... gwoździa?

– Dwór stał na wielkich głazach. Był bardzo stary, pamiętał czasy króla Jagiełły, który złączył Wielkie Księstwo Litewskie z Polską. Z pewnością krył w sobie niejedną tajemnicę godną detektywa. W domu było dziesięć pokoi, kuchnia, wędzarnia i maglarnia, i wiele różnych zakamarków...

Nagle pokój, w którym siedziała Różyczka, napełnił się gwarem. Szczekanie psów mieszało się z rżeniem koni i męskimi głosami. Mężczyźni mówili w obcym języku – rosyjskim.

– Bolek, napój konia pana pułkownika – wreszcie ktoś odezwał się po polsku.

Skrzypnęły drzwi i gwar ucichł, za to rozległy się szepty.

– Zocha, zanieś pułkownikowi samowar z herbatą, bo jeszcze gotów tu sam przyjść! Zmarzł. Długo dzisiaj polował na powstańców – szeptał kobiecie głos.

Zatrzeszczała podłoga, Różyczka usłyszała kroki kilku osób.

– Co się dzieje? – odważyła się zapytać.

– Jest rok 1863, trwa Powstanie Styczniowe. Carski pułkownik i oddział kozaków zatrzymali się w majątku pradiadków Pileckich, Adama i Marii. Szukają polskich powstańców w okolicznych dworach, żeby ich ukarać za bunt przeciwko rosyjskiej władzy. Pułkownik właśnie wrócił do dworu po całodziennych poszukiwaniach.

Różyczka drgnęła. Na uśpionym dotąd ekranie laptopa pokazało się wnętrze dworu Pileckich. Z ciemności wyłoniły się zarysy rzeźbionych drewnianych drzwi, a nad nimi zamajaczyły złożone ramy obrazów przedstawiających bitwy i potyczki. Mdłe światło przesunęło się po ścianach obitych materiałem przetykanym złotą nitką i zatrzymało się w jednym punkcie. Młoda kobieta w czarnej sukni z lampą naftową w dłoni dotknęła ściany.

– Yy! – wykrzyknęła zuchna Różyczka.

Deski w ścianie rozsunęły się i odkryły tajne przejście do ukrytego pokoju. Wewnątrz na łóżku leżał ranny mężczyzna. Cicho jęczał. Siedząca obok niego kobieta, również cała w czerni, opatrywała mu ranę bandażami z prześcieradła podartego na pasy. Na podłodze leżał długi karabin z bagnetem.

– Żołdacy wrócili – szepnęła kobieta z lampą.

– Już kończę – odparła ta druga. Poprawiła wiązanie bandaża. – Niech Matka Boska ma was w swojej opiece – pożegnała rannego, i zaraz obie kobiety opuściły tajne pomieszczenie. Ledwie zsunęły deski zakrywające przejście, ktoś wszedł do sieni.

– *Charoszyj czaj*¹ – ostry męski głos przeciął ciszę.

Lampa zgasła i ekran pokrył się ciemnością.

¹ *Charoszyj czaj* – ros. dobra herbata.

– Kto to był? Co się stało? – gorączkowała się zaciekawiona Róża.

– We dworze Pileckich znajdował się ukryty pokój. Córki pradziadka Witolda Pileckiego pielęgnowały tam rannego powstańca. Carski pułkownik, który na takich powstańców polował jak na zwierzęta, mieszkał pod tym samym dachem, ale niczego nie odkrył.

– Gapa! – skwitowała zuchna. I pomyślała, że tajny pokój w domu, to byłoby coś wspaniałego. Odbywałyby w nim narady ze Stefkiem i przechowywałyby tajne dokumenty.

Małgorzata Strękowska-Zaremba



Małgorzata Strękowska-Zaremba

Rotmistrz Witold Pilecki

Wydawnictwo RM, Warszawa 2017

Stron 98, ISBN 978-83-7773-614-2

Konrad Sutarski

Poezja i historia

Mogłoby wydawać się, że poezja i historia nie mają ze sobą wiele wspólnego. Poezja to swobodne loty wyobraźni, historia to żmudne układanie faktów. Świat przed wiekami inaczej myślał. Wtedy ludzie znajdowali się bliżej natury i potrafili ze sobą łączyć więcej elementów życia, aniżeli my dzisiaj. Leonardo da Vinci – człowiek renesansu – nie zauważał różnic ani emocjonalnych, ani jakościowych w przypadku, kiedy malował „Monę Lizę”, kiedy projektował koliste zamki obronne i kiedy konstruował helikopter bądź lotnię. Jeszcze wcześniej starożytni Grecy twórczość człowieczą oddali pod opiekę dziewięciu olimpijskich muz, między którymi znajdowały się Erato i Euterpe – będące duchowymi przewodniczkami poezji miłosnej oraz lirycznej, ale również i Klio – opiekunka historii oraz filozofii, a także Urania – czuwająca nad rozwojem nauki o ruchach ciał niebieskich, nad astronomią.

Tego rodzaju rozważania nie przychodziły mi do głowy, gdy jako student Wydziału Mechanizacji Rolnictwa Poznańskiej Politechniki stałem się w 1956 roku poetą, kiedy to utworzyliśmy w Poznaniu literacką grupę „Wierzbak” i znalazłem się w wirze ogólnopolskich działań artystycznych. Nie formułowałem takich myśli nawet ćwierć wieku później, żyjąc już na Węgrzech (żona moja jest Węgierką), pracując na co dzień jako konstruktor kombajnów do zbioru niektórych warzyw i wynalazca, badacz procesów techniczno-fizjologicznych na styku maszyny i roślin, a jednocześnie nadal pisząc i wydając nowe książki ze swoją liryką oraz – wtedy już również – tomy przekładów z węgierskiej poezji. Wówczas jeszcze te zagadnienia nie zaprzętały mojego umysłu.

Dopiero w ostatnim dwudziestoleciu zaczęły mnie nawiedzać te rozważania. Stało się to już po zakończeniu zawodowej działalności inżynierskiej i rozpoczęciu pracy na rzecz węgierskiej Polonii. Pisałem w dalszym ciągu, tyle że powiększyłem ilość gatunków literackich, którymi się zajmowałem – o publicystykę, eseistykę, a nawet o dziennikarstwo. Jednocześnie pochłonięła mnie historia, która zresztą pasjonowała mnie od młodości. W 1998 roku doprowadziłem do założenia w Budapeszcie Muzeum i Archiwum

Węgierskiej Polonii, a w 2006 roku do poszerzenia kręgu tematycznego tej instytucji (obecnie już Polskiego Instytutu Badawczego i Muzeum) o historię tysiącletnich powiązań Polski i Węgier. Dyrektorowanie tą placówką – oraz wszelkie inne prace związane także z działalnością administracyjną – zakończyłem w 2014 roku, by w następnym roku napisać podręcznik z zakresu historii na potrzeby Ogólnokrajowej Szkoły Polskiej na Węgrzech: „Dzieje Polski z powiązaniami węgierskimi” (wydawnictwo Méry Ratio, Budapeszt, planowane wydanie: 2017 r.). Ten tom jest już teraz zatwierdzonym ministerialnie oficjalnym podręcznikiem owej szkoły. I to był początek (jakkolwiek już wcześniej ukazało się parę moich publikacji książkowych z zakresu polsko-węgierskich zagadnień historycznych). W roku 2016 ukazał się w formie dwóch niewielkich książek (po polsku i w węgierskim przekładzie) wynik moich przemyśleń na temat przeplatających się od wczesnego średniowiecza do dziś – zupełnie niecodziennych, dotychczas niedostrzeganych – historycznych związków oraz obronnych bojów Polski i Węgier w interesie całej chrześcijańskiej Europy rytu zachodniego. Studium to opublikowane zostało (w języku polskim) pt. „Polska i Węgry jako przedmurze chrześcijańskiej Europy w dawnych wiekach i dziś” nakładem jednego z budapeszteńskich wydawnictw, w dodatku w dość pokaźnej – jak na dzisiejsze czasy – liczbie egzemplarzy: w każdym języku po pięć tysięcy sztuk. Najnowszym tomem, ukazującym się właśnie teraz w lecie, jest poszerzony o jedną trzecią i pogłębiony myślowo materiał wspomnianego już podręcznika. Wydawany jest i on dwujęzycznie, w postaci dwóch osobnych tomów, po polsku oraz w tłumaczeniu na język węgierski, jako książka publicznego użytku, dostępna w obydwóch krajach. Jej polski tytuł to „Zarys dziejów Polski z powiązaniami węgierskimi”.

Wracając do kwestii: czy coś wspólnego może mieć ze sobą poezja oraz historia w dzisiejszych czasach, moja odpowiedź jest po owych wszystkich wydarzeniach już jak najbardziej twierdząca. Podobnie jak w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy niejednokrotnie pytano mnie, czy praca konstruktora maszyn i twórczość poetycka nie wadzą sobie wzajemnie, czy można je ze sobą zharmonizować. Wówczas odpowiadałem (powtarzam to w wielkim skrócie): tak jak swoboda wyobraźni nieodzowna jest poecie, tak samo potrzebna jest tworzącemu nowości konstruktorowi, a logika i umiejętność krytycznej analizy konieczna konstruktorowi jak najbardziej przydatna jest i poecie, będącemu bądź co bądź pierwszym czytelnikiem powstającego wiersza, by potrafił nie tylko ko wewnątrz, subiektywnie, ale równocześnie i obiektywnie – niejako

od zewnątrz – oceniać te treści, które chwilę wcześniej stały się wynikiem jego niczym nie krępowanych wizji.

Poezja i historia mają się do siebie inaczej, jednak powiązania ich mogą zaistnieć i dzisiaj, podobnie, jak przedstawiłem to w odniesieniu do poezji i konstrukcji. Nie oznacza to twierdzenia, iż ludzie (czy też ludzkość) dzisiaj mogliby uzyskać szansę powrotu do dawnych, bardziej naturalnych (choć wcale nie bardziej szczęśliwych) czasów renesansu czy helleńskich. Zaistnienie powiązań, które dawny Grek być może nazwałby spotkaniem Euterpe i Klio, dziś bywa jednostkowe i zależy od tego, jakim człowiekiem jest poeta i jak reaguje na docierające do niego impulsy świata zewnętrznego. Jeśli zapatrzonego jest w urodę świata, bądź odurzyła go miłość, inne będą jego wiersze aniżeli wówczas, gdy ważne dla niego stają się cudze nieszczęścia, problematyka społeczna, wstrząsy, którymi targany jest świat.

Procesy historyczne zapewne bliższe stają się poecie tego drugiego rodzaju. Uzupełniają jego „ja”, rozszerzają mu horyzonty, nakierowują go wewnętrznie na drugiego człowieka, na życie i zmagania całych społeczeństw, czas przeszły i teraźniejszość łączą w nim w jednolitą ponadczasowość, wskazując przy tym kierunki możliwych wydarzeń przyszłych. Oczywiście nawet i wtedy, po owych zbliżeniach, inny pozostaje język poezji, a inny historii.

W dwóch wcześniejszych numerach „Podglądu” (2016/2 i 2017/1) opublikowałem co nieco z niedawno napisanych wierszy, noszących w sobie również znamiona tego, co można nazwać powiewem historii, tak jak ja to rozumiem i odczuwam. A oto „Wprowadzenie” do wspomnianego wyżej, właśnie ukazującego się „Zarysu dziejów Polski z powiązaniami węgierskimi”:

Niniejsza książka jest pierwszym takim skrótownym opracowaniem dziejów Polski, do którego zostały dołączone także elementy historii Węgier, ponieważ dzieje Węgier – południowego sąsiada Polski przez całe tysiąclecie – zazębiały się z wydarzeniami dotyczącymi narodu i państwa polskiego niejednokrotnie tak silnie, że aż potrafiły decydująco na nie wpływać. Obydwa te narody były przy tym przez całe wieki przedmurzem chrześcijańskiej Europy, a są nim również w czasach dzisiejszych, jakkolwiek Europa nigdy tego nie doceniała.

Drugim, równie istotnym powodem podjęcia się opracowania tej tematyki jest fakt, iż te dwa narody w okresie minionego tysiąclecia bliższe stały się sobie duchowo, aniżeli jakiegokolwiek inne narody – podobieństwem

postawy zajmowanej wobec świata, świadomością, że prawość i honor, pomoc w potrzebie, potrafią nawet w polityce przewyższać egoistyczne względy własnych korzyści doraźnych.

Dzieje Polski są przy tym tutaj zwięzłą opowieścią o narodzie, który po wyjściu z mroków słabo dotychczas znanej i opisanej prahistorii stał się – wraz z połączonymi z nim narodami: litewskim oraz kijowskiej Rusi (późniejszej Ukrainy) – jednym z najpotężniejszych państw Europy. Jego upadek moralny, przykrywany maskami „złotej wolności”, doprowadził go do utraty niepodległości na ponad stulecie. Ponieważ naród ten cenił wolność bardziej aniżeli życie – kiedy było to życie w niewoli – odzyskał niezawisłą państwowość. Niezawisłość tę musiał w ubiegłym stuleciu odzyskiwać raz jeszcze, ale znów dokonał tego, jakkolwiek ponownie olbrzymim kosztem ofiar krwi oraz życia. Dziś Polska – znajdująca się na terenach mniej więcej tych samych co w początkach swego historycznego istnienia – jest jednym z większych krajów Europy połączonej więzami Unii Europejskiej, a jednocześnie jest silna wyraźną jednolitością etniczną oraz religijną. Niechaj dzieje te służą nam i wszystkim następnym pokoleniom z jednej strony jako obiektywne źródło wiedzy o tym, co ukształtowało naród polski i doprowadziło go do dni dzisiejszych, z drugiej zaś strony niech będą wskazówką, co w społecznym i narodowym interesie jest moralne oraz pożyteczne, a co należy odrzucać jako przynoszące zgubę, zniszczenie.

Zagłębiając się w historię Polski, warto równocześnie pamiętać, że żyjemy w czasach coraz silniejszych przekształceń cywilizacyjnych, kiedy wiele dawnych wartości schodzi na plan dalszy, na rzecz nowo odkrywanych. Podważana jest niejednokrotnie nawet potrzeba przyswajania sobie wiadomości dotychczas tak podstawowych, jak nauka pisania czy liczenia – bo czy warto ćwiczyć się w kształtowaniu liter, bądź we wkuwaniu tabliczki mnożenia?! Wszak istnieją komputery, które – zamiast nas – potrafią drukować estetyczne, piękne litery, a także bezbłędnie zapamiętywać najświetniejsze poematy i potrafią dokonywać skomplikowanych obliczeń bez naszej dotychczasowej znajomości tabliczki mnożenia czy umiejętności posługiwania się rachunkiem różniczkowym. Podobne, powątpiewające pytanie zadawane bywa odnośnie potrzeby znajomości dziejów narodów i krajów. Czy zatem rzeczywiście to, co stanowi naszą zbiorową przeszłość musi nadal pozostawać istotnym elementem naszego życia i naszej wiedzy jako drogowskaz: co było właściwe, a czego

należy unikać i przed czym się bronić?! Dlatego ważne są odpowiedzi na tego rodzaju pytania.

Na terenie hitlerowskiego obozu zagłady ponad miliona osób w Auschwitz znajduje się tablica z wyrytą na niej sentencją: „Kto nie pamięta historii, skazany jest na jej ponowne przeżycie”, sformułowaną przez zamerykanizowanego hiszpańskiego filozofa George’a Sanatayanę. Z kolei wielki patriota polski – marszałek Józef Piłsudski – podkreślił: „Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku teraźniejszości, ani prawa do przyszłości”. Obydwa te aforystyczne zdania dobitnie wskazują, że podstaw ludzkiego życia nie wolno zagubić, ani zniweczyć, zastępując je uniwersalizującym automatyzmem narzucającej gdzieś z daleka pseudowiedzy, bo nie należy spłycać jakości istnienia i okaleczać samodzielności myślenia. Tego rodzaju spłykanie i okaleczanie bywa na rękę jedynie strukturom totalitarnym, takim, jakimi w ubiegłym wieku były nazizm i komunizm i jakim jest obecnie amorficzny globalizm, dążący do wyeliminowania narodów, a wraz z nimi ich historii i tradycji, celem podporządkowania sobie społeczeństw świata, a przede wszystkim narodów Europy – a więc także narodu polskiego i węgierskiego – oraz zuniformizowania ich w jedną papkę za pomocą nacisku ekonomicznego, populistycznej pseudokultury, relatywizowania i odrzucania wartości religijnych, moralnych oraz nasyłania na tradycyjną Europę mas ludzkich o obcej wierze i kulturze.

Walka z tym zagrożeniem trwa, a nawet nasila się. Przegrana oznaczałaby koniec dotychczasowej Europy i jej cywilizacji opartej na chrześcijańskich podstawach, natomiast zwycięstwo dałoby możliwość odnowy także i moralnej.

Ponieważ uważam się mimo wszystko w większej mierze za poetę aniżeli historyka, kończę wierszem przedstawiającym nasz glob z mniej znanej strony:

* * *

Być może promienie utraciły swą pierwotną energię
Zahaczając w powietrznym pyłe o kryształ soli
dymy ludzkich narzekań
ocierając się i mętniejąc

strzępiąc się coraz krótszymi włóknami barw
zanikły wreszcie w zakamarkach miast i nerwów
Fizycy do dziś analizują jeszcze pobrane próbki
atmosfery
w spektroskopach usiłują odnajdywać pojedyncze
pasma światła
wtłaczać je do wirówek
przywracać im pęd i jasność
ponownie poszukują krzesiwa kamienia mądrości

ale czerni powiększyła zakres swoich znaczeń
i stanęła u początku dni
kierując wałkami
sama szerząc nadzieję

Premierzy oczywiście dołączyli ten fakt do zawsze
tendencyjnych raportów o stanie państw
obarczając go odpowiedzialnością za niedobór ropy
narkotyzm
za nieurodzaj i ospałość tłumów

Jednak musiał wreszcie nastać czas głaskania kotów
i czochrania sów
czas pędzonych wiatrem filozofów i ekonomistów
nawołujących się przez niewidoczne oceany
zamykających ludziom nieprzydatne już czy
snujących myśli nowej równowagi

Konrad Sutarski

Beata Wasilewska

Tajemnica wielkiego astronoma

Wakacje to czas letniej przygody, podróży i urlopowych widoków. Inaczej mówiąc *dolce far niente*, o jakim marzy wielu z nas. Bohater najnowszej powieści Krzysztofa Beśki *Konstelacja zbrodni* swoje wakacje zamierza jednak spędzić pracowicie. Jak na dziennikarza przystało przystępuje do realizacji nowego zlecenia, którym rozpocznie pracę w nowej redakcji. Wygląda na to, że zadanie nie jest ani pracochłonne, ani zbyt skomplikowane.

Oto bowiem w Olsztynie ma odbyć się wydarzenie na skalę światową – ponowny pochówek odnalezionych po wielu latach poszukiwań szczątków wybitnego astronoma Mikołaja Kopernika. Redaktor Tomasz Horn podejmuje się zrelacjonowania wyjątkowego wydarzenia, ale... już po raz trzeci wpakuje się w niebywałą kabałę. Dlaczego? Z prostego powodu – bohater powieści Krzysztofa Beśki (aktualnie już trylogii, do której należą: *Ornat z krwi*, *Krypta Hindenburga* i najnowsza *Konstelacja zbrodni*) z niebywałym wdziękiem zalicza kolejne kłopoty, badając tajemnice historii. W najnowszej odsłonie wakacyjnych przygód Tomasza Horna czytelnik ma okazję przemierzyć Szlak Kopernikowski, oczywiście na ile pozwala sensacyjnie rozwijająca się akcja powieści.

Zarówno współczesne, jak i historyczne wydarzenia sprzed niemal pięciuset lat zawiodą nas do Olsztyna, Torunia czy Fromborka. To zrozumiałe, gdyż zasadnicza część intrygi zawiązanej w powieści dotyczy życia i działalności Mikołaja Kopernika. Ale Krzysztof Beśka lubi łączyć warstwę historyczną z sensacyjnymi wydarzeniami rozgrywającymi się współcześnie. Stąd też w *Konstelacji zbrodni* możemy znaleźć się zarówno w Gdańsku czy Gdyni, jak i na pełnym morzu, a historia uwiedzie nas swymi tajemnicami, równie mocno jak bohaterów powieści, nie tylko tych współczesnych. Warto dodać, że wątki historyczne dotyczą również wydarzeń związanych z II wojną światową. Mają one niebagatelny wpływ na poczynania postaci występujących w *Konstelacji zbrodni*.

W powieści łączącej wątki sensacyjno-kryminalne z warstwą historyczną pojawia się również wielka miłość. Dziennikarzowi zazwyczaj towarzyszyły urodzive kobiety (w poprzednich tomach były to policjantka i archeolog, a w najnowszej jest to paleoantropolog), jednak szybko mknąca akcja

nie pozwalała mu na wyrażenie głębszych uczuć. Za to piękny i tajemniczy romans z wybranką Mikołaja Kopernika możemy śledzić bez przeszkód, co tylko dodaje uroku obliczu wielkiego astronoma.

Powieściowa seria przygód bohaterów *Konstelacji zbrodni* rozpoczyna się od próby kradzieży doczesnych szczątków polskiego astronoma, tuż przed uroczystym pochówkiem, który miał się odbyć w podniosłej atmosferze, uwiecznionej w relacjach medialnych. Sprawca trafia do aresztu, gdzie popełnia samobójstwo. Tomasz Horn zostaje uwikłany w śmierć aresztanta, ściga go wymiar sprawiedliwości, ale dziennikarz nie poddaje się w dążeniu do ujawnienia prawdy, nie tylko dotyczącej polskiego astronoma. Wraz z Moniką Lauder, wspomnianą badaczkę ewolucji człowieka, usiłuje zrozumieć tajemniczy przekaz Kopernika, na który jednoznacznie wskazuje sekretny dziennik pewnego komandora Marynarki Wojennej. Morskich odniesień w najnowszej odsłonie przygód współczesnego Pana Samochodzika w wydaniu dla dorosłych nie brakuje. Pojawiają się okręty Rzeczypospolitej Polskiej, współcześni piraci, kaprowie z XVI wieku, a nawet żołnierze dzisiejszej FORMOZY.

W powieści dużo się dzieje, jest sensacyjnie, czasem groźnie, na pewno ciekawie i zajmująco. Dramatyczne zwroty akcji, wyjątkowe przygody głównego bohatera, który ociera się o wielką historię prowadzą go do refleksji, która towarzyszy nam podczas lektury: „człowiek jest tylko krótkim epizodem w życiu przedmiotów”. W tym ujęciu może należy żyć tak, żeby nam nic nie umknęło?

Bohaterowie powieści Krzysztofa Beśki idealnie wpasowują się w ten schemat. Swego czasu pierwsza część trylogii, czyli *Ornat z krwi*, promowana była jako książka polskiego Dana Browna. Zazwyczaj buntują się przeciwko podobnym porównaniom, ponieważ uważam, że każdy autor jest inny, ma swój niepowtarzalny styl. Przyznaję jednak, że powieściom Krzysztofa Beśki nie brakuje klimatu bliskiego twórczości amerykańskiego pisarza. Dzisiaj pisanie w stylu Dana Browna uważane jest niemal za odrębny gatunek i jest wyjątkowo popularne. Sądzę jednak, że Krzysztof Beśka pisze jak... Krzysztof Beśka, pisarz i dziennikarz, który powołał do życia sympatycznego bohatera, wpłatał go w wydarzenia, które dały powód do poszukiwań historycznych i zachęciły do zainteresowania się przeszłością, która, jak w przypadku biografii Mikołaja Kopernika, wciąż skrywa niezwykle tajemnice.

Konstelacja zbrodni jest powieścią, którą czyta się dobrze, jej język nie jest skomplikowany, choć autor serwuje wyrażenia i łacińskie teksty. Są one

umiejętnie wplecione w narrację, wyjaśniane na bieżąco. Ważne miejsce zajmuje tu historia. Książka napisana jest z dużą pasją. Za to najbardziej cenię pisarstwo Krzysztofa Beśki. Najnowsza powieść autora z pewnością przypadnie do gustu wielbicielom książek, w których akcja toczy się spektakularnie i filmowo. To idealna lektura na weekend, zbliżające się letnie urlopy lub kilka spokojnych wieczorów.

Beata Wasilewska

Krzysztof Beśka
Konstelacja zbrodni
 Oficynka, Gdańsk 2017
 Stron 486
 Okładka miękka
 ISBN 978-83-64307-94-2



Michał Dąbrowski

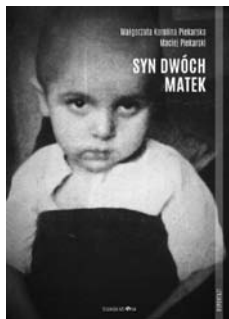
Syn dwóch matek

Podobno dobrą książkę poznaje się po tym, że skończywszy jej lekturę, samemu chce się ją napisać. I tak było w tym przypadku: złapałem się na tym, że zacząłem sobie robić w myślach przegląd jakichś znanych mi historii rodzinnych, czegoś godnego opisania, jakiejs opowieści zasłyszanej przy rodzinnym stole i natrafiłem na mur; nie znalazłem niczego, a na pewno nie takiego kalibru jak „Syn dwóch matek”.

Przeczytałem mnóstwo reportaży i praktycznie wszystkie napisane były na chłodno; tutaj sprawa ma się zupełnie inaczej, ponieważ „Syn...” jest reportażem osobistym, napisanym z wielkim pokładem uczuć, a historia nierozzerwalnie wiąże się z autorką.

Siłą tej książki jest zaangażowanie emocjonalne w opowiadaniu całej historii, co jest jeszcze bardziej podkreślane przez zwracanie się prosto do Taty, opowiadanie historii, anegdotek, których on nie mógł już doświadczyć. Kolejnym, bardzo ciekawym zabiegiem jest odnoszenie się do czasu zaprzeszczonego, sięganie poza swoją pamięć, szukanie w minionych wydarzeniach przyczyn takich a nie innych losów swojej rodziny. To robi duże wrażenie i nie pozostawia obojętnym.

Ponadto „Syn dwóch matek” przybliży historię wysiedlania Zamojszczyzny podczas II Wojny Światowej, jednak nie czyni tego w sposób *stricte* encyklopedyczny, na kartach książki nie są podane suche fakty; wszystko to opowiedziane jest przez pryzmat jednej osoby – Jana Tchorza – wtedy dwuipółletniego chłopca, którego zaadoptowanie przez dziadków autorki na zawsze połączyło dwie rodziny.



Małgorzata Karolina Piekarska,
Maciej Piekarski
Syn dwóch matek
Wydawnictwo Trzecia Strona
Warszawa 2017
Stron 250
ISBN 978-83-64526-38-1

Adam Lizakowski

Blowing in the Wind

Wstęp

Bob Dylan – Literacka Nagroda Nobla za rok 2016. Piewca niepokojów społecznych przez ponad 50 lat. Koncertuje, pisze swoje ballady, komponuje muzykę i na stałe wrasta w scenę literacko-poetycką nie tylko Ameryki, ale także i kultury szeroko pojętej, światowej.

Ballada *Blowin' in the Wind*¹ została wydana w 1963 roku jako pierwszy singiel z drugiego albumu studyjnego pt. *The Freewheelin' Boba Dylana*. Jest utworem, który najbardziej przyczynił się do rozwoju kariery Dylana.

Kompozycja ta stała się jednym z wzorów współczesnej pieśni protestu. Charakteryzuje się prostą, chwytliwą melodią i tekstem, w którym autor stawia pytania (w rzeczywistości retoryczne lub takie, na które trudno jest odpowiedzieć). Na początku lat 60. XX wieku Ameryka znalazła się w centrum walki ruchu o prawa obywatelskie i ruchu antywojennego.

Historia powstania piosenki opisana została przez ówczesnego przyjaciela Dylana, piosenkarza folkowego i później aktora – Davida Blue w filmie *Renaldo & Clara*. Trudno z nim się nie zgodzić: to jedna z najbardziej znanych cytowanych i tajemniczych piosenek wszech czasów. Istnieje wiele interpretacji wersetu *The answer, my friend, is blowin' in the wind?* Jeśli zrozumiemy, o czym jest ten wers, to pojmimy, o czym jest sama piosenka. Dylan jak zawsze niczego nie ułatwia, a nawet swoimi wypowiedziami jeszcze bardziej komplikuje odpowiedź, o czym jest ta ballada. Bagatelizuje jej znaczenie, na wkładce do płyty *Biograph*, wydanej w 1985, nazwał



Bob Dylan w 2010 r.

Fot. wg encyklopedii Wikipedia

ją po prostu „kolejna piosenka”, choć przyznaje, że zdawał sobie sprawę z tego, że jest to wyjątkowy utwór, ale nie wiedział do jakiego stopnia.

Źródła inspiracji

Źródeł do napisania i skomponowania tej ballady jak zawsze w przypadku Boba Dylana jest kilka. Jedna z wersji podaje, iż źródłem (inspiracji) tej kompozycji był utwór *No More Auction Block*, często wtedy wykonywany przez Dylana, a będący tradycyjną pieśnią jeszcze z okresu niewolnictwa Afroamerykanów. Najpewniej Dylan zaznajomił się z tą piosenką dzięki wersji wykonywanej przez słynną murzyńską piosenkarkę Odettę, z którą wiele razy wspólnie koncentrował.

Inna wersja nawiązuje do tematu, który został zaczerpnięty z fragmentu autobiografii Woody Guthrie pt. *Bound for Glory* (Skazany na Sukces), w której ten porównuje swoją wrażliwość polityczną do gazet gnanych na wietrze ulicami i alejami Nowego Jorku. Dylan z pewnością znał tę pracę; jej lektura była punktem zwrotnym w rozwoju intelektualnym i politycznym.²

Znany amerykański pisarz, dziennikarz muzyczny i krytyk, recenzent kulturalny Michael Gray sugeruje, że liryka Dylana obejmuje adaptację retoryki biblijnej do tekstów w jego własnym stylu. Szczególną formą jest częste retoryczne stosowane fraz z Nowego Testamentu oraz wyrażenia oparte na tekstach starotestamentowej *Księgi Ezechiela* (12: 1-2) (4). Tak, Dylan bardzo często korzysta z Biblii, która od pierwszego utworu była źródłem inspiracji.

Ostatecznie jednak okazało się, że melodia „Blowin’ in the Wind” jest zapożyczona ze starej pieśni negro spirituals pt. *No More Auction Block for Me*.

Pierwsza zwrotka tej pieśni (cztery wersy) składa się z dwóch dwuwierszy, kupletów:

No more auction block for me
No more, no more
No more auction block for me
Many thousands gone

No more driver's lash for me
 No more, no more
 No more driver's lash for me
 Many thousands gone

Auction block to pieśń składająca się z czterech zwrotek, mówiąca o licytacji Murzynów z platformy lub jakiegoś podwyższenia na rogu ulicy. Pieśń jest bardzo prosta, jest to prośba do białych plantatorów, aby więcej nie sprzedawali czarnych współobywateli. Tekst posiadał muzykę, która w niewielkim stopniu została zmieniona, ale Dylan napisał do niej nowy tekst, swój tekst – jak to zrobił, pozostanie w domysłach. Jak z kilku powtarzających się słów *No more auction block for me*, doszedł do *How many roads must a man walk down*, jest tajemnicą jego geniuszu. Wczucie się w niedolę czarnego niewolnika przez białego chłopca stało się przeobrażeniem, przemianą amatora prostych tekstów ludowych w mistrza pieśni zaangażowanej społecznie.

O czym jest *Blowin' in the Wind*

Ballada mówi o ludziach dwóch kolorów skóry, o relacjach między nimi, a w szczególności o relacjach pomiędzy białymi i czarnymi w Ameryce, nie mówi o wojnie w Wietnamie, ani zimnej wojnie, czy szukaniu pokoju, jak wielu interpretatorów tej ballady uważa. Utwór jest o niesprawiedliwości społecznej, łamaniu prawa w wyniku brutalności policji, morderstw Ku Klux Klanu i straszliwej dyskryminacji ludzi czarnych. Jest to dialog pomiędzy czarnym i białym człowiekiem. Narratorem jest czarny człowiek, to on stawia pytania przy użyciu wielu metafor:

Ile lat trzeba czekać, zanim z oczu spadną łuski
 Udając, że nic nas nie obchodzi los ludzki?

Pyta wprost: ile razy biały człowiek może odwrócić głowę, zamknąć oczy i udać, że nie widzi przemocy i nienawiści, zanim wszyscy będziemy w stanie pokochać siebie, położyć kres wojnie domowej zanim będziemy szanować siebie nawzajem, swoją wieloetniczność i kulturę, zanim będziemy żyć w pokoju i harmonii?

Biały odpowie, ale wymijająco;
 The answer, my friend, is blowin' in the wind
 The answer is blowin' in the wind

Nie odpowiada konkretnie na tak proste pytanie, wykręca się od odpowiedzi mówiąc: odpowiedź, mój przyjacielu, zna wiatr, jego pytaj, on zna odpowiedź, nie pytaj mnie. Ale po polsku można odpowiedzieć starym polskim przysłowiem, że biednemu zawsze wiatr w oczy. I o tym jest ta ballada też.

Wspomniany już Greil Marcus, urodzony i wychowany w San Francisco, pisze w książce o Dylanie i latach 60., że *Blowin' in the Wind* był wytworem swojej epoki, a następnie dodaje: „Wiesz, są piosenki, które są bardziej napisane przez swoje czasy niż jakąkolwiek osobę w tym czasie, Blowin' jest właśnie jedną z takich piosenek”.³

O tym właśnie jest ten utwór: szukam człowieka w człowieku, ze świecą szukam drugiego człowieka, jestem czarny, szukam człowieka w białym człowieku, czy ktoś mnie słyszy? Nie, nikt mnie nie słyszy, ale powiem wam, że odpowiedź jest w wietrze. On w waszych sercach któregoś dnia zasieje odpowiedź, jeśli ją tam odnajdziecie, moje pytania zostaną faktycznie retoryczne, bez odpowiedzi. O tym jest właśnie ta ballada.

Omówienie utworu. Interpretacja i analiza

Sam tytuł jest już intrygujący *Blowin' in the Wind*, można interpretować na kilka sposobów. Wiatr przyniesie nadzieję, kto sieje wiatr, ten zbiera burzę, wiatr może posprzątać (wywiać) i przynieść nowe porządki, etc. Tytuł jest także refrenem, a oznacza mniej więcej to, że biednemu wiatr zawsze wieje w oczy. Utwór składa się z trzech zwrotek, po osiem wersów każda. Nie pierwsza to ballada zbudowana z pytań retorycznych, na które ma odpowiedzieć w tym przypadku wiatr, czyli w zasadzie nie ma na nie odpowiedzi. Jednak z pytań i jak one są sformułowane, można dowiedzieć się od narratora, o co pyta i co tak naprawdę go interesuje. W każdej z trzech zwrotek narrator pyta o to samo, o człowieka, kiedy człowiek będzie człowiekiem dla drugiego człowieka. Aby wzmocnić swoje pytanie, używa poetyckich narzędzi, takich jak metafora, która upoetycznia pytanie.

Pierwsza zwrotka

Ile człowiek musi przejść dróg,
 Zanim zrezygnuje ze sług?
 Ile mórz musi przelecieć biała gołębicą,
 Zanim minie wielka nawałnica?
 Ile jeszcze kule armatnie wywołają burz,
 Zanim je na zawsze pokryje kurz?
 Odpowie ci mój przyjacielu wiatr,
 Odpowie wiejący wiatr.

Ile beczek soli trzeba zjeść, by poznać człowieka, po ilu drogach przejść, ile par butów zedrzeć, aby być człowiekiem. Kłania się Biblia, aluzja literacka, biała gołębicą, symbol pokoju i jedności, harmonii i miłości, sporo musi się nalatać, zanim znajdzie miejsce na suchym bezpiecznym lądzie. Wersów o kulach armatnich nie trzeba tłumaczyć, koniec wszelkim wojnom i przemocy.

Ballada o tym, że czarny obywatel wielkiej Ameryki pyta się swojego białego współobywatela, co musi się stać, abyś zobaczył we mnie człowieka, swojego brata. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Pokój wciąż jest nieosiągalny.

Druga zwrotka

Nawiązanie po raz kolejny do Biblii. Litanie metafor: ile razy trzeba skierować wzrok, serce do Boga, aby uświadomić sobie jego istnienie? Ile razy można ignorować ból, rozpacz, drugiego człowieka, jak długo trzeba go prześladować, zanim wyciągniemy swoją pomocną dłoń.

Ile razy człowiek musi spojrzeć w górę,
 Zanim zobaczy nieba chmurę?
 Ile par uszów musi człowiek mieć,
 Zanim usłyszeć ludzki płacz będzie chcieć?
 Ilu musi skonać, aby go przekonać,
 Że zbyt wielu ludzi duszę już oddało?
 Odpowie ci mój przyjacielu wiatr,
 Odpowie wiejący wiatr.

Czy nieprzeliczone zgony ludzi, rzesze zabitych, zamordowanych są naprawdę potrzebne, żeby zrozumieć, że zabijanie do niczego dobrego nie prowadzi, na nienawiści niczego się nie zbuduje.

Trzecia zwrotka

Ile lat może istnieć góra, mój Boże,
 Zanim rozmyje ją morze?
 Ile lat niektórzy ludzie muszą żyć,
 Zanim pozwoli się im wolnymi być?
 Ile lat trzeba czekać, zanim z oczu spadną łuski?
 Udając, że nic nas nie obchodzi los ludzki?
 Odpowie ci mój przyjacielu wiatr,
 Odpowie wiejący wiatr.

Dylan bezpośrednio nie pyta, ile trzeba jeszcze zorganizować marszów na Waszyngton, ile trzeba jeszcze takich „pokojowych wypraw” odbyć, aby białe społeczeństwo wreszcie zrozumiało, o co w tym wszystkim chodzi. Słowo „exist” bardzo mocne, mocniejsze niż „live”, ponieważ egzystencja jest mocniejsza od życia.

Zakończenie

Utwór *Blowin' in the Wind* interpretowany jest jako filozoficzne rozważanie Dylana na tematy pokoju, wojny i wolności. Ballada jest krótka, ale zawiera w sobie niesamowitą energię i siłę. Dylan śpiewa ją wyraźnie, co nie zawsze mu się zdarza, bo często mamrocze swoje ballady. Tutaj jego przekaz tej pieśni jest czysty, bardzo świeży i wyrazisty. Autor chce, aby każde słowo było dobrze zrozumiane i wysłuchane. Słowa są wyjątkowo proste, nie ma miejsca na manipulację, nadinterpretację. Wiadomość jest krótka i trafia prosto do serca odbiorcy pod warunkiem, że on ma serce.

Utwór zawiera wiele pytań, będących w większości postulatami rozwoju ludzkości i lepszej przyszłości i nie odnosi się do jakiegoś konkretnego wydarzenia politycznego, co może tłumaczyć jego niezwykłą popularność na przestrzeni lat. Nie zawiera odpowiedzi – każda z trzech zwrotek kończy się tytułowymi słowami: „odpowieź niesie wiatr” (The answer is: blowin’

in the wind), co można interpretować jako zapowiedź nadejścia lepszych czasów.

Utwór jest powszechnie uznawany za jeden z najbardziej znanych i najważniejszych utworów Boba Dylana oraz muzyki popularnej. Prosty, z melodią niewolników zbierających bawełnę, stał się hymnem młodzieży, której dobrobyt amerykański nie odpowiadał. Chcieli czegoś więcej i o tym jest właśnie ta ballada.

Źródła

- ¹ Tekst ballady *Blowin' in the Wind* (s. 63), pochodzi z książki pt. *Bob Dylan. Lyrics 1962-1985* wydanej przez wydawnictwo Alfred A. Knopf. Inc., New York, 1985.
- ² Hampton, Wayne (1986). *Guerrilla Minstrels*. University of Tennessee Press. s. 160, citing *Bound for Glory*, New York: Dutton, 1946, s. 295.
- ³ Gray (2006). *The Bob Dylan Encyclopedia*, ss. 63–64.

Adam Lizakowski
Czerwiec, 2017 r.

Jacek Durski

Myśli

(fragmenty)

2. DUSZA

- 2.1 Twoja dłoń nie widzi innych dłoni.
- 2.2 Lęk przed własną potęgą.
- 2.3 Ścinamy głowy, w których las.
- 2.4 Źrenica telepatii. Przesuwa się skroń na oko.
- 2.5 Podniebie czaszki – wolny dom.
- 2.6 Tajemnica między myślą a słowem.
- 2.7 Dusze z różnych galaktyk.
- 2.8 Niebo piekło, wspólna krawędź.

4. CZŁOWIEK

- 4.1 Dobro zawsze jest zwyczajne.
- 4.2 Boi się prawdy człowiek mały. Duży lęka się miłości.
- 4.3 Uwięziony w ciele. W tym ciasnym życiu.
- 4.4 Światło do złamania.
- 4.5 Mięsień głodu.
- 4.6 Nie ma świętych, z człowieka tylko człowiek.
- 4.7 Zaraża się dusza od ciała.
- 4.8 Przy nodze ślepca niewidomy pies.
- 4.9 Błogosławieństwo przychodzi od drugiego człowieka.

15. PRZYRODA

- 15.1 Wodospad, utwór z wody.
- 15.2 Wycięte skrzydła z wiatru.
- 15.3 Ten płatek śniegu cięższy niż niebo.
- 15.4 Przykryła pejzaż obrusem.

- 15.5 Niebo przeniesione w wiadrze wody.
- 15.6 Dywan czarnych koni.
- 15.7 Wyjęta rzeka z koryta.
- 15.8 Ten ptak umarł w powietrzu, nie spada.
- 15.9 W pustym dębie martwy piorun.

16. KOSMOS

- 16.1 Ciężar czerni. Dno ciężaru.
- 16.2 Słowa z Uniwersum.
- 16.3 Kołyszą gwiazdą planety.
- 16.4 Ponad niebem otchłań.
- 16.5 Niebo to też Ziemia.
- 16.6 Wokół Ziemi krew.
- 16.7 Rysunek kosmosu w dłoniach.
- 16.8 Zwierają się wielkości niemożliwie małe.
- 16.9 Przeczuję śmierć świata. Częstkę boskiego planu.
- 16.10 Refren na liniach czasowych. Wypląnęły Atlantydy.

Jacek Durski

Jacek Durski
Myśli
 Norbertinum, Lublin 2017
 46 str.
 ISBN 978-83-7222-611-2



Małgorzata Szyszko-Kondej

Zostaw serce na ziemi

Hymn Fundacji dla Transplantacji „Zostaw Serce na Ziemi”

Wiem, że nadejdzie taka chwila
Na balu, w łóżku, za sto lat.
Czy zdążę życiu szepnąć „wybacz”
Że żyłem z życiem byle jak?

A przecież wcale nie chcę minąć,
Pęknąć jak balon nagle tak
I żeby po mnie choćby potop,
Pragnę zostawić ważny ślad.

Zostaw serce na ziemi,
Niech cud życia się spełni,
Gdy już będziesz na chmurze,
Spraw, by ktoś pożył dłużej,
Zostaw siebie na ziemi...
Podaruj nadzieję...

Wiem, że przyplynie taki moment,
Gdy anioł znak da, że już kres.
Czy westchnę cicho „żegnaj życie”?
Czy też zwyczajnie powiem „cześć”?

A może warto myśleć dalej,
Przestać się martwić, przestać bać.
Odwagi doda mi też wiara,
Że mogę część siebie dać.

Zostaw serce na ziemi,
Niech cud życia się spełni,
Gdy już będziesz na chmurze,
Spraw, by ktoś pożył dłużej,
Zostaw siebie na ziemi...
Podaruj nadzieję...

Tekst: Małgorzata Szyszko-Kondej, muzyka: Zygmunt Kaliciński, www.dlatransplantacji.pl/

Janusz Andrzejczak

Ogłoszenie

Poszukuję domku
niewiele większego od ula
byle by w nim sucho było
wiatr w jego wnętrzu nie hulał

Tylko na czajnik
starczyłaby mi w nim kuchenka
by w nim raz kowalik gwizdał
raz świergotek ćwierkał

Czy deszcz by o szyby bębnił
czy grom by nad lasem dudnił
by każdy mój dzień
sośnił się świerzył brzoził i dębił
żebym każdego dnia znajdował
nowe żurawie pióro
u studni

Poszukuję domku
niewiele większego od psiej budy
od lęgowej budki
a niech tam
nawet i gniazda mysikrólika
byle tylko szum lasu
do niego przenikał

Byle tylko dach miał szczelny
z ciasno ułożonych
dachówek nieba
z korytarzem po Gwiazdozbiór Kruka

Sam bym go w gęstej nocy wygrzebał
sam bym go w czarnym dębie
z czarnym dzięciołem wystukał

Jerzy Binkowski

Listeczki płaczące na wierzbie

Wyrrywają się z gardła i brzucha szyderców:
bara bara bara basza basza basza
jęczą też żydowskie płaczki stojące na ósmym przystanku
drży Cyrenejczyk pod ciężarem korników na wysuszonej już belce

a inne słowa unoszą czułość z wiatrem huczącym
sięgają do ust starodawnych pisarzy
oraz palców nowoczesnych wędrowców
wstukujących w klawiaturę zrozpaczone i jakże samotne
nieporadne i bezbronne

skaczą sobie do oczu
rozdygotane zgrzytają nerwowo sylaby
rozbryzgują krew w Warszawie Wilnie Krakowie i we Lwowie
a rozpacz w milczeniu maleńkim i cichym
nad Prypecią szemrze wołyń wołyń woła

Polesia czar i czarnych stepowych pieśni echo
jak płaczące na wierzbie listeczki

Wielka Sobota – Wielkanoc 2017

Jaskroń

Spośród brzeziny i olch Sołyjana
kukułka śpiewa
ku ku ku ku brzmi jak żartobliwy uśmiech

a ja w dłoni trzymam maleńkie klucze do szczęścia
pęczek świeżo zerwanych konwalii
białe konwalie idą do pierwszej komunii

przewodzą stadem nieco ogłupiałej zieleni
białe bo wieczne
a czarne zwietrzeje na wietrze

jasność na skroni: Jaskroń

Cezary Dobies

Odpowiedź *

Katarzynie Boruń-Jagodzińskiej

czy powinniśmy pisać
o wydarzeniach bieżących?
– bez futerału wieczności
tego pudełka na sztukę?

*

wczoraj znowu ktoś zranił policjanta
z ładunkiem w ustach, z nożem
co dotyka każdego nerwu
więcej jest ataków w roku
niż w piśmie liter łacińskich

ludzie, którzy świat opisują od dawna
widzą, że nocne myśli są spokojniejsze
czajnik milknie, zioła stają się ulotne
i kartki słuchają cykania zegara

a może nie wolno przedstawiać świata
i zaglądać przez okno w cudzą ulicę
ci, co przybyli z pustyni – są inni
to widać – i nasza staje się wina
że nie umiemy zetrzeć różnicy

przychodzą ludzie z południa
przychodzi ocieplenie

[ubieramy się już...

* Dnia 23 maja 2017 r. w Domu Literatury odbyło się spotkanie autorskie Cezarego Dobies, podczas którego poeta prezentował tomiki wierszy: *Lęki i leki* oraz *Łańcuch. Myśli powiązane*. Spotkanie prowadziła Katarzyna Boruń-Jagodzińska, która zadała poecie pewne pytanie. Wtedy nie odpowiedział na nie. Uczynił to dopiero teraz, i to wierszem.

ubieramy się już nie z zimna
ale po to, aby się nie dotykać
aby nie czuć potu drugiego

czy powinniśmy pisać
o wydarzeniach bieżących?
sam nie wiem – nie umiem powiedzieć

czy noc jest ciemniejsza od świtu?
czy wschód jest dla wszystkich bezpieczny
gdy stary zalewa porządek?

Neuilly-sur-Marne, 24-25 czerwca 2017

Cezary Dobies



Cezary Dobies w czasie spotkania autorskiego. Prowadziła Katarzyna Boruń-Jagodzińska. OW SPP, Dom Literatury w Warszawie, 23 maja 2017 r.

Sylvia Gibaszek

Podróż z przesiadką

I

Zbyszek Rogalski
akustyk bluesowy gitarzysta
wielbiciel malarstwa weneckiego szkła
urzeczony norweskim szamanem Vasvikiem
na festiwalu dźwięków północy

miesiąc później
pasiata pidżama kroplówka
totalny spadek potasu
proza Mai Lunde
przykuty do łóżka jeszcze mówi

dwa miesiące później
pasiasta piżama
przerzuty z trzustki do gardła i nerek
bełkot
pampersy
szósty w kolejce

II

sąsiad jak zawsze śpiewa psalmy
teraz trzy tony wyżej i głośniej
zaliczył tatry
niesie kolejne w żółtych puszkach
idziemy przez błoto po deszczu
nad dachami tęcza dym z komina
dwukołowy wózek z lodówką
przystaje woźnica o poczerniałej twarzy
gniecie rogi kraciastej chustki
zwęglone niebo do kałuż spływa
smoła do butów się przykleja

zaraz będę u Ciebie
tylko trzy kroki
z Oksywia do hospicjum

III

Zbyszek nie odbiera
raz dwa trzy
pocztą głosowa
nie ma już miejsca na nagranie wiadomości

Zbyszek dzwoni do mnie
odbieram
nie ma już głosu

IV

ustaje krwiobieg
mocz soki żołądkowe zatrzymane jak auta w korku

a gdzie Ty jesteś

czy tak Ci się chciało wolności
że przesiadłeś się w lesie

czy w mieście jak smog nad dachami zawisłeś
albo po szybach z deszczem spływasz

uważaj na silny wiatr
nie rozbij się o maszty telefonii komórkowej
wieże kościołów

gdybyś przypadkiem w locie w zaświaty
zderzył się ze mną jak owad
na tarasie wpadł mi do herbaty
niczym suseł z krainy czarów

czy trochę będę Tobą
czy Ty staniesz się częścią mnie

V

R. mówił że odwiedzisz mnie we śnie
(podobno wszyscy umarli tak robią)
nie chcę cię widzieć bo uciekłeś przed świętami
a ja małam już dla Ciebie kupiony prezent
książkę z dedykacją

nie chcę cię widzieć ani na jawie ani we śnie
przybądź do mnie jako pneuma
krew zamieniona w wino
para wodna z czajnika
napij się ze mną jak zawsze przy dźwiękach bluesa
daj mi znak że istnieje coś więcej niż obieg materii
pokuś się o jakiś metafizyczny wybieg

nawet jeśli będziesz kłamał
na wieki wieków

VI

pamiętam z dzieciństwa cyganów
ucztujących ze zmarłymi
rozkładali na grobach białe obrusy
wazy z bigosem chleb
wino

a ty piłeś piwo nad mogiłą rodziców
pamiętam jak szedłeś co niedzielę
na oksywski cmentarz z żółtą puszką

w dniu Twoich urodzin siadę przy grobie jak przy stole
wypiję za życie pozagrobowe
na zdrowie w szklance z grubego szkła

naprawdę nie cierpię death metalu

Sylvia Gibaszek

Joanna Jagiełło

Przystanek łąka

*W niektóre miejsca
nie powinno się wracać...*

Nie wiem, po co tam pojechałam.
Ostry zapach skaju, nieumytych mężczyzn,
paragon zamiast biletu.
Przystanek łąka.
To tutaj, to kiedyś.

Rozchyłam sierść traw
szukając ciepłego ciała ziemi,
dotykam nieba rozpalonego rumiankami gwiazd
i nagle ta ziemia, te trawy pachną tobą.

Nie wiem już, gdzie jest góra, gdzie dół,
gdzie niebo, gdzie ziemia,
i nie wiem, czy to trawa tak kłuje, czy twoja broda.
Śmiałam się, że wszystko w niej jest,
teraz też znajduję: paperek po cukierku i małe ptasie
gniazdo.

Połknąłeś słońce, które wciąż grzeje pod twoim pępkiem.
W nagłym drzeniu sięgam dłonią daleko
i zgniatam delikatne makowe płatki na miazgę,
potem umaluję się nimi dla ciebie jak szminką.
Ale świat się rozjaśnia, niechciany,
mrużę oczy –
coś zasklepiło się, stwardniało.

Niespokojnymi rękami rozgarniam trawy i rumianki,
kopię w piachu palcami,
rozrywam jak piezzonego kurczaka,
oszałała z głodu.

I modłę się, żeby rozstąpiła się ziemia

i przywróciła mi ciebie, jak ocean wypływa
 wraki statków, gumowce i meduzy,
 ale tam, pod zielonym niebem pełnym rumiankowych
 gwiazd,
 tylko białe i ciepłe kości
 innych kochanków.

Wpadnij do nas kiedyś

1

Przez koronki oszronionych świerków,
 białe falbany wzgórz, patchworki pól,
 biegłyśmy do siebie.
 Kładłam głowę na twoim ciepłym brzuchu.
Ciekawe, jak to jest – całować się z jęczyzkiem,
bo boję się, że nie będę umiała.
 Spróbowaliśmy.
 Myślałam, że to jak jeść żywe rybki,
 jak być sobą i tobą jednocześnie.

2

Ale młodość to tylko suknia nieślubna,
 którą zdejmuje się na zawsze
 i odwiesza do szafy pamięci.
 Teraz już w innym lesie
 miałyśmy odnaleźć kwiat wielu nocy.
 Każda z nas tego mężczyznę jak dąb,
 którego pień spłodzi syna i codzienność.

3

Nie odbierałaś telefonów.
 Zamilkły wzgórze i las,
 gałęzie zwiędły pod zbyt ciężkim śniegiem.
 Choć szukałam cię wszędzie:

pod paprociami i księżycową pełnią,
znalazłam dopiero wtedy, gdy przestałam szukać.

4

Pchałaś wózek, w drugiej ręce trzymałaś zakupy.
Ziemniaki i pomidory wpadły w śnieg.
Pomogłam ci je pozbierać
i na chwilę zetknęły się nasze oczy.
Koleżanka ze szkoły –
przedstawiłaś mnie mężowi i psu.
Wpadnij do nas kiedyś –
dodałaś. *Ona się strasznie nudzi* – to mąż.
Wyglądałaś na zmęczoną, ale byłaś dobrze ubrana,
a ja stałam przed tobą naga
i odarta ze wszystkiego.
W naszym lesie właśnie zaczynała się odwilż.



Wiersze pochodzą z tomu

Joanna Jagiełło
Perspektywa powietrzna
Wydawnictwo Mons Admirabilis
Iwonicz-Zdrój 2017
Str. 78
ISBN 978-83-94760-33-5

Eugeniusz Kasjanowicz

List do George Sand

Danucie Stence

Tak droga George
nie mogłaś znaleźć
punktu zaczepienia dla ognia
płonął w tobie
podsycany dźwiękami Fryderyka
jak pachnącymi żywicą
kawałkami drewna
które trzaskały w kominku Liszta
w Paryżu
a może to los
Napięcie rosnęło
na całym ciele czułaś jego dłonie
choć były jeszcze
chłodne dla ciebie
Zduszone dymem cygar
powietrze łkało
i twój ubiór biało-czerwony
niczym *Polonez As-dur*
do którego zbliżałaś się na palcach
Później zachłyśnięcie sobą
Mallorca kilka lat w Nohant
czy mogłaś zrobić coś jeszcze
dla niego
bo jakby ciągle mało...
Została wielka przestrzeń
wokół nas
z której sączą się
krople jego krwi
poruszając struny

Joanna Kulmowa

Żeby nie wiedzieć

Mam nadzieję że i z tamtej strony
będzie niezaspokojenie:
słowo nieodczytane we mnie
Widok niedopatrzony.

Tego chcę
po to będę umierała
na wszechwiedzy mi nie zależy

Bo gdybym wszystko wiedziała
Po co byłoby mi nie żyć?

Rówieśnicy

Uparli się umierać moi rówieśnicy
jedni się po drugich uparli.
Uciekają choćby zaraz choćby dzisiaj.

Jak całkiem żywi bywali –
tak całkiem bywają umarli.

Kawalarze kostnicy
w grymasach śmierci zgodni
pionierzy dowcipnisie
pragną miejsca ustąpić figlarnie
nam rówieśnym.

Nam
starszym już od nich.

Skrzydła poetów

Jerzemu Ficowskiemu

Kamienieje wiek dwudziesty pierwszy
czarną pustkę wykuwa po sobie.

Nie dano czuwać na twoim grobie
ptakom twoich wierszy.

Uleciały metalowe cienie
ich trzepot nie słyszał nikt.
Przedłużyło się twoje milczenie
o ptasi
niemy
krzyk.

To nic.
Nasze światy nie teraz i nie tu.
Co nam po metalowych konkretach.

Dłużej niż kamień i metal
trwać będą lotne słowa.

Skrzydła
poetów.

Wszystko

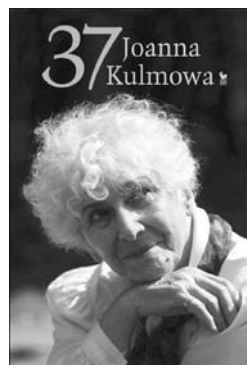
Zapukała do mnie wiosna kropelkami
na szybach.
Zwierzam się trasom dalekim i listkom.

A one:
„Co, starucho? Żyje się?”

Nie wiem.
Pisze się.

„A to jest właśnie wszystko”.

Joanna Kulmowa
Jeszcze 37 wierszy
Iskry, Warszawa 2017, stron 80
ISBN: 978-83-244-0479-7



Jerzy Marciniak

Pieśń dla Laury

Till Laura Marciniak

I będę śpiewał
Chociaż nie znam pieśni tej słów
I grał
Mimo iż nie mam nut
I zanim skończę mój krzyk
To zacznę od nowa i znowu i znów

I będzie świt
Co kroplami rosy łodygi traw pochyla
I brzask
Co nocy odejście przyśpiesza
I czas
Gdzie od godziny dłuższa jest chwila
I śpiew
Który nadejście i odejście nadziei rozgrzesza

I będę śpiewał
Chociaż mój głos od dawna nie opuszcza krtani
I grał
Na wierzbowej fujarce
I rwał
Skrzypiec struny co ciszy nuty rani
I trwał
Chociaż ciągle daleko mi będzie do przystani

I będzie noc
Zwidami cieni roztańczona
I moja pieśń dla Laury
I krzyk i mój śpiew
I cisza moją muzyką nie zraniona
I nasłuchiwanie dźwięków
W dalekiej mowie ech

I będą odejścia
I powroty moje
Do miejsc których wcześniej nie znałem
I pierwsze słowa Laury
I moje szczęśliwe starcze łzy
Których
Do końca jeszcze nie wypłakałem

I znowu będzie
To
Czego jeszcze nie było
I gra na skrzypcach bez strun
I cisza
I śpiew mój od nowa i znowu i znów
I nowe pieśni nocy
Z pożyczonych od Laury słów

I znowu mój śpiew

Piotr Müldner-Nieckowski

Baloniki z helem

Nie jest tak, że nie wiedzą, oni czują inaczej,
czują nie to, co jest, ale to, co czują,
i to jest nadzwyczajne, podniecające,
to nie są debile, głuptaki i wariaci,
to kładzie na łopatki, bo to, co jest naprawdę, nie jest tym,
co oni czują, rozumiesz: oni są w innym świecie,
jedzą i piją co innego, głosują na kogo innego,
rzy-ggghhh-ają czym innym i ryczą ze śmiechu –
kompletnie z czego innego, ale na szczęście
przeszli na drugą stronę ulicy, zabrali baloniki z helem
i zrobili nam chwilowo przejście, więc się pośpiesz

Pod słońce

Nie patrząc pod słońce widzisz wciąż te same
opatrzone do znudzenia piękności świata
zielone rośliny, brązowe zwierzęta
czerwono kryte domy i czarne sylwetki ludzi
ale tylko zwróć oczy w stronę żółtopłonącej kuli
a zobaczysz gigantyczne przestrzenie inności
która tak porówna że twój pobyt tutaj wydaje się niczym
i w głowie dotychczas zajętej sobą zaczyna szumieć

Tysiąc dwieście

Na pudełku napisano „Süss-stoff tabletten
zum kalorienverminderten ca. 1200 Stück = 72 g”
około tysiąca dwustu tabletek preparatu
zastępczego do niskokalorycznego wysładzania
herbat i kaw nie bardzo wierzyłem więc przeliczyłem

i wyszło że tam jest równo tysiąc dwieście tabletek
 ani jednej więcej ani jednej mniej żadnej skradzionej
 żadnej w zapasie tyle ile jest na etykietce
 ale dałem jeszcze do zbadania siostrze bratu kuzynce
 poprosiłem sąsiadkę i dozorcę całą ulicę i dzielnicę
 kolegów z uniwersytetu adiunktów dziekana
 całą Warszawę i Mazowsze i wszystkim wychodziło
 ni mniej ni więcej tylko tysiąc dwieście ci Niemcy
 przecież napisali „ca.” co znaczy circa „około”
 „mniej więcej” albo też „trochę więcej” lub „trochę mniej” niż
 jeden tysiąc dwieście lecz nie skorzystali z żadnego marginesu
 nie poszli na żadną pomyłkę żadną niedokładność ludzki błąd
 normalną błyskawiczną niechlujność z chwilowej nieuwagi
 właśnie na dworze zaczął padać deszcz i sypiąca tabletki do
 pudełka mogła spojrzeć przez okno czegoś nie dosypać albo
 coś nadsypać ale nie – oni muszą – nawet kiedy dzwoni
 pogotowie ratunkowe że dziecko wpadło pod pociąg i już
 jedzie do szpitala nadal będą ci sypać tak dokładnie że zęby bolą
 bomba spada na miasto rujnuje ratusz przewracają się kamienice
 znika Morze Bałtyckie wyrasta Wezuwiusz w Berlinie
 a tam i tak dokładnie jeden tysiąc dwieście

Z prywatnego posiedzenia w ogródku

Myślmy o tym,
 co się zdarzyło, i wiemy, jak przebiegło,
 kto tego dokonał, kto skorzystał i dlaczego
 śmiał się z likwidacji tak wielu
 zaskoczonych ludzi.

Cała Światowa Sieć zbiorowym umysłem
 uśredniła newsy, żeśmy zmieceni
 z powierzchni Ziemi, wtopieni w szklane obrazki
 historii.

Powoje, których dziurawy mózg nie zna,
 jednak pną się powoli.

Piec gorących wewnątrz wypala
glinę mis cierpliwości.

Jedna z naszych koleżanek
wkrótce urodzi nową osobę,
druga już sieje niezniszczalną trawę na drodze,
trzecia cedzi deszcz, padający z odrodzonej chmury,
a my ostrzemy siekiery, będziemy sadzić zagajnik.

Portret nauczyciela widziany na żywo przez lornetkę

Tak wygląda autorytet, którym byłeś zafascynowany
jeszcze dwadzieścia lat temu, kiedy nie wiedziałeś,
że przyjdzie czas obalania autorytetów,
gdyż autorytety, które wyglądają jak on,
ta twarz pełna zamyślenia i usta wolno wypuszczające
w świat słowa, które mają ogromne znaczenie, to właśnie
żadne takie autorytety nie powinny stać na drodze tych,
którzy są autorytetami sami dla siebie i są mądrzy,
kiedy mają do wypowiedzenia dużo słów przechwyconych
w eterze z przyszłości, tej której nigdy nie zrozumieją,
gdyż po dojściu do przyszłego zdarzenia przyszłość
znów im się skutecznie oddali, nie pozwoli dotknąć
i tak bez ustanku będą autorytarnie gonić, aż
przyjdzie autorytatycznie podparty pod boki dzień sądny,
chwila, w której nikt nie umiera,
ale w której wszystko zaczyna się od początku

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

La Nause

ocean
oddycha
falami

gdy stoję nad brzegiem
pełnym szczątków plastiku i martwych krabów
widzę że zbiera mu się raczej na wymioty

jak mnie

on ma więcej powodów
więcej brzegów
i styku ze światem
od brzegu do brzegu nim wstrząsa
bezbrzeżne obrzydzenie

niestrawność ludzkich śmieci

Róża

biała ma policzki
z lekkich westchnień
zdrowego dziecka

czerwona z czystego pożądania
i wstydu niespełnienia
otwiera się codziennie szerzej

Lato

lato świeci
i grzeje i pachnie

i kwitnie i tańczy
i śpiewa i karmi
i poi i pędzi
i przysypia i wydaje
za dużo i rozdaje darmo
i zachłystuje się sobą
i obiecuje
o, obiecuje
zawsze ponad stan

Jaskółki

jesteśmy patriotkami
tutejszego powietrza
pełnego much tłustych
fruwającego mięsa
do zatykania dziobów
kwilących piskląt

emigrujemy na zimę
co roku wracamy
przemieniać ponure bzyczenie
na świergot

pod wieczór nasza eskadra
przechesuje powietrze
w szalonym locie
psuje się szyk
niektóre siostry w pogoni
prawie zawadzają o głowy idących ludzi

pewnego dnia nagle
cisza sierpniowa
otwiera wczesną jesień

Anna Nasiłowska

Alicja Patey-Grabowska (Steffen)

Do C.K. Norwida

*Parafraza wierszy: „Do obywatela Johna Brown”,
„Moja piosenka”, „Coś Ty Atenom zrobił, Sokratesie...”*

Przez oceanu ruchome płaszczyzny

Nie-do-myślenia

myślenia o niczym

Kiedy idee jak otwarta księga

ciągle zwodnicze

Nie-do-myślenia

myślenie o myśli

która w realnym kształcie

już się wyśni

I gromkim głosem

niczym wiersz Norwida

wieszczy

złowieszczy

jakby głosy z nieba

rozfalowały idei płaszczyzny

Kto cię uśmiercił

biedny Sokratesie

że twoja ręka

kielich do ust niesie?

Ile pogrzebów

miałeś Mickiewiczu?

A Ty Norwidzie?

Czy palą się znicze

na grobie który

nie jest Twoim grobem?

Przed twoim wierszem

i proroczym głosem

trzeba pochylić

pokornie głowę

Wsluchać się w słowa
które z morza myśli
wyłonią dla pokoleń
znak

23.05.2017 (w 134. rocznicę śmierci C.K. Norwida)

Okno

Każdy człowiek ma okno
przez które boi się wyglądać
okno przez które widzi dalej
gdzie horyzont jak ciemna kreska
od której smugą sączy się mrok

W pejzażu z tego okna zobaczy to
czego nie pamięta
to co zagrzebał skrzętnie
w piasku zapomnienia

Tam przelatują
czarne nietoperze –
Myśli

Więc ryglujemy okno
przykrywamy tapetą słoneczne kwiaty

Las

Przedemną las
zamedemną las
opasujemnie ciemnym pierścieniem
I chociaż każde drzewo namacalne
wzrokiem zdejmuję korę
czuję jego tkanki
smak soku który w liniach

papilarnych liści
krąży jak niewiadoma
dawno już zbadana

I chociaż dłonią błędę
po chropawym ciele
dotykem sprawdzam
jego naturalność

przede mną las
za mną las

A ja z zielenią w oczach

Alicja Patey-Grabowska (Steffen)

Baśka eR.

A jeśli już nie ma

takiego miejsca na Ziemi
miejsca na świecie
jeśli już nic nie znaczą
wolność i miłość
i kiedy znowu
pragnę umierać
bez ostatecznej
wizji Wszechświata
czas umierać?
czy ponownie
powstać z kolan
na obrzeżach
własnej niedoskonałości

wigilia urodzin

* * *

Ktoś wychodzi przed świtem
gość? kochanek? śmierć?
może cała trójca już nie święta
a ja śnięta się zdaję być
poprzek krzyk Madonny

przeklęta
zawiniona tyle
zbrodni wobec duszy
– nieustannym potrzasku
w pułapce życia

rozrasta się we mnie

starsza o każdy gest
słowa
– przepraszam przeszkadzam
na chwilę wdzieram się
w twoją pamięć –
ona rozpija mnie
alkoholiczka snu i jawy
zdobywa mnie uśmiechem dziecka
tnie na twarzy półprawdy
otwiera usta
w zdumieniu

– przepraszam jestem
żyję kaleczę czas
ona
która serce
wdeptała w miłość

Krzysztof Saturnin Schreyer

List do żony

Muszę napisać list do Ciebie
do Nieba, przecież jesteś w niebie!?
Po tylu bólach? Wielki Boże,
Twój wyrok inny być nie może.

A więc bujając teraz w Niebie,
czy moje myśli czytasz? Nie wiem.
Kiedyś bez trudu je czytałaś
i już u progu nie musiałaś
pytać mnie, sztucznie pogodnego,
czy się zdarzyło coś przykrego?

A więc napiszę: – Brak mi Ciebie
i spytam: – Jak się czujesz w Niebie?
Mnie przypominać nie potrzeba
o naszych ziemskich chwilach nieba,
chwilach zwyczajnych, jak te w Święta,
które znów widzę i pamiętam.
Szliśmy ulicą roziskrzoną,
jarmarcznym blichтром ustrojoną,
z wystaw przepychem, drzewek lasem,
świętecznym ciesząc się hałasem.

Tak ręka w rękę Nowym Światem,
w witryny patrząc za Rozbratem,
płynęły w szczęściu dwie istoty
i to był fragment nieba złoty.

Wystrój ulicy, choć obfity,
teraz jest dziwnie pospolity.
Gdy z oczu twoich blask nie bije,
udaję radość, lecz nie żyję.
Bo miłość była zapatrzeniem
w uroków magię, jednym drzeniem
i niebem, gdyśmy razem stali
i świat w dwójkasób odczuwali.

Teraz gdy chodzę smutno w Święta,
nie wiem co lepsze, czy pamiętać,

czy też zapomnieć lepiej trzeba
o dawnych, zwykłych chwilach nieba?

23-26 XII 2016

Nadzieja

Żyć chwilą, polecenie trudne, chociaż cenne,
mam z nim wielkie trudności, te same, niezienne,
bo kiedy piękne chwile zbieram po kolei,
brakuje mi jednego, brakuje nadziei.

Nie brakło wcale celów ni marzeń w młodości,
a największe marzenie było o miłości,
lecz gdy przyszedł czas trudny, bo odeszła Ona,
gdy długa droga zmagani prawie zakończona,
bardzo słabym balsamem jest ta dobra chwila,
która mi wprawdzie życie chwilowo umila,
lecz im lepiej ukoi, radośniej zabawia,
tym większą potem próżnię po sobie zostawia.

Na marne terapeuci, doktorzy się silą,
by cię szczęścia nauczyć, wskazać, jak żyć chwilą.
Samotnie nie pokonasz natrętnej żalości –
tu przyjaciół potrzeba i trzeba miłości.
Ona, choćby łagodna, ale bliska z ducha,
starczy, że poda rękę, starczy, że wysłucha.

Przywołaj to pragnienie, którym kiedyś żyłeś,
gdy serce niespokojne nadzieją karmiłeś.
Niechaj ci stale służy i niech wiernie wspiera,
wszak ostatnia z cnót wszelkich nadzieja umiera.

4 VI 2017

Jerzy Śleszyński

Dobra wiadomość

Prawie dwa lata
minęły
bywałem w różnych miejscach
nawiedzanych wcześniej chętnie razem

słuchałem upajających i sennych koncertów
oglądałem wspaniałe i płaskie filmy
zwiedzałem piękne i takie sobie obiekty
wnikałem w mądre i popularne wystawy

i uwaga
dobra wiadomość
nie spotkałem żadnej z osób
z którymi byłem kiedyś nieco bliżej

wiem
przyjaźń nie istnieje
pamiętam szczere wyznanie
„no ślubu przecież ze sobą nie braliśmy”

Nieruchomość na sprzedaż

Rok po roku
przybywa prędkości i nieuwagi

ludzie cisi
nie są błogosławieni
ludzi spokojnego serca
ma się za nic

ruch
wirowy ruch

jak wysoki turban huraganu
karuzela zdarzeń

vita contemplativa
co to jest
po co to
nikt nie rozumie

zmiana rządu
najlepiej zmiana nieodwracalna
żeby żal stał się śmieszny
a stałość była grzechem

nie ma litości
nieruchomość na sprzedaż

Kazimierz Świągocki

Blues o Wielkim Ptaku

Dokąd mnie woła krzyk Wielkiego Ptaka,
co w szponach przenosi obłoki?

Po Wielkim Polu, sto mil od Księżycy,
w cieniu Wielkiego płynie Ziemia.

Dokąd mnie wiegie lot Wielkiego Ptaka?

W oczach Wielkiego umierają gwiazdy,
giną lasy.

Co mówi do mnie wzrok Wielkiego Ptaka?

Widziałem, jak u powalonych gór
w szumie piór łany zbóż dojrzewają i nikną.

Dokąd mnie niesie cień Wielkiego Ptaka?

Wiatr od Boga

Kiedy Wielki Ptak
zatrzepotał we mnie
skrzydłami chmur,
popłynął śnieg
przez puste żył arterie.

Rosłem gwiazdą i zorzą polarną,
a myśli mych lodowe góry
kruszył w morze
Północny Duch
jak złe ziarna.

Wysoko moja krew
płynęła ciemnym niebem
wołając: wyjdź
wędrowcze nad swe brzegi.
Woła cię bowiem Wielki Ptak
na niewiadomy połów,
a światło zgasłych ciał
do biesiadnego wzywa stołu.

Uniosłem się na skrzydłach chmur,
gdzie księżyc bezszelestnie
pił rogiem nowiu
moją krew,
a Bóg był we śnie.

Dotknąłem więc Bożego snu
jak ziemi zbawczej –
stoczyła gwiazda się w mój słuch
ogromnym płaczem.

I zrozumiałem: Bóg mnie śni,
ja rosnę na snu jego glebie;
gwiazda we mnie się toczy i grzmi,
wiatr od Boga mi serce kolebie.

Przed lustrem

Lustro ciebie przekroi na rzecz i odbicie,
wypłyną na powierzchnię jak oliwa grzechy
i siebie błagać będziesz o litość nad sobą.
Cień nawet cię opuści w tę godzinę sądu.

Wówczas staniesz jak słońce bez własnego cienia
oparty o spojrzenie kosmicznego oka,
gwiazda losu ci spadnie w naczynie sumienia,
a cisza palec Boży położy na ustach.

Ciało

*Nędzny ja człowiek!
Któż mnie wybawi z tego ciała śmierci?
Rzym. 7, 24*

A jednak, ciało, tyś jest mięszem rzeczy.
W tobie sensu dochodzi sól, pszenica, woda;
ciemny wiatr krew prowadzi wąwozami tętnic
tam, gdzie gwiazda się pali nad słońca zachodem.

Ty jesteś, ciało, ziemią obiecaną
idącą kołem w ślad za naszym głodem.
Kto głód zrozumie, temu zapisano
całą tę ziemię w nagrodę.

A kto zrozumie wiatr w wąwozach tętnic
idący tchnieniem krwi, i kto krew pojmie,
temu ziemia w modlitwie i obłędzie
objawi się jak mit
i Boga dziwna przypowieść.

I weźmie ziemi garść – swe ciało – w drżące dłonie
i będzie niósł jak najcenniejszą z rzeczy
tam, gdzie Wielki Ogień je pochłonie
i rozsądzi archaniola mieczem.

Kazimierz Świątkowski

Grzegorz Walczak

Treny Mojej Matce

Poetycki monodram zaduszkowy

(fragmenty)

*Takie są dusze ludzi, jakim światłem
sam ojciec Jowisz oświecił żyźne ziemie*
Homer

Pieśń dzwonów (tekst śpiewany)

Jest taka ścieżka, co wiedzie nas
tam, gdzie króluje On.
Kiedy się skończy nasz ziemski czas,
w sercu wybuchnie dzwon.

Porzucisz szaty i własną twarz,
nawet rodzinny dom.
Pamięć o tobie rozwieje czas,
tylko daleko stąd

w mrokach bezkresu, gdzie gwiazdny rój
rozbłyśnie nowy punkt.
Może się zbudzi w nim nowy świat,
ten nikły po mnie ślad.

* * *

Tam, gdzie się niebo zawali,
przemkną cienie ukradkiem
– umarła Matka.
Niosą wystygłą nadzieję,
niosą w czterech deskach,
nic nie niosą.

Twoje skargi hamowane
dzisiaj rozumiem.
Żyłaś czekaniem na mnie,
zasłuchana w listy.
Moje myśli zdrętwiały
jak wróble zimą na drutach.
Twoje serce...
– kamień na półce kostnicy.

*(motyw wokalny) Takie są dusze ludzi, jakim światłem
sam ojciec Jowisz oświecił żyzne ziemie*

Zostałaś Matko za kołatką
za pobrzękaniem,
za kluczeniem
I we mnie słońce się czerwieni
naprzeciw sennym wodom chyli.
Hej, zobaczymy się na stawach,
na białej od łabędzi łące,
na pomyśleniu,
na zmówieniu,
na naszej gwieździe szybującej.
Nieprawda Matko – nie wierz bratkom,
co tak cię skoro porastają,
że już po smutku,
gdy kwiat w ogródku,
ot, kładę ci gałązkę maju.
Zostałaś Matko tam za kładką,
za przechyleniem
w skośnym cieniu
I we mnie słońce się czerwieni
naprzeciw sennym wodom chyli.

„*Moja modlitwa*” (tekst śpiewany)

Zbaw nas Panie, w noc bezsenną
od wilgotnych, pustych ścian,

od zapańtrzeń niewidzących,
schyłku dnia.

Nie wódź nas na pokuszenie,
od tej groźnej zimy zbaw
i od chwili, co spełnieniem
ślepnie w nas.

Zbaw od cieni wiekuistych,
od gonitwy chciwych rąk,
zbaw od przerażonych myśli,
niechaj mrą.

A gdy czoło poradłone
Upokorzy czasu piach,
Od nieskończoności, Boże,
Zbaw nas, zbaw.
Zbaw nas, zbaw.

Cień mi twarz oczernia,
oczy mi zasłania niby zwiewny tren.
Matko łaskiś pełna,
zostawiłaś we mnie boleściwy cień.
Twarz mi krzepnie bólem,
a gdzie wzrok mój padnie,
wszędzie widzę ręce
Twoje nieporadne,
ręce odtrącone,
a tak pracowite,
że aż palce bladły
od nadziei skrytej.
Czemu się żaliesz?
Wszak wszystko w popiół.
I tyś umarły,
tyle, że za chwilę.
Padają drzewa
w butwiejącym mroku
...i twoja gwiazda

niby srebrny sztylet.

Cień mi twarz oczernia,
oczy mi zasłania niby zwiewny tren.
Matko, która byłaś,
kiedy wejść w ciemność,
światłem we mnie wszedź.
(...)

Nocy tusz (tekst śpiewany)

Już gaśnie dzień,
nadchodzi noc.

Już oczy me
zalewa mrok,
czarny tusz,
nocy krew.
Poranek już
nie zbudzi mnie.
W zegarach czas
zatrzyma się.
W żyłach mych
nocy tusz.

Już gaśnie dzień,
nadchodzi noc.

Już oczy me
zalewa mrok,
czarny tusz,
nocy ły.
czarny tusz,
nocy ły.
czarny tusz.

(...)

Grzegorz Walczak

NOTA

Poetycko-muzyczny monodram zaduszkowy „Treny mojej Matce”**22.11.2015 w Cegłowie k. Mińska Mazowieckiego**

W Klubie „Kulturalne Zacisze” zagościła poezja przeplatana muzyką Fryderyka Chopina oraz Grzegorza Walczaka w jego pełnym liryzmu i zadumy autorskim spektaklu zaduszkowym. Ideą tego poetycko-muzycznego przedstawienia było ukazanie oczami żyjącego w naszych czasach poety najgłębszych dramatycznych przeżyć, jakie wcześniej czy później dotyczą nas wszystkich, związanych ze śmiercią najbliższych. Wspaniała interpretacja tekstów homeryckiej *Odysei*, najwybitniejszego dzieła polskiego Renesansu jakim są *Treny* Jana Kochanowskiego, wierszy Bolesława Leśmiana oraz Władysława Broniewskiego w wykonaniu twórcy scenariusza zachwycała i ogromnie wzruszyła publiczność. Częścią główną spektaklu była poezja Grzegorza Walczaka, publikowana wcześniej w tomikach tego autora oraz emitowana w formie słuchowisk Programu I Polskiego Radia. Dramaturgię spektaklu budowała specjalnie przygotowana dla jego potrzeb muzyka partii wokalnych autorstwa Grzegorza Walczaka (*Pieśń dzwonów*, *Ślady Twoich stóp*, *Moja modlitwa*, dystych *Takie są dusze ludzi z Odysei*). Całość spletała przepiękna muzyka naszego najwybitniejszego kompozytora z wielkim wyczuciem i wrażliwością zagrana przez wybitną szopenistkę Ewę Beatę Ossowską.

W finale usłyszeliśmy *Walca As-dur* oraz brawurowo zagrany *Etiudę Rewolucyjną*. Spektakl został nagrodzony gromkimi brawami, a po przedstawieniu widzowie mieli okazję do bezpośredniej rozmowy i spotkania z wybitnymi artystami.

Tadeusz Lempkowski



„Treny” G. Walczaka były wykonywane także w Podziemiach Kamedulskich w Łasku Bieleńskim w Warszawie, patrz zdjęcie powyżej: Wojciech Siemion i autor – recytacja oraz Krzysztof Ścierański – gitara basowa i inne instrumenty; ponadto w kościele w Opinogórze, gdzie autor interpretował swoje teksty i śpiewał pieśni z muzyką własną, a swoją muzykę instrumentalną prezentował Krzysztof Ścierański. (pmm)

Marta Zelwan

Sezon jaszczurek

(fragmenty)

czarne morze

czarne morze
to ciemność
w głębi ogromnej kadzi –
zaglądamy do tego morza
w jakimś przedpokoju, holu, półmroku, westybulu
w zamczysku, w hotelu, w półświecie, w pół nocy –
sny antyszambrują
same nie wiedzą, co robić
płyną strużką nocną na wyspę, w kąt zatoki
tam nas zostawiają

sieć

kobiety ciche
w schyleniu
prawie niewidzialne
łapią pogubione oczka sieci
wiążą sieć
przeplatają nici przez obręcz ścięciem pętelkowym
wokół, po kole
gładkim, bez promieni –
obwód jest biała
doskonała jak mandala
w środku pustka
tylko pustka nigdy nie jest pusta –
za wielkim oknem
nieprzeniknione miasto ze szkła

sezon jaszczurek

w białej sali owalnej
na ścianach poruszają się cienie
sztalugi rozstawione są w krąg

na płótnach biel
posadzka w lekkim, kołującym ruchu
cisza marmurowobiała –
wtem
śmiech
na parapecie okna siada
kobieta o brązowych włosach
w których kręcą się złote, miniaturowe
jaszczurki –
śmieje się
mówi o pewnej malarce
że wyszła i nie wróciła
nie ma jej nigdzie
nie ma obrazów, szkiców
luźnych kartek, ciskanych płam
nie ma tlenków ołowiu, glinu, może nawet węgla –
kobieta potrząsa głową, śmieje się
jej twarz pozłacana piegami
zbiera światło, tyle światła
że na marmurowobiałym parapecie
rzeźbi się szczelina
gdzie w zebranych świetle
żyje mrok –
pośrodku owalnej sali stoi parawan
spod którego wypływa
kałuża szeptów o tym, co się stało –
czarna plama

iluzjon

trzeba się rozstać
powiedzieli
to nic osobistego –
nowe chtoniczne sprawy
nowe światy w tym samym miejscu
nowe epoki czarnych plastikowych worków
trudne sytuacje czuciowe w firmie
iluzjon

której neon, widoczny przez okno
 należał dawniej do operetki
 jak też
 małe fioletowe drzwiczki zamykane na pęk
 srebrnych kluczy
 sejf na piosenki
 których słowa
 pisały się po podłodze –
 pisały się, przepływały, wyśpiewane znikwały
 w najciemniejszym kącie –
 wszystko to pójdzie na czary
 powiedzieli

przeprowadzka

w pudłach kartonowych
 rozdarte
 listy, kartki, pergaminy
 świstki, bibuły, weliny
 oficjalne formularze, pismo i druk
 jasny brąz
 kość tektury
 trzyma to wszystko razem
 w symbolu snu
 który w każde rozdarcie wpisuje słowo
przeprowadzka –
 zwijane są dywany
 patroszone fotele
 będzie tu teraz firma z zapleczem technicznym
 przez okno widać pawilony
 gdzie karmiło się głodne koty –
 na rampie stoi wielki czarny samochód
 i zatrząskuje w sobie światło
 z całej okolicy

Marta Zelwan

Janusz Andrzejczak

W głębi zwierciadła

W leśniczówce w tym dniu było tłoczno od ludzi, więc goście pozajmowali każde miejsce do siedzenia. Jako, że wciąż ktoś przybywał, na kanapie przewidzianej dla trzech, siedziały cztery osoby, ale ten ścisk dla nikogo nie był niedogodnością.

Joanna, była i konkretem, i duchem tego niezwykłego domu. To przede wszystkim dla niej, wszystkie w nim drzwi były w nieustannym ruchu. Nawet ludzie małomówni, nawet samotnicy, pomimo gwaru czynionego przez kilkanaście osób, czuli się w tym domu zupełnie wyswobodzeni z tego, co ich na co dzień krępowało. Prawda: niegdysiejsza leśniczówka, z dala od jakichkolwiek ludzkich siedzib była atrakcją samą w sobie, ale na nic by to było, gdyby nie było w niej Joanny.

By być przez nią mile widzianym, wcale nie trzeba było być kimś ważnym. Witany był, ten kto miał piękną pasję, kto miał ciekawe przemyślenia lub ten kto był po prostu nieprzeciętnie wrażliwy. Nikomu nie przeszkadzało, gdy ktoś odzywał się rzadko, albo w ogóle milczał. Pod jednym warunkiem, że umiał słuchać, a milczał – mądrze.

W leśniczówce nie było prądu, więc gdy zaczęło zmierzchać, zapalono świece. Joanna co rusz oddalała się do kuchni po kawę, herbatę albo jedną z jej specjalności – barszcz z fasolką adzuki.

Ci, którzy byli tam nie pierwszy raz, przynosili z dworu drewno do pieców, pilnowali oświetlenia, wchodzili i wychodzili kiedy chcieli, nie czyniąc tym jakiegokolwiek zamieszania.

Pokój gościnny obfitował w różnorodność osobliwych przedmiotów. Na ścianach wisiały rysunki i akwarele, na komodzie porozkładane były rozmaite bibeloty: pingwinie pióro i kolec jeżozwierza, wieści ze świata od przyjaciół, słowem – drobiazgi, a do każdego z nich, przypisana była barwna opowieść Joanny. Wszystkie one, pod wpływem nastrojowego półświatła i cieni, także puszczą za oknem i wreszcie ludzie, którzy zdawali się być jej dodatkowymi drzewami, wszystko to stwarzało atmosferę jakiejś nierzeczywistości. Panował jedyny w swoim rodzaju, do zapamiętania na całe życie – nastrój.

Gdy pojawił się w tym domu, przestraszył się. Nie po to uciekł z miasta, nie po to przyjechał do puszczy, żeby znów być wśród ludzi. Tęsknił do milczenia, do swojej samotności, do niezmaconych myśli, wrażeń, uczuć,

do swojej bezradności wobec tajemnicy. A jednak, już po kilkunastu minutach poczuł się najzupełniej swobodnie. Poczuł, że wszystkie te rozmowy, te śmiechy, te milczenia, są w tym miejscu jeszcze jednym z tchnień jakie dochodzą z puszczy. Chyba zrozumiał wówczas, że jedno jedyne drzewo nigdy nie będzie lasem, a las, nigdy nie będzie puszczą.

Rozmawiano o przyrodzie, o Wszechświecie, o ludziach, o piłce nożnej, o dziwnych i zabawnych zdarzeniach, a Lech, dla którego Białowieska Puszcza była jego własnym, wciąż nieodgadnionym, do końca nierozpoznanym domem, pół żartem, pół serio, czytał ludziom z sieci gałązek, jakie każdy człowiek ma na dłoni.

Byli tam nastolatki, byli ludzie w średnim wieku i kilku starszych, ale w płomieniach świec pospalały się wszystkie wszystkich metryki. Gdy w ciemną noc w drzwiach pojawił się Portugalczyk ze swoją polską ukochaną, także i inne identyfikatory, z wyjątkiem imion, przestały mieć jakiegokolwiek dla kogokolwiek znaczenie.

O Wszechświecie rozmawiano chyba na gruncie fizyki. „Chyba”, bo choć słuchał z podziwem, nie chciał rozumieć. Są tacy, którzy mają potrzebę zrozumienia kosmicznej cząstki Tajemnicy, on przyznał się do całkowitej wobec niej bezradności.

Ale te różnice też sprawiały, że bodaj było jeszcze piękniej.

Właśnie – piękniej.

Czy jest jakieś naukowe wytłumaczenie uniwersalnie pojętego piękna?

Czy jest jakieś wytłumaczenie na gruncie nauki tego, że gdy przyniósł dla wszystkich z puszczy kawałek żywicy, w niej woń puszczańskiego sacrum, wtedy zrobiło się jeszcze, jeszcze i jeszcze piękniej?

Dookoła była puszcza, każdy z obecnych w większym lub mniejszym stopniu jakoś już jej doświadczył, a jednak nie było nikogo, kto by się zdziwił, kto by zlekceważył, kto by nie zechciał wchłonąć zapachu żywicy, w którym było coś tajemniczego, nieodgadnionego.

Siedząc, zapatrzył się w oblicze dużego, starego lustra wiszącego na ścianie przy drzwiach.

Zwierciadło mieściło w sobie fotel z siedzącą w nim kobietą, pełniły w nim płomienie świec.

Patrzył i patrzył...

I ujrzał w jego wnętrzu puszcę w nocy, w niej drzew widziadła i siebie samego.

Tego samego, o którym już myślał, że nie istnieje.

Janusz Andrzejczak

Krzysztof Beška

Cień na piasku

(fragmenty)

Tej nocy Piotr Duch długo nie mógł zasnąć. Koledzy na sąsiednich łóżkach już dawno szczęśliwie potracili świadomość, a on wciąż przewracał się z boku na bok albo leżał na wznak, wpatrując się w refleksy światła na suficie. Kilka razy wydawało mu się, że przez ścianę słyszy krzyk. Myślał wtedy o Janie i o wszystkim, co powiedział.

W końcu udało mu się zasnąć. Gdy się ocknął, było już jasno.

– Szczęść Boże – przywitał go z uśmiechem sierżant Kustroń, po którym nie było już widać wczorajszej złości.

– Dzień dobry – odpowiedział Piotr, siadając na łóżku.

Potem wszystko potoczyło się utartym torem. Śniadanie, podczas którego na szczęście nikt już nie snuł spiskowych teorii, a po nim obchód, szybki i pobieżny, widać profesor śpieszył się do swojego gabinetu i prywatnych pacjentów.

– Pan ma dzisiaj zabieg, prawda? – Jeden z lekarzy wycelował długopisem w sierżanta, a gdy ten potwierdził, coś zapisał.

Gdy lekarze opuścili salę, Drapella i Kustroń wyciągnęli się na łóżkach. Pierwszy czytał jakiś kolorowy tygodnik, drugi gapił się w sufit, zupełnie tak samo jak przed paroma godzinami trzeci z nich. Nie rozmawiali. Dzień za oknem był szary i ponury.

Pół godziny później do sali weszła ich ulubiona pielęgniarka i zabrała sierżanta na zapowiadany zabieg. Nie wiedzieli, na czym ma polegać. Bezpośrednio zainteresowany nie chciał powiedzieć, co od razu spowodowało spekulacje. Drapella twierdził, że jego koledze najprawdopodobniej będą robić płukanie okężnicy.

– Okropność. – Wzdrygnął się, po czym najspokojniej w świecie przewrócił kolejną stronę czasopisma.

Piotr Duch wstał z łóżka. On nie czekał na żadne zabiegi. W ogóle miał wrażenie, jakby o nim zapomniano. Jeden z lekarzy podczas obchodu tylko pobieżnie omiółł okiem kartę wiszącą u nóg łóżka.

– Dokąd idziesz? – Chorąży podniósł wzrok znad gazety.

– Odwiedzę znajomego.

Mówił prawdę: chciał dowiedzieć się, co z Pileckim. Nie miał pojęcia, w którym pokoju mieszka jego były podkomendny, ale dowiedział się tego bez problemu od dyżurującej pielęgniarki. Widział ją tu po raz pierwszy, po raz pierwszy też maszerował korytarzem drugiego skrzydła budynku sanatorium. To właśnie tutaj zakwaterowano Jana.

Ale nie było go w sali. Współlokator, jedyny, bo izba miała tylko dwa łóżka, wesoły grubasek, nie potrafił powiedzieć, gdzie można znaleźć kolegę.

– Może być na świetlicy – odpowiedział, drapiąc się zapamiętałe pod wystającym spod piżamy brzuchu, a potem mimowolnie zrymował: – Albo w kaplicy.

Piotr podziękował za informację. Przypomniawszy sobie o początku wczorajszej opowieści, więc postanowił sprawdzić najpierw drugie z tych miejsc. Droge wskazały mu strzałki na ścianach. Kaplica znajdowała się na drugim piętrze w skrzydle, w którym była też świetlica. Znalazłszy się przed drzwiami, Piotr zawahał się. W końcu nacisnął klamkę.

Było to niewielkie pomieszczenie z dwoma rzędami drewnianych ław i pomalowanymi na biało ścianami. Ławy miały klęczniki, a na ścianach wisiały antyramy przedstawiające drogę krzyżową. Naprzeciw wejścia znajdował się ołtarz, skromny, wręcz surowy. Do środka nie wpadało dzienne światło, mrok rozpraszały tylko cztery kinkiety.

W pierwszej ławie, blisko przejścia, z pochyloną łusą głową klęczał Jan Pilecki. Prócz niego nie było w kaplicy nikogo. Nie poruszył się nawet, gdy Piotr zbyt mocno zamknął za sobą drzwi. Przybysz nie wiedział, co dalej robić i jak się zachować. Czy wypada przerywać modlitwę?

Usiadł w drugim rzędzie.

– Jan – powiedział szeptem, a gdy tamten nawet nie drgnął, dotknął jego ramienia.

– Co? – Pilecki podniósł głowę i odwrócił się. – O czołem, kapitanie. Co słysząc?

– W porządku. Chciałem się dowiedzieć, czy u ciebie lepiej.

– Tak.

– W czymś ci pomóc?

– Nie. Modlitwa mi pomaga.

W tym momencie do kaplicy ktoś wszedł. Piotr nie odwrócił się, ale Pilecki, który wciąż trwał w tej niezbyt wygodnej pozycji, otaksował wzrokiem przybysza.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – przywitał się, głośno i przesadnie wyraźnie, niczym pierwszak na katechezie.

– Na wieki wieków – odpowiedział przybyły. – Miło cię znów tutaj widzieć, synu.

Na dźwięk tego głosu Piotr Duch znieruchomiał.

– To właściwe miejsce, a modlitwa pomaga na wszystko – powiedział z egzaltacją Pilecki. – Wszystkim będę powtarzał, że warto odwiedzać księdza Remigiusza...

– Wkrótce będzie nabożeństwo – rzekł duchowny.

Serce w piersiach Piotra wykonało sześć uderzeń zamiast dwóch. Skurczył się w sobie. Na szczęście duchowny, zaraz po tym jak ukląkł przed ołtarzem, zniknął za bocznymi drzwiami.

– „Nie lękaj się cierpień, które mają przyjąć na cię – rzekł Jan cicho, ale wyraźnie. – Oto diabeł wtrąci niektórych z was do więzienia, abyście byli poddani próbie, i będzie w udręce przez dziesięć dni. Bądź wierny aż do śmierci, a dam ci koronę żywota...”.

Pilecki opuścił głowę. Duch podniósł się z ławki, po chwili był już przy drzwiach. Minął się w nich z jakimiś dwoma facetami w szlafrokach. Idąc szybkim krokiem po korytarzu, krokiem właściwym personelowi, nie pensjonariuszom, zastanawiał się nad tym, co się stało.

Czy mnie rozpoznał? – to było pytanie, które nie dawało mu spokoju.

Minął wracającego z zabiegu Kustronia. Sierżant włókł się krok za krokiem, miał zboląłą minę, trzymał się za siedzenie.

– Co ci zrobili? – zainteresował się Piotr.

– Płukanie okrzężnicy – jęknął tamten, by zaraz dodać buńczucznie, wygrażając pięścią: – Jutro stąd spierdalam. Nie dam się więcej masakrować!

Mogli iść dalej razem, do swojej sali, ale Duch nie zawrócił. Bał się nawet zatrzymać. Bał się, że zaatakowany przez niego kilka dni temu pedofil w sutannie, jeśli nawet go nie goni, to właśnie spokojnie podąży w stronę gabinetu dyrektora sanatorium, by poinformować go, że ten ma u siebie pospolitego kryminalistę. Ciekawe, komu by uwierzyli...

Zawrócił jednak po kilkunastu krokach. Dogonił kuśtykającego sierżanta.

– Powiedz mi, jak dostać się do magazynu z ubraniami? – zapytał, starając się, by pytanie zostało wypowiedziane obojętnym tonem.

– A co? Też stąd spierdaliasz?

– Tylko na chwilę.

– Jakaś panienka w okolicy? Nic nie mówiłeś.

– Zostawiłem po prostu coś w kieszeni – zachnął się Piotr. – Kto ma ten klucz, powiesz?

– Kto ma, to nie wiem. – Kustroń wzruszył ramionami. – Pewnie jakiś kilkugwiazdkowy popierdoleniec z logistyki, który znalazł tu ciepłą posadkę, ale na misji zesrałby się pierwszego dnia. Zapasowy, a może dorobiony klucz leży na futrynie drzwi...

Coś jeszcze mówił, na coś wyrzekał, może znów na bolesny zabieg, a może na oficerów z kwatermistrzostwa, ale Piotr go już nie słyszał. Był daleko.

Magazyn znalazł szybko, a klucz był tam, gdzie miał być. Piotr wszedł do środka. Cuchnęło tu starzyzną, potem i papierosami. Kilka minut zajęło mu znalezienie swoich ciuchów. Zwinął je w kłęb, wsunął pod pachę i opuścił magazyn. Był zabezpieczony, a przez to trochę spokojniejszy. Miał zamiar wrócić teraz do sali.

Dzieliło go od niej może minuta marszu, gdy na końcu korytarza ujrzał dyrektora sanatorium. Pułkownik Tatar kroczył korytarzem w towarzystwie... trzech żandarmów. Jeden z nich, oficer, rozmawiał z profesorem.

Piotr skręcił gwałtownie i podszedł do ściany, udając, że ogląda wiszącą na niej obraz.

– Tak, oczywiście, wszystko rozumiem – dobiegł go podniesiony głos lekarza. – Nie widzę przeciwwskazań, żebyście panowie mogli z nim porozmawiać...

Cała czwórka zniknęła w drzwiach gabinetu. Piotr oddychał ciężko.

A jednak przyszli! – pomyślał.

Od tej chwili działał jak w transie. Przebrał się w pierwszej napotkanej, otwartej łazience. Aby nie rzucać się za bardzo w oczy, narzucił na siebie szpitalny szlafrok. Krępował mu ruchy, ale dało się wytrzymać. Kilka chwil później ponownie stanął przed drzwiami kaplicy. Tym razem zastał je uchylone; poruszały się lekko, prawdopodobnie za sprawą przeciągu.

Gdy wszedł do środka, w ławie nie było już Pileckiego.

– Spóźniłem się...

Już miał się odwrócić, by iść do pokoju Jana, gdy usłyszał czyjś głos. Dochodził zza uchylonych drzwi, za którymi wcześniej zniknął kapelan sanatorium, ksiądz Remigiusz. Gdy Piotr je otworzył, zamarł. Chorąży Jan Pilecki klęczał na parapecie okna z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Co robisz?! – krzyknął Piotr.

Mężczyzna odwrócił się. Jego twarz była spokojna.

– „Ten, kto zwycięży, zostanie przyobleczony w szaty białe i nie wymażą imienia jego z księgi żywota, i wyznam imię jego przed ojcem moim i przed aniołami jego”.

– Co? – jęknął Piotr.

– Jestem gotowy... – powiedział Jan.

I przechylił się.

– Nie!!! – Duch rzucił się w stronę okna w wyciągniętymi rękami.

Nie zdołał jednak chwycić żołnierza. Kępski runął w dół z ostatniego piętra...

Piotr chwycił oburącz za krawędź zewnętrznego parapetu, ze wszystkich sił zacisnął na niej palce. Ostra blacha wbiła się w skórę wszystkich palców prócz kciuków. Nie poczuł jednak bólu.

– Co tu się dzieje? – usłyszał za plecami gniewny głos. – Co pan tu robi? To był ksiądz Remigiusz. Piotr Duch odwrócił się powoli.

– Ja cię znam. – Duchowny zmarszczył brwi.

W tej samej sekundzie z zewnątrz dobiegł przerażający krzyk kobiety. Ciekawość zwyciężyła: kapelan dopadł okna i wychylił się przez parapet. Ujrawszy leżącego na ziemi Pileckiego, którego nie chciał zobaczyć Piotr, wydał z siebie krótki, cichy jęk. Przeżegnał się. A potem odwrócił się powoli i spojrzał na stojącego z jakichś powodów wciąż w tym samym miejscu mężczyznę w szlafroku.

– Morderca – syknął. – Teraz już się nie wywiniesz.

– Nic nie zrobiłem – rzekł Piotr. – On sam wyskoczył. Usiłowałem go powstrzymać...

– Łżesz! Wszystko widziałem. Wypchnąłeś go!

– Ja też wiele widziałem. Na przykład na plebanii.

– Gównu widziałeś. Za to inni widzieli, do czego możesz być zdolny. Jesteś skończony...

Krzysztof Beśka

Teresa Bochwic

Świniak

Paweł miał ochotę na kawę. Na stołach ustawionych w podkowę stały tylko butelki z wodą mineralną. Wody wypił już sporo, zaspokoił pragnienie, ale żeby otrzeźwieć musiał napić się kawy. „Tak”, westchnął w myślach, „po pierwsze w ogóle nie można dostać kawy, po drugie skąd kawa tutaj, w tej szkole na odludziu, a poza tym... mam tak mało pieniędzy!”. Ogarnęła go na chwilę rozpacz, ale po chwili przypomniał sobie, że kawy i tak nie kupi, więc zaoszczędził. Poczuł się, jakby zarobił.

„Boże”, prawie szepnął, „do czego to doszło, żeby człowieka nie było stać na paręnaście złotych na kawę...”.

Z mównicy, znajdującej się w głębi sali, dobiegały od czasu do czasu słowa prelegentów. Paweł jednak usiadł tak blisko drzwi, jak to było możliwe, schowany za filarem, żeby nie zwracając na siebie uwagi wyjść na papierosa.

„Te papierosy, też ruina, i zdrowie człowiek traci i pieniądze”, pomyślał, „ale co robić, jak to wszystko wytrzymać!”. Dziękował Bogu, że przynajmniej nie pije.

No, nie żeby tak zupełnie nie pił. Jak jest okazja za darmo – to owszem. Wczoraj na przykład, najwyraźniej jednak musieli go wziąć za kogo innego, może dlatego, że Głupczyk tak się z nim serdecznie przywitał; też go musiał z kimś pomylić. I stąd ta wyprawa do knajpy, z dyrektorami, ministrem i panienkami z kuratorium, i to picie; stąd teraz pragnienie.

Spojrzał w okno. Zamarznięta gruda ziemi, jakieś nieliczne czarne kruki czy gawrony usiłowały coś z niej wydziobać. Widać było, że za chwilę zacznie padać śnieg. Zatrząsał się, w sali też było chłodno.

„Trzeba koniecznie kupić Marzence ten płaszczyk, już nie da się powiedzieć o starym, że to kurtka, dziewczyna rośnie jak szalona, skąd na to wziąć, skąd wziąć”. Zasepił się. Odebrali mu właśnie lekcje wychowania obywatelskiego w sąsiedniej szkole – siedemset złotych, socjalizm nie socjalizm, żyć trzeba, spory pieniądz, jak teraz to załatwić? Teraz jego pensja nie sięgała czterech tysięcy.

Rozejrzał się po sali. Dyrektorzy przy stole prezydialnym ukradkiem ziewali. Jeden z nich intensywnie mieszał wyschniętym słonym paluszkiem w szklaneczce z coca-colą – prezent od Gierka, Paweł dobrze pamiętał czasy sprzed dwudziestu pięciu lat, kiedy cola była symbolem burżuazyjnej

trucizny, naprawdę wmawiali w gazetach, że to trucizna. Ostatnio przeczytał gdzieś, że ząb wrzucony do szklanki z colą rozpuszcza się po sześciu godzinach. Ale nikt już nie mówił, że Amerykanie chcą zniszczyć zdrowe uzębienie socjalistycznych obywateli. Obywatele zresztą garnęli się do napoju, który w tej chwili, po ośmiu latach Gierka, był jednym z ostatnich symboli dobrobytu i otwarcia na świat.

Machinalnie dotknął językiem zepsutego zęba. Trzeba go załatać, ale jak? W przychodni zniszczono mu już parę zębów, a na prywatną dentystkę za sześćset złotych od plomb nie stać go w żadnym wypadku. Dwa zęby – płaszczyk dla Marzenki, no, dwa i pół.

Twarze większości obecnych, których poznawał jako wczorajszych kompanów, były zmięte i niewyspane; wydawały mu się tłuste i bardziej nalane niż zazwyczaj. Wiceministra jeszcze nie było, podobno wrócił w nocy do Warszawy i teraz w każdej chwili spodziewano się jego przybycia. Paweł dziwił się – po co ten wracał sto kilometrów na parę godzin?

Obok Pawła siedziało kilkanaście kobiet, typowych nauczycielek i pracownic kuratorium. Prawie nie różniły się między sobą – wynędzniałe, ze złą cerą, ubrane w różowe lub zielone sweterki z falbankami pod brodą albo ażurkowe bluzeczki. Spódniczki miały wąskie, ale nawet nie opinały ich chudawych ciał. „Nawet zgrzeszyć nie ma z kim”, pomyślał, „choć mnie i tak już się nie chce”.

Przemówienie, sączące się z mównicy, nie przyciągało ani na chwilę jego uwagi. Zauważył, że siedząca niedaleko kobieta w utapirowanej jajecznicy na głowie i szafirowym sweterku wyszła z sali. Spojrzał – za nią poszła druga, dając tamtej jakieś znaki. Miała na każdym palcu złoty pierścion, a na przegubach pęki cienkich bransoletek.

Lekko licząc – sto tysięcy, pomyślał, jeżeli każdy pierścionek wart jest pięć, sześć tysięcy, bransoletki średnio też po pięć, i ten łańcuszek na szyi... na dolary to byłoby prawie tysiąc! Zaczął pisać cyfry na papierze rozłożonym przed każdym uczestnikiem obrad. „I wiśniorek... tak”.

Przypomniawszy sobie, że ma jeszcze pół roku do spłacenia pożyczki, dopiero wtedy będzie mógł zaciągnąć nową. „Na wczasy też je trzeba wysłać”. Chciał znowu westchnąć, kiedy jego uwagę przyciągnął, świeży, dziewczęcy głos.

– A więc – mówiła stojąca na mównicy dziewczyna („kiedyż ona zdążyła tu wejść, nie zauważyłem, bardzo ładna”, pomyślał) – a więc praktycznie nie dysponujemy ani bazą materialną, ani finansami; na takiej posadzie, proszę państwa, nie można człowiekowi płacić zwykłej pensji, tu cały

dzień jest się odpowiedzialnym za dzieci, przez dwadzieścia cztery godziny! A przecież sierotom trzeba stwarzać warunki zbliżone do rodzinnych, władze w ministerstwie muszą to wreszcie dostrzec; środki tutaj dane nie zmarnują się na pewno, podczas gdy w zwykłych domach dziecka dzieje się tak bardzo często. A teraz...

Mówiącej przerwało gwałtowne otwarcie drzwi. Powszechna uwaga zwróciła się w stronę wchodzącego właśnie wiceministra Głupczyka.

Paweł zadrżał. Ten człowiek budził w nim złe wspomnienia, przecież się znali, choć tamten go nie pamiętał. Ale wtedy Paweł był dopiero początkującym nauczycielem, a Głupczyk działaczem młodzieżowym, pilnującym brygad Służby Polsce; pilnował ich od strony ideologicznej. Paweł poderwał mu dziewczynę, ot, wydawało się, zwykła sprawa między młodymi ludźmi. Głupczyk jednak nie chciał tego darować. Dopiero całe lata później Paweł dowiedział się, za sprawą czyjego to donosu jego ojciec, dyrektor liceum na ziemiach zachodnich, został aresztowany i oskarżony. Na szczęście nie zdążono wykonać wyroku śmierci, nadszedł pięćdziesiąty szósty rok i ojciec wrócił. Żona Pawła, ta poderwana dziewczyna, do dziś nie ma o niczym pojęcia, bo Annę Paweł chronił i będzie chronić nadal. Ojciec zresztą i tak prędko umarł – trzymano go osiem miesięcy w piwnicy z wodą po kostki, gdzie jedynym suchym miejscem była przewrócona do góry dnem miska, która służyła jednocześnie do jedzenia i do mycia.

Głupczyk kroczył z nadętą miną środkiem przejścia między stołami. Paweł ze zdziwieniem zauważył, że ten nie wygląda gorzej niż wczoraj. „Klepali go, czy co? Jakież środki może brał?” – przyszło mu do głowy, kiedy zauważył nienaturalny blask w oczach Głupczyka. Głupczyk zatrzymał się przy Pawle, sapnął, podał mu rękę. Paweł tak się zdumiał, że podał mu swoją machinalnie, nawet nie wstał. Tamten poszedł dalej.

W pełnej napięcia ciszy minister dotarł do stołu prezydalnego. Kolejno podbiegali do niego dyrektorzy, chyląc się nisko ku jego wyciągniętej ręce, tak nisko, że chwilami Pawłowi zdawało się, że całują go po rękach. Głupczyk obejrzał się za siebie i skinął na sekretarza, który właśnie dotarł do stołu i wyciągnął plastikową teczkę. Wyjął z niej spięty plik papieru maszynowego.

Jeden z dyrektorów podbiegł do mównicy, usunął z niej stojącą tam wciąż młodą panią i powiedział prosto do mikrofonu:

– Dziękujemy pani serdecznie za interesujący referat. Wnioski będą starannie rozpatrzone a odpowiednie do skali i rangi problemu decyzje podjęte.

Chrząknął i popatrzył na ministra.

– Obecnie chcę tu powitać wśród nas naszego najdroższego, najmilestszego gościa, który fatygował się do nas aż z samej Warszawy, pana ministra Głupczyka, który wygłosi referat na temat... – spojrzał rozpaczliwie na sekretarza, który okrągłymi ruchami ust próbował mu podpowiedzieć tytuł – no więc, nie będę panu ministrowi wchodzić w słowo, jego czas, zresztą czas dla nas wszystkich jest cenny, a więc proszę pana ministra o głos! – i zaczął klaskać.

Inni podjęli te oklaski i kiedy trwały, dyrektor wyszedł zza mównicy i powiedział parę zdań do młodego człowieka w białego w stalowy garnitur z kamizelką. Ten natychmiast wyszedł.

Paweł wstrząsnął się znowu – Głupczyk stał na mównicy w całej okazałości, i choć minęło przeszło dwadzieścia lat, rozpoznawał to zimne spojrzenie i wydęte nieprzyjemnie usta. Czy mógł przewidzieć, że pewnego dnia właśnie Głupczyk usiądzie w korytarzu bardzo ważnego urzędu, zażąda posady wiceministra czegokolwiek i zostanie jego, Pawła, dalekim wprawdzie, ale jednak zwierzchnikiem?

Paweł, kiedy na niego patrzył, miał wrażenie, że postęp, obserwowany, jak go uczono, w biegu dziejów, jakby ostatnio trochę przyhamował, a kto wie, czy nie zawrócił i nie pędzi tą samą drogą wstecz. A w każdym razie zakreśla kolejną pętlę, która owija się jemu, Pawłowi, dookoła szyi, i jemu podobnym, tak jak miała się owinać jego ojcu dwadzieścia parę lat temu, ale postęp wtedy pędził dalej i ta pętla już zadzierzgnięta nie zdążyła się zacisnąć. Teraz Paweł nie był już tak młody, czuł się zmęczony życiem i staraniami o zachowanie tego, co nazywał elementarną uczciwością, i czas mu płynął wolniej. Zdawało mu się, że tym razem pętla będzie miała więcej czasu i spokojnie wykona wyrok losu.

Elementarną uczciwość Paweł pojmował w ten sposób, że nie zdradzał żony, a jeżeli już jakoś na to wyszło, to tak, żeby się o tym nie dowiedziało, i pamiętał, żeby nie iść na zbyt daleko idące kompromisy z moralnością. Kiedy jego uczniowie przynosili na kółko książki historyczne wydane na emigracji, udawał, że ich nie widzi, a kiedy pytali, czy to prawda, że Rosjanie też zajęli Polskę w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku i podpisali z Niemcami pakt o rozbiórce Polski, Paweł uśmiechał się smutno i zaczynał mówić o czym innym, kiwając głową na potwierdzenie tamtych faktów. W każdym razie nigdy by nie doniósł na żadnego ucznia i prawdziwą dumą napawał go fakt, że żaden uczeń nie doniósł, że on nie doniósł.

Patrzył teraz na siedzących dookoła dyrektorów i paniusie, na wice-ministra Głupczyka i śmiał się w duchu: „Wszystkich was jeszcze historia zmiecie! Już ja się na tym znam!”.

Być uczciwym, to najważniejsze, mówił zawsze córce. „Pamiętaj, mówił jej, żebyś była zawsze uczciwa, cokolwiek by się działo, cokolwiek byś była zmuszona zrobić, wewnątrz masz być uczciwa”. On sam czuł się wewnątrz nie tylko uczciwy, ale nawet niezależny. Cieszyły go wszystkie potknięcia jego dyrektora, wszystkie idiotyczne przepisy, którymi kompromitowały się władze. Cieszył się, że niektórzy weszli zbyt wysoko, bo miał perspektywę, z jak wysoka spadną. Kiedy jego koleżanki z pracy podpisały list protestacyjny przeciwko poprawkom do konstytucji, był z nimi, aczkolwiek pewną ulgę sprawiał mu fakt, że tego dnia miał zwolnienie lekarskie, więc nikt go nie prosił o podpisywanie czegokolwiek. Jeżeli zaś czemuś był bardzo przeciwny, starał się dać temu wyraz w sposób właściwy – np. przedstawiał być uprzedzająco grzeczny dla urzędników, nawet najwyższych, albo milczeniem wyrażał dezaprobatę.

Głupczyk stał na mównicy, podtrzymywany z tyłu przez dwóch dyrektorów. Głowę miał jak głowa cukru, u góry wąską, łysą, u dołu szeroką, wpuszczoną wprost do białego kołnierzyka koszuli, spętanego krawatem. Poniżej kołnierzyka masa ciała ministra przestawała być twarda, cukrowa, stawała się słoniowa – rozszerzała się i przybierała szarą barwę za przyczyną garnituru. Na dole ciało ministra zakończone było czarnymi butami, które werżnęły się w pamięć Pawła swoim skrzypieniem – słyszał to jeszcze od wczoraj. Z całości Głupczyka wydobywały się teraz wzmocnione mikrofonem głuche dźwięki, które wpadały w rozwarte uszmińkowane usta siedzących za stołami nauczycielek. Te co chwila ze smakiem przełykały ślinę.

– Towarzysze! – chrypiał Głupczyk. – Chciałem tu powiedzieć, że nasze ludowe państwo i nasza ludowa oświata ważną wagę przywiązują do problematyki opieki nad dziećmi – akcentował pierwszą sylabę dłuższych wyrazów, co nadawało jego przemowie dobitny charakter. – Dla każdego polskiego dziecka państwo nasze znajdzie serce, i każdemu, nawet zupełnie osieroconemu, stworzy warunki pomyślnego rozwoju dla dobra naszej socjalistycznej ojczyzny. Towarzysze!...

Paweł dostrzegł, że ładna przedmówczyni ministra przemyka się ku drzwiom – stał tam młody człowiek w garniturze, który przedtem wychodził na polecenie dyrektora. Poczuł, że ma nieodpartą ochotę na papierosa. Wysunął się po cichu.

Pod oknem stał ten sam mężczyzna w garniturze i dwie sąsiadki od stołu Pawła – jajeczna blondyna i ta obwieszona złotem. Przypomniawszy sobie, że wczoraj przedstawiono mu tę blondynę – była dyrektorką domu dziecka z Pogórza. Ładnej dziewczyny nie było już na korytarzu.

– Ktoś ją wezwał? – spytała dyrektorka domu dziecka.

– A skąd – machnęła ręką młody człowiek. – Dyrektor Wrzask kazał ją natychmiast usunąć z sali. Słyszała pani? „Władze muszą, władze powinny”. Skąd ona się urwała? Dobrze, że minister tego nie słyszał, mógłby się zdenerwować. Przejedź się do domu, to się uspokoi. Powiedziałem jej, że był telefon, wzywają ją pilnie do Łodzi. Ha! Ha! Ha! Takich nam tu nie trzeba, mącicieli.

Paweł zgasił papierosa w stojącej obok okna popielnicy i machinalnie wyjął następnego. Zrobił wyraz twarzy pełen dezaprobaty, zapadł w równie pełne dezaprobaty milczenie. Popatrzył w okno. Zaraz za płotkiem, okalającym teren wiejskiej szkoły, w której odbywało się sympozjum, ciągnęły się pola, a nad nimi wiały zwarzone przymrozkiem mgły. Było szaro i cicho, czuło się, że będzie padał duży śnieg, pierwsze płatki zaczynały właśnie tańczyć w powietrzu, jeszcze z wahaniem, czy opaść na powierzchnię ziemi. Grusze stały na miedzach jak przed wiekami, wyciągały ku niebu równe, nagie wiechy.

– ...To ja idę do szkoły – dobiegł go głos kobiety towarzyszącej dyrektorce domu dziecka – a tam mi mówią, że ci przybrani rodzice potrafią przyjść do nauczycielki i powiedzieć, że rację ma ta gówniara. Rozumie pani? Nauczycielka, rozumiem, mówi, żeby to rodzeni rodzice, ale tacy? Przecież to nie ich córka, tylko przybłęda jakaś! A ja mówię, pewnie, matka była może jakaś kurwa albo przepraszam za wyrażenie, prostytutka, wieszac by je trzeba, żeby się nauczyły przyzwoitości, ojca nikt nie widział, matka może nawet nie wie, który to był; więc powinna, mówię, być wdzięczna, ta gówniara, że państwo dało jej wychowanie, wykształciło i znalazło jej rodziców przybranych. Wszystko państwo jej dało! A oni jej bronią jeszcze! No, koniec świata, żeby bękart rządził uczciwymi ludźmi, zresztą ja jeszcze raz ich sprawdzę czy oni tacy uczciwi, zawsze coś się na nich znajdzie. Mówię nauczycielce, niech się pani nie martwi, sprawiedliwość musi być na świecie, i jak się gówniara nie utemperuje, to moja głowa w tym, żeby im zrobić taką kontrolę jak potrzeba. Dziewucha pójdzie do zakładu, a im się rodzicielstwo ograniczy albo i odbierze, i koniec. Ja ostrzegałam! A jakie to delikatne, że ona niby nie wiedziała, że jest przysposobiona, proszę pani, i dopiero po tej awanturze się dowiedziała, więc piszę do kuratorium

na skargę, że dziecko może dostać szoku i tak dalej. No, z kuratorem to już mój mąż opił sprawę i kuratorium jest za nami.

Duży płatek śniegowy wirował długą chwilę w polu widzenia Pawła, wreszcie poszybował prosto w okno, jakby chciał przebić szybę i usiąść Pawłowi na nosie. Paweł cofnął się gwałtownie i nadepnął mówiącej na nogę, aż krzyknęła.

Odwrócił się, zmierzył ją wzrokiem i z rozmysłem powiedział o wiele za późno:

– Przepraszam.

Ozłocona dyrektora rzuciła na niego spojrzenie, popatrzyła na jego znoszone, ubłocone buty i uśmiechnęła się drwiąco nad swoją różową bluzeczką.

– Ależ nic nie szkodzi – powiedziała druga, nadepnięta. Widziały wczoraj, jak Głupczyk się z nim witał.

Dyrektorka zdjęła z ramienia torebkę, ale zanim zdążyła ją otworzyć, zamek rozpiął się sam, torebka otworzyła się i ze środka wypadła puderniczka, sypiąc dookoła pudrem. Paweł popatrzył na leżącą na ziemi puderniczkę i zawrócił do sali obrad. Przy zamykaniu drzwi usłyszał cichnący głos:

– Ale cham, kto to właściwie jest?

✱

Toaleta była dopiero na końcu korytarza. Paweł dziękował Bogu, że Głupczyk pojechał do Warszawy i nikt nie idzie pić, dzięki czemu nie musiał się wykręcać i mógł wcześniej pójść spać. Włożył piżamę, pomyślał chwilę o ładnej dziewczynie, która wyjechała do Łodzi i poszedł do toalety. Kiedy stamtąd wychodził, usłyszał zduszone piski na korytarzu. Cofnął się, żeby go nie widzieli. W oknie korytarza stał Wrzask z dyrektorem Wilczkiem i obaj ściskali kobietę, która rano rozmawiała z dyrektorką domu dziecka. Zaczerwieniona, udawała, że się broni, a może naprawdę się broniła. Wilczek trzymał jej całą dłoń w rozpięciu bluzki, a Wrzask usiłował włożyć rękę w zapięcie spódnicy, jednocześnie gryzł ją w szyję z lewej strony. Kobieta odwróciła się, zauważyła Pawła i zrobiła gest, jakby rzucała się do ucieczki. Wrzask i Wilczek chwycili ją i pociągnęli, każdy w swoją stronę. Przez moment stała rozkrzyżowana, a potem Wilczek machnął ręką, puścił ją i Wrzask wciągnął ją do swojego pokoju. Wilczek rozejrzał się, po czym nacisnął klamkę drzwi Wrzaska. Ustąpiła. Uchylił drzwi i wemknął się do środka.

Paweł czekał jeszcze dłuższą chwilę, sądząc, że Wilczek zostanie wyrzucony z pokoju. Nic takiego nie nastąpiło, więc wrócił do siebie. Położył się cicho, żeby nie budzić kolegów z sąsiednich łóżek, westchnął i zasnął z obrazem ładnej dziewczyny w oczach.

Rano trzeba było się szybko zbierać. Po dwóch dniach naukowej części sympozjum przewidziano wizytację okolicznych domów dziecka, planowano też zwiedzanie izby pamięci w którejs z szkół.

Robiło się coraz zimniej, na zeskorupiałą ziemię rozjeżdżoną kołami autokaru i prywatnych samochodów gości z Warszawy padały pojedyncze płatki śniegu. Było ich jednak wciąż zbyt mało, żeby przykryć szarą grudę.

Paweł tak się zapatrzył w wiejską zimę, że do autokaru skierował się ostatni. W tej chwili usłyszał wołanie Wilczka od samochodu:

– Do nas prosimy, do nas!

Nie chciał z nimi jechać, ale kierowca autokaru widząc, że Paweł się waha, ruszył bez niego. Nie było wyjścia. Zawrócił ku nim. Wrzask zaprosił go do samochodu. Z tyłu siedział kurator, który dwa lata temu usiłował wyrzucić Pawła ze szkoły, bo poszła plotka, że w jego rodzinie był ktoś żonaty z kimś z KOR-u; czy też z jakiegoś innego powodu. „Żeby mnie wtedy choć zapytali, postawili jakiś zarzut, mógłbym wyjaśnić”, pomyślał Paweł z gorczy. Chcąc nie chcąc usiadł obok swego prześladowcy. Ten uśmiechnął się szeroko i posunął trochę w stronę okna, robiąc więcej miejsca.

– No, niestety – powiedział Wilczek – najlepiej byłoby już wracać do Warszawy, co?

Nie czekając na odpowiedź dodał:

– Tak, tak, ciężar obowiązku społecznego, ale zawsze to obowiązek.

Szkoła z internatem okazała się nie dalej niż dziesięć minut od miejsca noclegu. Miejscowość składała się z paru domów oddalonych od sierocińca i starej wieży, w której urządzono małe muzeum. Budynek internatu był długi, zakończony werandą. Najwyraźniej niedawno pomalowany, miał już zaniedbany wygląd. W wielu miejscach zupełnie świeży tynk odpadł płatami, ukazując popękane ściany. Na frontonie domu wisiał wielki biały transparent, na którym wymalowano czerwonymi literami: „Witamy miłych gości z Warszawy”.

„Przecież tu są uczestnicy z całej Polski”, pomyślał Paweł, ale nic nie powiedział.

Autokar też już był na miejscu. Wysypywali się z niego uczestnicy sympozjum, samochody podjeżdżały jak najbliżej budynku. Cały teren był pokryty ledwie zamarzającym blokiem, porytym głębokimi koleinami.

Błoto pryskało spod butów osób zbliżających się do budynku. Paweł był szczęśliwy – ich samochód podjechał pod same schodki.

Na schodkach stała delegacja powitalna. Dwie małe dziewczynki w cienkich białych bluzeczkach trzymały w zsiniałych rączkach tacę z chlebem i solą. Za nimi stał duży, może piętnastoletni chłopiec w samej koszuli z krawatem. Miał ciemne oczy o pustym wyrazie. Za dziećmi znajdował się niezwykle tuszy mężczyzna w czarnym garniturze o twarzy bliźniaczo podobnej do ministra Głupczyka. Za nim stały z kolei dwie bardzo szczupłe kobiety, też bez płaszczy. Jedna z nich miała taką samą sukienkę jak żona Pawła. Paweł poczuł do niej instynktowną sympatię. Dorośli uśmiechali się całą szerokością swoich twarzy, dziewczynki patrzyły przerażonymi oczami, a chłopiec bacznie przyglądał się nadchodzącym.

Gruby dyrektor ośrodka pchnął dzieci ku przodowi.

– Witamy najmilszych gości! – zawołał. – Witamy! A gdzież to nasz pan minister? – powiedział to słowo tak, jakby wymawiał je od dużej litery. Wrzask wystąpił ku przodowi i wyjaśnił:

– Służba publiczna wezwwała ministra do ministerstwa, ale kazał pozdrowić serdecznie szanownego pana dyrektora. – „Ach”, pomyślał Paweł, „to dlatego mogliście wieczorem pofiglować”.

Dzieci wręczyły Wrzaskowi tacę z solą i chlebem, ten uszczknął kromkę, włożył do ust, a tacę machinalnym ruchem oddał Pawłowi. Dzieci stanęły na boczku, poszczypując się wzajemnie. Najmłodsza z dziewczynek, silnie uszczypnięta przez chłopca, zbladła z bólu, ale nie wydała najłżejszego dźwięku.

Kilkadziesiąt osób wypełniło gwarem i tupotem internatowy korytarz. Na ścianach, równie świeżo pomalowanych i równie oblezionych co tynk na zewnątrz, regularnie rozmieszczono czerwone i białe-czerwone chorągiewki i gazetki ściennie, ozdobione zdjęciami z życia domu. Przechodzącym wzdłuż korytarzy gościom towarzyszyły grupki wyglądających zza wszystkich węglów dzieci, które jednak nie śmiały się zbliżyć. Było bardzo zimno, kaloryfery ledwie grzały.

– No widzi pan, panie dyrektorze? – gruby dyrektor domu przeciągnął dłonią po ścianach. – Do remontu! I to prędko!

– Dobrze, dobrze – żuł chleb z niezadowoloną miną Wrzask. – Zobaczymy.

Wychowawczynie poprowadziły przybyłych do segmentu domu, w którym ulokowano najmłodsze dzieci. Obok Pawła szła wysoka, ładna nauczycielka w sukni z cienkiej, tandetnej wełenki, takiej samej, jaką miała żona Pawła. Podał jej tacę z chlebem i solą.

Zapytał o dziwny wygląd chłopca, który witał ich na progu. Wychowawczyni zawołała chłopaka, a kiedy przybiegł, złapała go mocno za ucho i wykręciła je.

– Przybiega się od razu na wołanie, urwisię, wychowaj się wreszcie! Pan się tobą interesuje, pan z Warszawy! Nie widzisz, no, przedstaw się ładnie panu dyrektorowi!

– Nie jestem dyrektorem – powiedział szybko Paweł. Chłopiec wymienił swoje imię i nazwisko. Nauczycielka puściła jego ucho i podała mu tacę z chlebem i solą. Posłusznie szedł dalej obok. Zwróciła się do Pawła.

– Pewnie chodzi panu o te jego oczy? – Nie zwracała uwagi na to, że chłopiec idzie obok, jakby nie słyszał, że to o nim mowa. – No cóż, to są tak zwane sieroce oczy. Takie... puste, prawda?

– On... nie ma rodziców? – zapytał Paweł z wahaniem.

– No, mieć to ma, jak prawie wszystkie dzieci tutaj. Teraz już nie ma sierot – zaśmiała się – ludzie nie umierają tak jak dawniej. Teraz im się dzieci nudzą, to i podrzucają nam te jaja. Ile u nas jest sierot? – zwróciła się do chłopca.

– No, Janek, Malczycki, Właś... – wyliczał.

– Tak, parę sztuk, nie więcej niż dziesięciuro. I to przeważnie z tych starszych. No, powiedz panu, ile ty masz lat.

– Piętnaście – odburknął chłopiec.

– A czym chcesz zostać? – Paweł miał nadzieję, że chłopiec powie „kosmonautą” czy czymś w tym rodzaju, że te dzieci mają jakieś marzenia.

– Milicjantem – chłopiec uśmiechnął się szeroko i po raz pierwszy jego oczy nabrały wyrazu.

– Dlaczego? – zdziwił się Paweł. – Lubisz pilnować innych?

– Nie o to chodzi – odrzekł chłopiec. – Po piętnastu latach pracy można przejść na emeryturę. Stuprocentową.

W dużym chłodnym pokoju siedziało na podłodze ze trzydzieścioro paroletnich dzieci ubranych po niemowlęcemu. Wszystkie rytmicznie kiwały się w przód i w tył. Na widok wchodzących, jak na komendę zaczęły wszystkie wołać:

– Mama! Mama! Zabierz!

– Dlaczego tak się kiwają? – zapytał Paweł wychowawczynię.

– Och, to? To po prostu choroba sieroca – odrzekła.

Paweł zauważył w pobliżu dyrektora Wrzaska. Ten wykazywał rosnące zniecierpliwienie. Dyrektor obiektu usiłował go zainteresować poszczególnymi salami, jakimiś pracami wychowanków, mówił coś o konieczności

wymiany rur, ale w końcu zauważył, że naraża się tym zwierchnikowi i dał za wygraną.

Zaprowadzili gości do dużej świetlicy. Wszyscy zaczęli siadać, ale Wrzask powstrzymał ich gestem:

– Nie rozsiadać mi się! Zaraz odjeżdżamy!

Nauczycielki zerwały się jak oparzone z krzeseł, stłoczyły się przy drzwiach. Gruby usiadł za stołem i sapnął w stronę Wrzaska, który także usiadł:

– No i jak, panie dyrektorze?

– Dostaniecie dwieście tysięcy – powiedział Wrzask.

Pawła sam dźwięk takiej sumy przyprawił o zawrót głowy. „Boże”, pomyślał, „żeby tak ja dostał chociaż dwadzieścia, co tam, choć dwa tysiące...”.

– Kochany – skulił się gruby prosząco. – Nie da rady, bez ośmiuset tysięcy nawet nie warto gadać. Widział pan dyrektor, to są skutki oszczędności – przejechał palcem wzdłuż pęknięcia na ścianie. – To było robione za trzysta i co? Już się sypie! A to na przecież tylko pół roku! Trzeba dołożyć dwieście do samej reperacji murów, bo się cały dom rozleci. Lepiej włożyć dwa razy więcej forsy i mieć spokój na parę lat. Biedaka nie stać na tandetę, a my wszyscy biedaki – uśmiechnął się pomyślnie.

Wrzask zmrużył oczy, ciemne szczotkowate wąsiki poruszyły mu się nad wargami. Popatrzył na szparę w ścianie. Wyraz twarzy mu zmieknął. Spojrzał na grubego przeciągle.

– Nooo, powiedzmy, pół miliona? – obecni westchnęli. Gruby uśmiechnął się jeszcze milej.

– Panie dyrektorze kochany, przecież to nie z pana kieszeni idzie i nie do prywatnej pójdzie. Przecież to sierotki, niech pan się zlituje nad ich biedą!

Chłopiec z pustymi oczami patrzył ironicznie znad tacy. Nauczycielki przestępowały z nogi na nogę. Podłoga skrzypiała.

– Im nikt nie da, panie dyrektorze, jak pan nie da – wtrąciła się do rozmowy ładna wychowawczyni, szturchnięta przed chwilą nieznacznie przez grubego.

Wrzask spojrzał na jej nogi. Spochmurniał.

– Siedemset tysięcy i ani grosza więcej. Ja też mam limity.

Gruby odbił się od krzesła jak piłka i podskoczył radośnie do kolan dyrektora. Zdawało się, że zaraz przed nim uklęknie.

– Często pan wysyła personel na szkolenia? – zapytał Wrzask od niechcienia. – Posłałby ich pan do miasta, choćby do nas do Warszawy, niech

się trochę otrząskają, trzeba ich też uczłowieczać. Pani przyjechałaby do nas na delegację, prawda? – zwrócił się do wychowawczyni w sukience żony Pawła.

– Oj! – zarumieniała się z radości. – Warszawa! Żebyśmy mogła...

– Jak to? – zapytał sucho Wrzask. – Pan dyrektor ma obowiązek szkolić pracowników. Wydeleguje panią, jak będzie szkolenie dla pedagogów domów dziecka. Pani młoda, powinna się jeszcze pani wiele nauczyć. Tak, tak, przed młodzieżą cała przyszłość.

Klepnął wychowawczynię w plecy, aż kurz poleciał z sukienki.

– No, ale komu w drogę, temu czas! Wyjeżdżamy!

Nauczycielki utworzyły szpaler i przepuściły Wrzaska, Wilczka i Pawła do drzwi. Ostatni wyszedł gruby dyrektor domu, szepcząc coś do zaczerwienionej wychowawczyni. Znikli oboje w jakiś drzwiach.

Na dworze uderzyło ich świeże, mroźne powietrze. Wyrzało słońce.

Nauczyciele popędzili w stronę autokaru, Wilczek i Wrzask skierowali się do samochodu.

– A pan dokąd – zagadnął Wrzask Pawła, kierującego się do autokaru – pan jedzie z nami.

Paweł chwilę się zawahał, ale pomyślał, że w końcu w tę stronę jednak jechał, więc...

Usłyszeli wołanie od wejścia budynku. Odwrócili głowy. Na progu stał gruby dyrektor z ładną wychowawczynią. Trzymali razem duży, podłużny, pakunek, owinięty w kilka warstw białego papieru. Pomagał im z wyraźnym wysiłkiem chłopiec, który chciał być milicjantem. Pozbył się już swojej tacy. Na dole pakunek zwęzał się gwałtownie. Paweł zobaczył wystające stamtąd dwie różowe raciczki.

– Panie dyrektorze! – gruby zwrócił się do zdumionego Wrzaska. – Tu jeszcze drobny upominek dla pana dyrektora.

Wrzask rozejrzał się. Wiele osób wyglądało z autokaru, patrzył też Paweł i kilka osób, które jeszcze nie zdążyły przejść przez blok.

– To dla mnie? Ależ to niepotrzebne, panie dyrektorze! No, dobrze, przyjmuję, bo nic o tym nie wiedziałem, zanim przyznałem panu pieniądze. Państwo są świadkami, że nie ma przekupstwa.

Chóralnie odpowiedziano mu:

– Ależ skąd!

Wilczek nachylił się do Pawła.

– Ale mu się trafiło, co? Był przeznaczony dla Głupczyka, ale skoro tamten nie przyjechał...

– Panie Pawle... – Wrzask zrobił proszący gest.

Paweł podszedł pomóc mu włożyć pakunek do bagażnika. Spojrzał na wymykającego się z papieru prosiaka.

– Młody. Dobrze, świeże mięsko – powiedział. – No i ładny grosz. Ile to może ważyć? Dwadzieścia, trzydzieści kilo? Licząc po sto dwadzieścia za kilogram...

Wrzask upychał świniaka w bagażniku.

– No i nie chce się zmieścić, cholera jasna. Więcej kłopotu niż pożytku...

– Panie dyrektorze – powiedział gruby – on jest przecięty na połówki, podzielimy, to się zmieści.

Rozwinął prosiaka, jedną część wręczył Pawłowi, drugą upchnął w poprzek między kołem zapasowym a karoserią. Paweł stał z osłizgłym, pachnącym krwią prosiakiem w ramionach. Miał przez chwilę wrażenie, że to zwłoki Głupczyka. Z jednej strony obrzydliwe, z drugiej jednak przyjemne.

Wrzask spojrział na niego i roześmiał się.

– Do twarzy panu z tym prosiakiem. Wie pan co? Dla mnie całość to za dużo. Niech pan będzie tak dobry, przyjmie ode mnie tę połówkę. Pan, przyjaciel ministra, nie odmówi pan przecież.

Wilczek spojrział na Wrzaska wściekłym wzrokiem. Paweł zauważył to.

– Ależ dziękuję, w żadnym wypadku, mnie się nie należy, proszę, tu dyrektor Wilczek byłby poszkodowany...

– Nigdy w życiu! – zawołał Wilczek. – Ja... ostatnio żona kupiła gdzieś na wsi całego świniaka, mamy dość mięska! Bardzo proszę nie robić przykrości panu dyrektorowi!

Paweł bezradnie trzymał połówkę świniaka. „No i co”, pomyślał, „gruby nie weźmie z powrotem, ta ładna nawet go sama nie udźwignie, zresztą nie mogę oddać czegoś, co w końcu było przeznaczone dla Wrzaska. A temu oddać? To mi odrzuci jak piłkę”. Wszyscy z autokaru obserwowali tę scenę. „Idiotyczna sytuacja, wygłupiłbym się”.

Nic nie powiedział więcej, Wrzask przejął z rąk Pawła ślizgający się ładunek. Ułożył paczkę wzdłuż bagażnika obok toreb z rzeczami.

– Dobrze, że tak zimno, nie zepsuje się, i tak ogrzewanie wysiadło – powiedział.

Pożegnali się z dyrektorem i wychowawczynią, chłopiec ulotnił się. Usadowili się w samochodzie. Wrzaskowi zły humor spadł z twarzy razem z trzaśnięciem drzwiczek. Usiadł z tyłu, obok dyrektorki domu dziecka

z Pogórza, która musiała tu widocznie wsiąść wcześniej. Kurator gdzieś zniknął. Paweł usiał obok Wilczka, który nadal prowadził.

– Diabli by go wzięli – zachnął się Wrzask, przekręcając kluczyk – wycygał w końcu te pieniądze. Człowiek ma takie miękkie serce dla tych wszystkich sierot! No, prędko do Warszawy, Wilczek, dość tej poniewierki, trzeci dzień tracę. Widział pan, jaki bezczelny typ? I tak połowę z tego ukradnie. Ta willa w głębi za ogrodem zakładowym, to za co on ją buduje? Za te pięć osiemset pensji? Plus to, co ukradnie ze stołu? Jeszcze dopłacał przedsiębiorstwu budowlanemu, żeby przy remoncie były usterki, bo mógł teraz wycygać dalsze fundusze. I człowiek musi tu tyle forsy przyznać, żeby i willę wykończył, i coś dla tych sierot zostało. Ja ich znam, psie nasienie! Skurrrr...!

Paweł widział kątem oka, jak dyrektorka z Pogórza sadowi się i mości obok Wrzaska. Rozpięła kożuszek, a Wrzask odwrócił się do niej całym ciałem. Czuł wzrastający wstręt do tego człowieka. „Po co przyjałem to ścierwo, co ja z tym teraz zrobię?”. Pocieszało go tylko to, że nadal nienawidzi Wrzaska i całej jego paki, brzydził się nimi. Po chwili pomyślał o żonie, o córce, tak dawno nie jedli świeżej wieprzowiny; teściowa może zapiekluje szynkę, będzie akurat na święta, a żona mu zawsze wyrzuca, że taki niezaradny, nie potrafi nic dodatkowo złapać, nawet nie wie, że mogłaby to wszystko mieć przy Głupczyku, ale za jaką cenę, nie wie, że Paweł uchronił ją przed płaceniem tej ceny. A on – no, rzeczywiście, ledwie mu się korepetycje udało złapać, a i to kolega mu ustąpił.

„Zresztą”, pomyślał, „prosiak stworzenie apolityczne, a lepiej już, żeby Marzenka go zjadła, niż wypasione bachory dyrektorskie”.

Wilczek zapuścił silnik. Z autobusu wychylił się kierowca i krzyknął w kierunku samochodu dyrektorów:

– Dokąd?

Ostatni uczestnicy symposium brnęli do autokaru w żółtej, częściowo tylko zamrożonej glinie, przemieszanej z wapnem i żwirem. Skakali przez kałuże, usiłowali przedostać się na kamienie. Nogi mieli coraz bardziej upapranie błockiem. Paweł z ulgą pomyślał, że zaoszczędzi butów. „No, ja się przynajmniej nie uświniłem”, pomyślał. Wrzask przyglądał się całej scenie przez chwilę, wreszcie się roześmiał.

– Właśnie, dokąd? – zapytał Wilczek.

– Mieliśmy jechać do Ostrowic, to ten drugi zakład. Z izbą pamięci, czy jakoś – powiedziała dyrektorka z Pogórza.

– Do Ostrowic! – Wilczek wychylił się przez okno w stronę autokaru. Autokar ryknął silnikiem, ostatni guzdralscy wskakiwali co prędzej.

Ruszył z niedomkniętymi drzwiami, na których zawisła na chwilę jedna z kobiet. – A my?

– Na razie jedź pan za nim do skrzyżowania, dalej zobaczymy – powiedział Wrzask, z uwagą przyglądając się, jak mężczyźni w autokarze wciągają do środka kobiety. Zadarła sobie spódnicę i widać było podarte pończochy z werżniętymi podwiązkami na udach. Błysnęły różowe majtki, potem drzwi autokaru zatrzasnęły się.

– Może od razu urwiemy się do Warszawy, tylko panią dyrektor podrzucimy do województwa. Chyba, że pan ma ochotę tam jechać – zwrócił się do Pawła. Paweł pokręcił głową przecząco i z dezaprobatą, nie miał zamiaru mówić do tego człowieka. „Nie powinien, jako dyrektor departamentu w żadnym wypadku nie powinien brać prezentów od podwładnych”, pomyślał. „Zwykle świństwo, nie mówiąc o tym, że stać go na to, żeby sobie uczciwie kupić. Mnie na przykład nie stać”.

– Ależ oni tak prosili, żeby pan dyrektor przyjechał – dobiegł go nie naturalnie chichotliwy głos dyrektorki. – Podobno zarznęli dwa cielaki dla sympozjum, zrobili sznycle i czekają na nas. Obiadku przecież nie jedliśmy.

– Na pewno też chcą coś ode mnie wycyganić – powiedział pogardliwie Wrzask. Paweł usłyszał nagle zduszony śmiech kobiety. Machinalnie spojrzał przez ramię. Wrzask obejmował ją jednym ramieniem, a drugą ręką rozpinał bluzkę na piersiach. Paweł jakoś nie mógł oderwać od nich wzroku.

– Ależ panie dyrektorze – w jej głosie słychać było ten sam nieznośny dla Pawła chichot. – Koniecznie trzeba tam pojechać, przepraszam, że ośmielałam się panu dyrektorowi sugerować, ale oni zużyli miesięczny przydział mięsa na sto dwadzieścioro dzieci, żeby zrobić te sznycle dla nas.

– Ma pani rację – powiedział Wrzask po chwili i jego ręka poddzierająca cała właśnie spódnicę kobiety na chwilę zastygła. – Do Ostrowic!

Paweł patrzył na nich jak zaczarowany. Wrzask zauważył to i mrugnął do niego. Paweł obrócił się gwałtownie w kierunku jazdy. Wilczek naciśnął gaz i ruszył w ślad za skręcającym, na skrzyżowaniu autokarem. Paweł pochylił się na siedzeniu, zamknął oczy. W tej samej chwili zobaczył pod powiekami postać ładnej prelegentki z Łodzi. „Jakie miękkie te siedzenia” – pomyślał.

Warszawa, 1988

Teresa Bochwic

Tamara Bołdak-Janowska

Krótką rozmowa położnicza Tola Szaleńczyka z Tamarą BeJot o zwykłej babie

BeJot: To o zwykłej babie porozmawiajmy. Z „Psiego sercu” Michaiła Bułhakowa wynotowuję fragment rozmowy profesora Prieobrażeńskiego z doktorem Bormentalem: ”Można wszczepić przysadkę Spinozy albo jakiegokolwiek innego czorta i przerobić psa na coś niebywałego. Pytanie tylko, po jakiego diabła? Niech mi pan wytłumaczy, proszę, po co sztucznie fabrykować Spinozę, kiedy zwykła baba może go urodzić w każdej chwili. Przecież madame Łomonosowa urodziła w Chołmogorach tego swojego wspaniałego. Ludzkie, doktorze, samo zatroszczy się o to w trybie ewolucji, uporczywie wyodrębniając z nikczemnej masy przeciętności dziesiątki niezwykłych geniuszy, którzy są ozdobą naszej planety”.

Ponownie czytam powyższe słowa i zdumiewam się ich niekomercyjną aktualnością. Gdybyż uczeni czytali humanistów. Gdybyż zatrwożyła ich w odpowiednim momencie zabawa w robienie sztucznych ludzi, w klonowanie, w chipowanie, w robienie nieustraszonych żołnierzy, tych coraz bardziej bezdusznych maszynek do zabijania, i w robienie czort wie jeszcze czego i kogo. Gdybyż nabywali humanizmu od wielkich humanistów. Ale nie. Zabawa trwa. Niekontrolowana przez nikogo. Tylko zabawa. A nuż coś lub ktoś się uda. Coś „lepszego” niż człowiek. Taki naukowy akt terrorystyczny wobec „głupich dotychczasowych” ludzi. Może się uda.

Znakomita jest ekranizacja „Psiego serca” w reżyserii Władimira Bortki (1988). Poruszająca. Z dowcipem. Zderzenie nauki z absurdami sowietyzacji. Sowietka, która wygląda jak facet pośród facetów, i profesor zmuszony jest spytać, czy wśród tych facetów jest jakaś kobieta i jeszcze raz upewnić się, która to. Wcześniej (w 1976) tę powieść Bułhakowa zekranizował włoski reżyser Albert Lattuada. Nie znamy włoskiej wersji. A ty co sądzisz, kto ma rację, stary dobry Bułhakow czy uczone nowoczesne odhumanizowane człekoroby?

Tolo: Cha, cha, cha! Ten trochę głupkowaty mój śmiech niech doda mi odwagi wobec zalewających nas awatarów, memów, szreków i innych à la człowieków i fejków o nich! Przeraża to, że człowiek nagle przestał wystarczać człowiekowi i podsuwa mu gorsze wersje, nieludzkie. ”Człowiek,

to brzmi dumnie” – powiedział kiedyś ktoś. Kto. Pisarz. Precz z nim. Przyszła straszna wojna i złamała kod człowieczeństwa. Zaraz potem przyszły czasy *anything goes* i wielu się ucieszyło. Coś człowiekowi wszczepimy, dozwolimy człeka przerobionego. Bogu też wszczepimy? Może dlatego tak reaguję, że jestem od zwykłej baby i nie nadążam, ja – nieudany Łomonosow. Już nie wystarcza być urodzonym z wielkiej miłości i obdanym wielką miłością. Moja mama nim się urodziłem dwukrotnie przeczytała Biblię, bo jak mówi, chciała wiedzieć, „jak to tam było”. A potem uzupełniała wiedzę, bo wiele musiała znieść, pochodząc z obcego plemienia. Napluj, córko, na swoją wiarę – zażądał kapłan nowej wiary. Myli się, kto myśli, że to pomogło. A ludzka wiedza jest przyjemna.

BeJot: Szkoda. Kabłówka zabrała nam Mezzo. Na Mezzo oglądaliśmy wybitniej wyreżyserowane opery i balety, niż te reżyserowane tradycyjnie, topornie, bez polotu, no tak bardzo po angielsku, jakie od czasu do czasu puszcza TVP Kultura. Scenografia w nich bez rysu nowatorstwa. Angielska ciężka solidna tradycyjność. Z kolei operowe scenografie amerykańskie i gra aktorska są zbyt dosłowne. Jeśli dama umiera, to wala się po podłodze, wije się w ramionach kochanka. Ona leży, on półleży nad nią. No żeby ta umierająca choćby zawisa w jakiejś kuli w powietrzu i stamtąd śpiewała swoją przedśmiertną arię, oddalając się od kochanka, a on bezskutecznie starałby się dotknąć ją dłonią ze swojej kuli, wędrującej po ziemi w odwrotnym kierunku. Od czasu do czasu lecą w telewizji Szekspiry, ciężko po angielsku robione na filmy akcji. Beznadziejne. Duchy w nich świecą oparami jak od linijki, i są znowu zbyt dosłowne, mają postać prawdziwych ludzi z detalami, nos, włosy, noga, dosłowna pierś. I blacha w oparach. Zupełnie znika poetyckie słowo Szekspira. Mam alergię na te Szekspiry akcji. Uciekam do drugiego pokoju, podczas gdy ty oglądasz, cierpiąc. Chcesz się przekonać, co uczyniono Szekspirowi? No, co. Przecież poddano złemu unowocześnianiu. A dla kogo? Dla małolata, który jeszcze nie wyrósł z filmów akcji? Tak pyta zwykła baba we mnie, bo podstawowe pytania należą do zwykłej baby, jak też do zwykłego faceta. Podstawowe pytania są proste.

Tolo: Co uczyniono Szekspirowi. No, co. „O świecie, świecie, świecie” – mówi Szekspir. Te produkcje, o których mówisz, to odpowiednik estrady. Już lepiej brzmią jego słowa w „zwykłym” czytaniu. To odpowiednik Bacha, a Bach można słuchać w klasycznym wykonaniu. Rozrywkowe interpretacje pozbawiają Bacha Boga. Kilkadziesiąt kanałów, w tym dublujących się na kabłowie i nie ma miejsca na Mezzo. Kto postanowił, że Polacy to debile? Na TVP Kultura też mi omawiają jakieś tam zespoły. Po Pinie

Bausch niczego się nie chce oglądać, co nie wynika z Piny Bausch. Jedna baba, a tyle narobiła. Pina Bausch genialnie łączyła tradycję z nowoczesnością, w muzyce też. Świetnie w jej spektaklach łamany jest muzyczny folklor hiszpański czy nawet afrykański, a łamany jest ironicznie, humorystycznie, poważnie, jakby go przepuszczała przez sito, przez morskie fale, kałużę, czy ugniatała w dłoniach. To było i jest twórcze. Poczucie humoru jest na wieki wieków twórcze.

BeJot: Pomyślę nad babą matką. Nie zastanawiam się, czy piękna, nadzwyczaj piękna, zgrabna, wiecznie młoda. Tyle wiem, że kochająca i kochana. Nic innego mnie nie obchodzi. To jest wzór. Sytuacja spoza wzoru nie obchodzi mnie – że może matka niedobra, że nie tak coś robi, jak powinna robić, czy może mówi nie to, czego oczekują słuszni i telewizja. Nie wolno zapominać wzoru. Reszta to deformacja. Nie wolno krzewić deformacji.

Tolo: Oj, jak się boimy słowa „krzewić”.

BeJot: Bo nam się wydaje, że tylko totalitarne rządy coś krzewią, a to nie tak. Musi być linia generalna, a ona to wybredny gust w kulturze, a ona to prawda, a nie jakieś konstrukty prawdy, jak mówi Naomi Klein w „No logo”, a ona to udział w wątku rozumnym.

Tolo: Słowo „krzewić” usłyszałem od filozofa z Izraela. Umknęło nazwisko. W izraelskim narodzie – mówi – są dwie postawy. Nienawiść do każdego Amaleka i zemsta na nim za winy istniejące i nieistniejące, i druga postawa: kochaj bliźniego, również tego „obcego”, jak siebie samego. Filozof twierdzi, że w tej sytuacji należy krzewić drugą postawę. Właśnie. Krzewić. Nie można dogadzać obu, bo pierwsza rozwinie się nadmiernie. Zrównanie obu oznacza krzewienie nienawiści, bo ta głośniejsza, bo się rozzuchwala. I nawet jak się średnio rozzuchwali, to powali. Podaję za Maciejem Stroińskim: «Amalek to ateusz, bezbożnik. Dopóki nie wyginie „wirus Amaleka”, tron będzie rozpołowiony». I my mamy to rozpołowienie, a ponadto krzewienie „nienawiści do każdego Amaleka”.

BeJot: Zwykle baby, matki, przecież coś dobrego krzewią w dziecku, nie jest tak? W każdym człowieku tkwi ta, a nie inna zwykłość, a ona to tęsknota za dobrem, pięknem, sprawiedliwością. Za wszystkim, co buduje.

Tolo: Facet też tak tęskni, ten zwykły facet w każdym facecie. To się kiedyś nazywało: głębia.

BeJot. W olsztyńskim teatrze bilety na jedno przedstawienie kosztują sto złotych. Powariowaliście? Znowu tak pyta zwykła baba we mnie.

Tolo: Zwykły facet też tak pyta we mnie. Kultura powinna być dostępna dla nas, a nie jest.

BeJot: Słońce obnaża zmarszczki i kurz. Zapisalam to zdanie, bo przedtem tego nie widziałam. Dziś kurz mi rośnie, bo nie mam siły na regularne odkurzanie. Zmarszczki widzę, swoje i obce, kiedy wdziera się na ulice i do domu wiosenne słońce. Twarze jak wydłubane z gliny i wypieczone jak byle jak uformowane bochenki. Moja taka też. Te same zmarszczki, ten sam kurz widzę w pełnym słońcu na liściach chwastów, które opanowały moje dawne kolejowe podwórko za Narejkami. Jak myśmy nazywali takie wybująe chaszce? Burjan! Kod nieobecności domu i podwórka. Kod obecności burjanu. Jakby sam czas działał tu, wymieniając jedno na drugie – nieustępliwie, zdecydowanie, niemal osobowo. Jakby osoba budowała zielen jak rozkiełznany pałac.

A jeszcze Danił: „Kartki mojego kalendarza spadały zbyt szybko. Skończyło się poczucie nieskończoności”. „Utrata poczucia nieskończoności” – powtarzam te słowa i powtarzam. Człowiek młody, dziecko, nawet dojrzały mają poczucie nieskończoności. Stary człowiek traci to bezpowrotnie. Stary człowiek to człowiek smutniejący. Ten smutek pogłębia się i nie ustępuje.

Tolo: Przeczytam ci moje: „Na niebie rozdmuchana pierzastość i niciałość. Porozmiatane welony porozdzierane bluzki, tańczące suknie ślubne, jedna nawet kielichem do góry – prawdziwe ukwiały”. A ty w „Elegancji serca”, w nowej książce, masz tę linię generalną, jedną jedyną w pojedynczym życiorysie u mety: utratę poczucia nieskończoności. Dałaś do tych wierszy genialne rysunki. Zresztą ten twój poemat to genialny sceniczny tekst. Rozmawiasz z sercem, które występuje jako Ono, ale to nie jest tradycyjna rozmowa uczuć z rozumem. To ogląd rzeczywistości. Porusza twój rysunek płonącej laleczki na okładce. Ta laleczka przewija się przez tomik jak żywa istota. Idzie krokiem modelki, czyli krokiem zdrowego serca, tańczy z kijem w kapeluszu, chwyta się nici. Tu i tam dałaś jej twarz Marcelki, naszej zmarłej córki. Daj popatrzeć na ten taniec z kijem.



BeJot: Aż taki ten poemat? Mówisz „genialny”? Naprawdę taki? Pisała go zwykła baba we mnie. I już nie tłumaczę, czym to jest, głęboka ludzka zwykłość. Genialność? Teraz genialne są lodówki, a nie ktoś z ludzi. W tym tomiku rozmawiam z sercem, które występuje jako Ono, ale nie jest to tradycyjny dialog uczuć z rozumem. Tak jak mówisz, oglądam świat, a dokonuję tego podwójnie, oczami rozumu i oczami serca, a serce ma oczy z rozumu. Serce to humanizm i sumienie. A mózg to nie tylko intelekt, lecz i wyobraźnia. Zwykła baba może równie dobrze zawołać: Dajcie mi żyć! Nie zamęczajcie przeciętnością i jej nieustającą reklamą! Przestańcie męczyć pustką, brakiem linii generalnej, kiedy słowo to bełkot pędzący na niczym. Nie otaczajcie przemocą i jej reklamą, typu „to nasza przemoc, więc jest dobrze”. I żeby laleczki przestały płonąć.

Tolo: Rysunki laleczki przeplatają się z sylwetkami kobiety starej. Daj ten rysunek starej, ze słońcem za plecami na dywaniku.



Tamara Bołdak-Janowska

Krzysztof Choiński

Misja

(fragment powieści „Polski los”)

Najbliższa sobota miała być dniem wyjazdu do Władka i Ireny; Maria nie widziała ich od miesiąca, a chciała im zawieźć zdobyty na czarnym rynku kilogram cukru, dwie pary skarpet, które zrobiła na drutach i jeszcze jakieś drobiazgi. Przede wszystkim jednak musiała przekonać się, czy u nich wszystko w porządku. I właśnie gdy zaczęła pakować plecak, przyszła łączniczka Zosia, pierwszy raz po wyspie u ogrodnika.

Dziewczyna była zadyszana, modna ondulacja z wałkiem włosów nad czołem utraciła swój wzorowy porządek, rozpięty żakiet z wywatowanymi ramionami odsłaniał burozielony sweter z grubej wełny.

– Bardzo panią przepraszam, jest roz... – zawahała się. – Prośba od „Wigury” do pani.

Nie miała odwagi powiedzieć „rozkaz”, co Maria odnotowała ze smutnym rozbawieniem: nie zapomnieli, że przedwojenna pozycja gwarantuje jej specjalny status dobrowolnej współpracowniczki, czy jak to nazwać. W milczeniu podniosła brwi.

– Pilna sprawa, wyjazd do Zagórza, a nie mamy w tej chwili nikogo w dyspozycji.

Oczywiście, ta wsypa, choć nie spowodowała fali aresztowań, musiała ograniczyć wybór kurierów: kogoś pewnie wysłano do lasu, uśpiono jakieś kontakty, i tak dalej.

– Miejsce pani zna, kontakt ten sam. Hasło i odzew identyczne. Te same osoby.

Nie skomentowała, że główną „osobę” zna sprzed wojny, a z żoną tego pana składała przysięgę w Jabłonkowie, wstępując wiosną roku piętnastego do Oddziału Wywiadowczego.

Łączniczka położyła na stole niewielką, płaską paczkę.

– To trzeba dostarczyć. Pociąg jest, jak przedtem, o szóstej.

Maria kiwnęła głową, choć miała ochotę krzyknąć „Dajcie mi spokój, jestem zmęczona, moje dzieci na mnie czekają! Znajdźcie sobie młodszych!”. Wzięła przesyłkę i schowała ją do szuflady.

Wieczorem poprawiła stos klasówek, w nocy spała źle i rano poszła na stację bez śniadania. Musiała ubrać się ciepłej, wzięła wełniany szal i włożyła grube skarpety, bo w nocy temperatura spadła poniżej zera i spadł śnieg. Ot tak, jak to w marcu. Na peronie hulał mroźny wiatr, tłum ludzi skulonych z zimna przytupywał w oczekiwaniu na podstawienie pociągu. Jakimś cudem zdobyła miejsce siedzące, może dlatego, że znalazła się w pierwszej grupie szturmującej wagon. Wciśnięta w kąt przedziału przysypiała chwilami. I wtedy wróciło wspomnienie ostatniego powrotu z Warszawy, wiosną, kiedy ciągle jeszcze żyli nadzieją, że wojny nie będzie. Spotkała wówczas Zdziśława, który wracał z misji paryskiej. Choć nie powiedział niczego wprost, zakończenie brzmiało ponuro: – Proszę mi wierzyć, że nie mogłem nie podpisać. W przeciwnym razie zostalibyśmy całkowicie osamotnieni. Edward wie o tym.

Gdzie podziały się sierpniowe dni w Oleandrach? I ten poranek, kiedy wyszli w pole pełni nadziei?

Wysiadła odrętwiała, przesunęła się w tłumie obok kolejarza odbierającego bilety i dwuosobowej „wachy” niemieckiej straży kolejowej, po czym poszła szybkim krokiem w stronę przedmieścia. Dręczyła ją myśl o mężu, poszukiwanym przez gestapo i ukrywającym się w Warszawie; czy zdołał zdobyć fałszywe dokumenty? Zaszyfrowane, lakoniczne listy przychodziły tak rzadko!

Nagle stwierdziła, że jest już u wylotu uliczki, przy której stał cel misji: domek z gankiem, obrośniętym dzikim winem. Pora była już późna, a z niej wychodziło zmęczenie drogą i przede wszystkim napięciem ostatnich dni. Najwyższy czas, żeby przekazać przesyłkę i zaszyć się w pokoiku na poddaszu, gdzie nocowała poprzednim razem. Przypomniła też sobie, jak cztery lata temu, po odczycie dla Rodziny Wojskowej, została zaproszona na obiad i w ten sposób poznała gospodarza. Kiedy zjawiła się ostatnio, na swój widok roześmieli się oboje. To dopiero zbieg okoliczności! Tak, życie pisze niezłe romanse.

Wbiegła po schodkach i zapukała do pomalowanych na brązowo drzwi. Ponieważ nie było odpowiedzi, zastukała po raz drugi. Po chwili ktoś otworzył i w obramowaniu futryny pojawiła się masywna kobieta o podejrzliwie wykrzywionej twarzy, nieznana Marii zupełnie. Patrzyła na nią bez słowa.

– Dzień dobry, czy zastałam pana Hilarego? – spytała Korowska, zapyminając o hasło.

– Nie ma. – padła krótka i wroga odpowiedź.

– Przyszedłam po zamówione konfitury z róży. – powiedziała Maria z poczuciem absurdu.

– Nie wiem o żadnych konfiturach – warknęła baba.

– A kiedy będzie pan Hilary?...

– Wyjechał – Maria zawahała się. Nie spytała już o żonę gospodarza, myślała o nadchodzącej godzinie policyjnej. – Widzi pani, ja niedawno przyjechałam i następny pociąg mam dopiero jutro rano – zaryzykowała, choć narastała w niej świadomość, że chyba lepiej odejść stąd jak najprędzej. – Czy nie mogłabym przenocować?

– Nie ma wolnego łóżka! – drzwi zatrasnęły się i Maria została na gan-ku, zamieniona w słup soli.

Zeszła wolno ze stopni, spodziewając się w każdej chwili wrzasku, szarpaniny, wciągania do środka, bicia. Nic takiego nie nastąpiło.

Następna godzina była jak koszmarny sen. Co zrobić z sobą w tym obcym mieście, znanym powierzchownie, tuż przed godziną policyjną? Najoczywistsza droga prowadziła z powrotem na stację, ale nocleg w poczekalni także pociągał za sobą ryzyko. Mróz brał coraz większy, zaczynały padać wielkie płaty śniegu. To była bajkowa sceneria świąteczna, która co roku zapowiadała moment wyciszenia wszelkich trosk, ubieranie choinki, szykowanie wieczerzy. Świat pokoju wydawał się tak odległy, jak egzotyczne kraje z książek czytanych przez Władka po rozdaniu prezentów. Było zacisznie i bezpiecznie, potem szli na pasterkę...

Maria zaczęła marznąć, kluczyła bocznymi uliczkami, tu i ówdzie w oknach migotało nędzne światło karbidówki czy świecy. Nagle poczuła, że za chwilę usiadzie w zaspie i już nie wstanie. To obudziło w niej zanikającą energię i popchnęło ją do kroku desperackiego.

Wybrała na chybił trafił jakąś chałupinę, otoczoną ogródkiem, w którym rosły cztery świerki, i sięgnęła do klamki zielonej furtki. O dziwo, ustąpiła. Ścieżka prowadząca do drzwi wejściowych, obdrapanych i spaczonych, szła nie wiadomo czemu kręto. Na ostrożne pukanie ktoś natychmiast otworzył, wyjrzała pomarszczona twarz starej kobiety.

– Dobry wieczór pani. – rzekła Maria. – Bardzo przepraszam, znalazłam się w takiej sytuacji...

Urwała. Słowa wydały się jej sztuczne, napuszone, brnęła jednak dalej.

– Przyjechałam do znajomych i nie zastałam ich, a o tej porze nie ma pociągu. Czy nie mogłaby pani mnie przenocować? Mogę spać nawet na podłodze.

Drzwi otworzyły się szerzej.

– Pani wejdzie. Ja tu mieszkam sama, miejsca dość. Pościelę na kanapie.

W sieni panował półmrok, tylko z uchylonych drzwi po prawej padało nikiel światło. Maria poczuła, że słabnie pod wpływem ustępującego napięcia. Gospodyni przyjrzała się jej bacznie i wzięła ją pod rękę.

– Chodźmy do kuchni, bo mi tu pani jeszcze zemdleje.

Kobieta była bardzo stara, albo na taką wyglądała, miała na sobie gruby kaftan i ciepłą spódnicę. Przysunęła Marii krzesło i zapytała:

– Może gorącego mleka się pani napije? Ja mało palę, bo o drewno czy węgiel strasznie trudno, ale mogę rozdmuchać w kominie.

Ponieważ Maria kiwnęła głową, gospodyni zdjęła fajerkę i nachyliła się nad widocznym pod nią żarem. Korowska poczuła, że łzy zaczynają jej płynąć po policzkach.

– Nie trzeba płakać – powiedziała stara kobieta, nie odwracając się. – Oni do mnie nie przyjdą, bo tu nikt nie bywa. No, czasem jedna sąsiadka, ale też taka stara jak ja. Zaraz zgasimy światło i będzie wyglądało, że śpię.

Ten wieczór spędzony w biednym wnętrzu pozostał Marii w pamięci na zawsze. Piła gorące mleko, zjadła pajdę chleba posmarowaną marmoladą; gospodyni rozgadała się trochę – widać potrzebowała ludzkiego kontaktu. Okazało się, że została sama, bo córkę wzięli na roboty, mąż dawno już nie żyje, a dalsza rodzina mieszka gdzieś, hen, pod Stanisławowem.

– Nawet nie wiem, czy żyją, a tam teraz strasznie się zrobiło – mówiła, patrząc w zamyśleniu w nikły płomień karbidówki. – Czasem czekam, że przyjadą, że się uratowali i jakoś razem przebijemy wojnę. Wie pani – ożywiła się nagle – mój mąż był listonoszem. Zarabiał mało, ale zawsze jakoś dawaliśmy sobie radę. A teraz jego nie ma, a Krysia gdzieś pod Kolonią. Nie uważa pani, że to dziwne, żeby miasto nazywało się „kolonia”? Przecież u nas to znaczy całkiem co innego.

Maria zaczęła jej tłumaczyć, skąd wzięła się zapewne ta nazwa, a równocześnie myślała, jak to jest, że taka prosta kobieta wysławia się prawidłowo.

Jej rozmówczyni, jakby to usłyszała, wyjaśniła nagle:

– Wie pani, ja skończyłam dobrą szkołę powszechną, nauczyli nas, jak się mówi i pisze. I nawet chodziłam do seminarium nauczycielskiego w Kraśniku, ale po roku przerwałam. Z biedy. No a potem wyszłam za mąż. Czemu pani się uśmiecha tak smutno?

– Pomyślałam sobie o roli przypadku. Ja też byłam uczennicą tego seminarium i nawet je ukończyłam.

– W którym roku? – ożywiła się gospodyni.

– W piętnastym.

– No tak, pani jest sporo młodsza ode mnie... Ale niepotrzebnie tyle gadam. Pójdziemy chyba spać?

Następnego dnia, po nocy przespanej przez Marię na kanapie z wystającymi sprężynami, pożegnały się serdecznie. Gospodyni objęła ją i przytuliła, powiedziała:

– Niech panią Bóg prowadzi i strzeże od wszelkiego złego.

I stojąc na progu zrobiła nad nią znak krzyża.

Droga powrotna była właściwie bez historii: pociągu nie zatrzymano, żaden patrol nie przyczepił się do pasażerów, na stacji nie czekała łapanka.

Kiedy Zosia, wezwana umówionym sposobem, przyszła znowu, Maria opowiedziała jej o dziwnym końcu misji, a potem rzekła stanowczo:

– Powiedz, moje dziecko, „Wigurze”, że ja się już do takich zadań nie nadaję. Jestem za stara i za słaba. Gdyby mnie zgarnęli, obawiam się, że dobrze przyciśnięta i zaszantażowana moimi dziećmi, mogłabym was wyspać. Wiem niewiele, ale to by im wystarczyło.

Obawiała się ze strony tej dziewczyny, tak odważnej, nadstawiającej bez przerwy karku, jakiejs reakcji pełnej pogardy czy irytacji. Tymczasem łączniczka skinęła głową i powiedziała:

– Przekażę. Ja panią rozumiem. Zastanawiałam się czasem, ale nie śmiałam pytać... W końcu pani pokolenie zrobiło już swoje z nawiązką. Teraz nasza kolej.

Maria nie dowiedziała się nigdy, jakie przyczyny spowodowały jej porażkę w Zagórzcu, ani co stało się z panem Hilarym.

Krzysztof Choiński

Paweł Dunin-Wąsowicz

Muniek na pieprzonym Żoliborzu

Pierwszą sławną osobą, z którą zawarłem naprawdę osobistą znajomość, był Zygmunt Staszczyk zwany Muńkiem, co z czasem zyskało przełożenie na bardzo różne książki. Kiedy poznaliśmy się jesienią 1988 r., piosenki T. Love Alternative hulały już w radiu od dwóch lat. Miałem jako student wielkie parcie na druk, moi pochodzący z Wrocławia koledzy Witek Pasek i Grzesiek Górny publikowali w lokalnym dolnośląskim dwutygodniku młodzieżowym „Iglica”, gdzie oddawano na pierwszych stronach co cesarskie cesarzowi, a dalej szło przyzwoicie (podobnie jak w ówczesnym ogólnopolskim „Na przełaj”, którego czołowymi piórami byli wówczas Mariusz Szczygieł, Wojciech Tochman i Eryk Mistewicz). Jako że piosenki T. Love wydawały mi się wyjątkowo bliskie, niebawem po zaistniałym z protekcji Witka debiucie w teje „Iglicy”, postanowiłem przeprowadzić wywiad z nieznanym mi Muńkiem. Kontakt ułatwił inny kolega z roku, współpracujący z „Magazynem Muzycznym”. Tak więc rozmowa się odbyła i okazało się, że Muniek wprowadził się właśnie do narzeczonej na Przasnyskiej do bloku sąsiadującego z tym, w którym mieszkam z rodzicami.

Znajomość rozwijała się w sposób naturalny, bo okazało się, że Muniek ponadto utrzymuje nadal ciepłe stosunki z innymi moimi kolegami i koleżankami z roku poznanymi w czasach kiedy mieszkał w akademiku na Kickiego. Z jednym z nich Stachem P. zaczął wiosną 1989 występować jako perkusista w coverbandzie Gary & Gitary, któremu rozkręciło się niebawem akcję prasową nieproporcjonalną do osiągnięć. (Swoistą kontynuacją był w latach 90. coverband Niespodzianka, w którym Muniek dla odmiany śpiewał, a liderował dawny basista Garów – Krzysiek T.). Tymczasem artysta wziął ślub z Martą u Dzieciątka Jezus na Żoliborzu – zachowało mi się zaproszenie – i zaraz potem wyjechał do Anglii zarabiać pieniądze na zmywaku, bo z płyty i koncertów rodziny nie szło utrzymać.

Kiedy wrócił tuż przed Sylwestrem, przywiózł gwałtownie tracące wartość wobec sukcesów Balcerowicza funty oraz napisaną w Londynie piosenkę, którą mi na przywitanie zaśpiewał, przygrywając roboczą linię basu na dwu strunach gitary. Była to *Warszawa*, ze słowami „zielony Żoliborz,

pieprzony Żoliborz” oraz zmienionym potem wersem drugiej zwrotki, gdzie pierwotnie studentki wirowały swoimi ciałkami.

Nasze sąsiedztwo sprzyjało kontynuacji znajomości. Pamiętam jak udaliśmy się kiedyś tramwajem na piwo do pijalni „Syrena” zwanej powszechnie „pod Rurą” przy moście Gdańskim, przy czym Muniek pchał wózek z półrocznym Jasiuniem, który zaznawał świeżego powietrza (po dwudziestu paru latach będę drukował prozę Jana Staszczyka w „Lampie”). Zygmunt finalizował wówczas na polonistyce swoją spóźnioną pracę magisterską na temat własnego zespołu, a kiedy ją obronił, pojawiła się wizja wydania książki, bo nowe wcielenie T.Love zaczęło osiągać sukcesy. Okazało się jednak, że naukowy tekst nie nadawał się do przeróbki. Wyszło na to, że nagrywałem potoczyste opowieści Muńka i jako ghostwriter (miałem od jesieni 1991 własny komputer) spisywałem i układałem w porządku łączącym walory alfabetyczne z chronologicznymi. Autobiograficzna książka Muńka *Dzieci rewolucji* ukazała się w końcu 1992 r. nakładem wydawnictwa Zebra.

Charakter mojej pracy w „Życiu Warszawy”, gdzie jednego dnia przebywałem od rana do północy na dyżurze, a następnego miałem wolne, także sprzyjał kolegowaniu się nadal w plenerze. Zygmunt przed sukcesem Szwagierkolaski nie był jeszcze tak powszechnie rozpoznawalny i zachowywał szczęśliwe incognito. Z czerwca 1993 roku pochodzi zapisane przeze mnie opowiadanie *Polak przedsiębiorczy*, oddające związek Muńka z zielonym Żoliborzem:

Poszliśmy z Muńkiem czegoś się napić. Przestało nas bawić piwo, które usypia, na picie w dzień wódka też niedobra. Tak naprawdę, to kręci nas już tylko alpaga, zwłaszcza, że jest po niej często prawie dragowy odjazd. Tak więc kupiliśmy po flaszcze „Bonanzy” i poszliśmy na ławeczkę na plac Tucholski, za kinem „Wisła”. Usiedliśmy. Alpaga rzeczywiście ohydna, ale tu chodzi o klimat, nie o smak.

Po kwadransie podszedł do nas szczupły menelowaty facet w średnim wieku. Ubrany był w turecką džinsową kurtkę, spodnie w kratę, na stopach przyobleczonych w białe, już brudne skarpetki, miał mokasy.

– Czy można się dosiąść? – zapytał grzecznie.

– Proszę bardzo. Facet wyjął z kieszeni swoją alpagę, zaczął mocować się z korkiem. Wyjąłem szczyryk i otworzyłem butelkę. Facet podziękował i spokojnym ruchem wyciągnął z drugiej kieszeni plastikową torebkę, wyjął z niej śledzia i zaczął go konsumować, popijając alpagę.

– No nie, pan tak może? – przeraziliśmy się.

– Ja z moją starą do pół litra kilo śledzi zjadamy. A jak byłem młodszy to mogłem wypić dwa litry mleka i zjeść do tego na raz piętnaście kajzerek. Facet okazał się malarzem pokojowym. Muniek zapytał ile bierze, bo chce pomalować mieszkanie.

– Dwieście tysięcy za metr jeśli z moją farbą, sto pięćdziesiąt jak masz własną. Idziesz do sklepu, kupujesz farbę za dwadzieścia tysięcy litr. Mieszkam tu na Mickiewicza w „szklanym domu”, S. (tu wymienił nazwisko) się nazywam, tu napiszę ci adres.

– A czytałem gdzieś, że w „szklanym domu” jest grzyb.

– Jest grzyb, ale tylko do drugiego piętra. Ja mieszkam na trzecim. A może chcesz wynająć mieszkanie?

– Za ile?

– Trzysta tysięcy za noc.

Następnie facet zaczął narzekać na czasy. Jest rencistą. Maluje oczywiście na czarno, podatków nie płaci.

– Mam drugą grupę. Pobili mnie kiedyś na komendzie w ucho i symulowałem padaczkę pourazową. Wiesz – ożywił się i nachylił do Muńka – Ja ci rentę też załatwię.

Pan S. ma dwóch synów. Starszy jest w porządku, pracuje jako kamieniarz na Wólce.

– Niedawno przyszedł do mnie i pyta: „Ojciec, pieniędzy potrzebujesz? Dam ci, ile chcesz? Pół miliona, milion, dwa?”. Gorzej jest z tym młodszym, który tak jak ojciec jest malarzem. Jest wredny. Zły. – Ja jestem kościelny człowiek – pan S. otworzył portfel, z którego wyrzwał święty obrazek, a on...

– Długie włosy, głośnej muzyki słucha? – Tak, i odwrócony krzyż na piersi nosi. – A, to nic – uspokoił S. Muniek. – To tylko satanista. Niech pan się nie martwi, przejdzie mu.

W tymże 1993 r. jako jedno z pierwszych oficjalnych wydawnictw Lampy i Iskry Bożej po rejestracji działalności, ukazał małeńki i cieniutki tomik marihuanowych wierszy Muńka *Gandza* utrzymanych w odmiennej od jego piosenek stylistyce, zbliżonej do haiku. Jesienią zaś na zjeździe artziniowych wydawców w Zielonej Górze i ja zadebiutowałem jako rock’n’rollowy artysta z zespołem Paul Pavique Movement, gdzie Muniek wystąpił jako perkusista, zaś na basie grał inny mój idol rockowej liryki – Grabaż z Pidżamy Porno, wówczas pozostającej jeszcze w stanie hibernacji (z czasem zastąpił Grabaża w tym składzie Maciek Majchrzak z T.Love,

nagraliśmy materiał studyjny dołączany w 2006 r. do „Lampy”, ostatni występ miał miejsce na Mokotowie jakoś w 2011 r.).

Do dziś jednak nie nabrała muzycznej formy piosenka *Zesłany*, której tekst napisaliśmy wspólnie z Muńkiem w 1994 r. w wietnamskiej restauracji przy rogu Broniewskiego i Reymonta. Można określić jej tekst jako lirykę numizmatyczną:

Zesłany na Sybir ostatnie dwie dychy
z Piłsudskim, na sercu w katanę swą wszył
I gnany przez tajgę, przez łągry, przez śniegi
O Polsce wciąż myślał i żył
Wtem nagle w Irkucku katanę powiesił
I Ruski zajeżał ją z haka
Przepadły na zawsze dwie dychy z Piłsudskim
A Rosja zgnębiła rodaka
Krążyły po łągrach te dychy z Piłsudskim
Krążyła po łągrach moneta
Bo który z Iwanów ją dotknął swą ręką
Parzyła jak z ognia kometa
Zła zima tak sroga jak ruskie kajdany
Za oknem nędznego baraka
Gorączka go zżera, to galop suchotów
Tak Moskwa zabiła Polaka
A kiedy już umarł, to ruski komendant
Z felczerem odgwizdał żałobę
A dychy z Piłsudskim na oczy mu spadły
Powieki zakryły mu obie

Z uwagi na to, że Muniek miał małe dzieci, a ja starych rodziców, zdarzało się nam nieraz słuchać piosenek w jego nissanie zaparkowanym pomiędzy naszymi blokami. Z tego repertuaru wryły mi się w pamięć *W wielkim mieście* Raz Dwa Trzy oraz *Świńska procesja* Pidżamy Porno.

Powiększenie rodziny Staszczyków oraz poprawa jej kondycji materialnej wskutek wznoszącej się linii kariery Muńka zaowocowały przeniesieniem się jej w 1998 r. najpierw na Ochotę, a parę lat później do Włochów, gdzie pobudowali dom. Bawiłem tam na niejednych urodzinach i sylwestrach, spotykając między innymi ich dawną sąsiadkę z tego samego bloku a moją koleżankę z klasy Gośkę Piekarską, która rozwinęła się jako

autorka powieści młodzieżowych (*Klasa pani Czajki* czy *LOteria*). Jasne jednak, że nasza znajomość rozluźniła się, choć Zygmunt chętnie powraca na Żoliborz, gdzie zresztą zainwestował w kawalerkę na VII kolonii WSM przy Suzina. Zorganizowałem mu skądinąd i wyprawę sentymentalną na Kickiego, gdzie w akademiku, w którym niegdyś mieszkał, zainstaltował się Antykwariat Grochowski, największy obecnie w mieście. Muniek szukał tam wówczas *Małej apokalipsy* Konwickiego, ale nie znalazł. Jestem ciągle jego osobistym konsultantem zarówno jeśli chodzi o najnowszą literaturę polską, jak varsavianą, w których zasmakował już w czasach zespołu Szwagierkolaska. Na swoich bodajże czterdziestych urodzinach w restauracji na rogu... no właśnie? Solnej i Leszna, Marchlewskiego i Świerczewskiego czy Jana Pawła II i Solidarności... usadził mnie zresztą obok syna Stanisława Grzesiuka – Marka, dziś już także nieżyjącego.

Na ćwierćwiecze T.Love powstała trzecia książka związana z aktywnością Muńka – i w jej powstaniu też maczałem palce. Byłem bowiem w 2007 r. wydawcą T.Love. *Potrzebuję wczoraj* – dzieje zespołu spisała nasza wspólna od dawna żoliborska znajoma Magda Patryas, a ja dopisałem rozdział o T.Love jako przedsiębiorstwie – rodzaju spółdzielni pracy. Pięć tysięcy nakład rozchodził się przez dziewięć lat, w momencie kiedy piszę ten rozdział, Magda uzupełnia dzieło o wydarzenia ostatniej dekady dla innego już wydawcy, tak aby ukazało się na 35-lecie debiutu T.Love Alternative na studniówce Muńka.

Co prawda w piosence *Skomplikowany (nowy świat)* na płycie *Love is gold* zaśpiewał „pierdolę fejsa” i na Facebooku Muńka nie ma, są za to wśród moich wirtualnych znajomych jego dzieci – Janek i Marysia.

Paweł Dunin-Wąsowicz

Fragment przygotowywanej publikacji *Dzika biblioteka*

Gabriela Kurylewicz

Zaczarowane lustерko

Pewnego razu mama podarowała swojej córce na urodziny lustерko. W pozłacanej ramce, nie antyczny, choć stylowy prezent miał przypominać dziewczynie, by dbała o swoją urodę. Lustерko jednak zostało inaczej przyjęte i inną otrzymało rolę. Ustawione w rogu dużego pokoju, przy drzwiach, twarzą do książek, a książek było tam bardzo dużo, patrzyło na dzieła wielkich pisarzy, dzienniki, pamiętniki, nuty i wiele czasu poświęcało fantastycznemu myśleniu o dziejach minionych i o tym, co dopiero może przyjść. Jego właścicielka miała osobowość miłą i inteligentną, ale zajęć tak wiele i tak bardzo była nimi pochłonięta, że niezmiernie rzadko spoglądała na swoje lustерko, a jeśli, to tylko, by wytrzeć zeń kurz lub się przekonać, czy nic mu nie dolega i czy jest mu dobrze w jego spokojnym kąciку. „I to należy docenić” – myślało lustерko – „choć szkoda, że nie mam sposobności, by przedstawić to, co naprawdę umiem!”. I pograżało się w lekturze opowieści zawartej w książce w zielonej okładce, która właśnie przyciągnęła jego uwagę. Trzeba wyjaśnić, że lustерko potrafiło czytać w wielu językach i czyniło to swoim własnym spojrzeniem, które nie było zupełnie zwyczajne. Gdyby książkę porównać do płynącej rzeki, to spojrzenie lusterka było zaczerpnięciem z jej głębokich, czystych i zawiłych źródeł, oczywiście, gdy była to piękna książka. Bo gdy zdarzała się opowieść mniej udana, to lustерko potrafiło się zakrztusić haustem złego smaku i jego własne, przejrzyste światło zachodziło mgłą. Lustерko unikało literackich knotów lub pozornie naukowych bzdur. I przeważnie umiało rozpoznać treść książki po okładce. Ale musimy przyznać, że okładki czasami mylą. Zwłaszcza gdy wydawca i autor okładki traktują jej zawartość jak szewc buty nie szyte na miarę. Cóż, rzeczy nieudane zdarzają się i niekiedy się je drukuje w monstrualnym nakładzie, jednak one nie są temu winne, a jedynie ludzie, którzy mogli mieć dość rozumu, by tego unikać. „Najważniejsza jest prawda” – zwykło mawiać lustерko. – „I dobrze, gdy pisarz szuka słów do opisanego tego, co jest prawdziwe”. Nie chodziło o to, by od każdej książki oczekiwać wyników badań laboratoryjnych, lecz o autentyczność podania zajmującej i prawdopodobnej opowieści. Pochłonięte ważkimi rozmyślaniami lustерko nie zauważyło, że do pokoju

wszedł dziwny człowiek, otwierał szuflady, grzebał w nich, szukał nerwowo, aż chwycił, zawinął i wcisnął do torby śmierdzącej petami. Później były wstrząsy zbiegania po schodach, jazdy samochodem, pociągiem, podróżą samolotem, a nawet okrętem przez godziny, dni, miesiące i lata. Lusterko nie mogło pamiętać, bo na skutek udaru straciło pamięć. Dopiero, po długiej, bardzo długiej niewoli i tułaczce, znalazło się w nowym miejscu, przy oknie, w antykwariacie, w dzielnicy Bascia w Lizbonie. Przyglądało się miastu i słuchało rozmów w różnych odcieniach, a portugalski przypominał mu powoli język polski. Tam znalazłam je i kupiłam ja. Przywiozłam do Warszawy, powiesiłam w rogu pokoju, twarzą do książek, bo tak prawdziwą i ciekawą można w nim zobaczyć rzeczywistość dnia, nocy, czujności lub snu. Czy jest zaczarowane? Na pewno tak.

23 stycznia 2017

Joanna Jagiełło

Szkłarnia

Roztocza z owalnymi, wypukłymi brzuchami niczym kropelki rtęci hamowały wzrost pędów sępolii i niszczyły jej delikatne pączki kwiatowe, a wciornastki żerowały na smukłych liściach dracen, nakrapiając je na srebrno i zamieniając zieloną gładkość w ropusze grudki. Jako dziecko nie śniłam o księżniczkach: moją wyobraźnię wypełniały białe nimfy i zielone przędziorki. Szczecinki z pazurami na końcach odnóży i tłuste glisty pojawiały się w snach i wychodziły poza nie.

Matka siadywała w nogach mojego łóżka, rozpuszczała rude włosy, nagły, wieczorny zachód słońca i kurs ogrodnictwa zamiast bajki na dobranoc. Czasem płakała. Znowu nie zakwitł, mówiła. Muszę zrobić oprysk. I znikwała na balkonie, po ciemku naciskała zraszacz, pozostawiając na szybach szklarni smugi, a mnie – nawet bez opowieści o szkodnikach.

Kiedy wracałam do szkoły po wakacjach, dziewczynki zbierały się w grupki i wysypywały z kieszeni muszelki, kamyczki i kawałki drewna. My nigdy nie wyjechaliśmy na wakacje. Przecież wiesz, że to niemożliwe, mówiła ojcu, a jej bursztynowe oczy błyszczały w wieczornym świetle. Nie mogę zostawić szklarni. Przez szybę widziałam figowce, adiantum i trujący bluszcz. To z powodu tej rośliny nie mogłam nigdy, pod żadnym pozorem zbliżyć się do szklarni. Nikt, prócz matki, nie miał wstępu na balkon, nawet ojciec. Jeden, jedyny raz, gdy próbował uchylić szklane drzwiczki, któraś roślina podobno zachorowała. Już nie powtórzył tego błędu.

Znaliśmy jednak szklarnię jak własną kieszeń. Matka w nieskończoność rysowała rośliny i podpisywała ryciny pismem pełnym zawijasów. Kwiaty obramowywała ramami, obrazki posypywała brokatem i wieszała na ścianie mojego pokoju. To były czule dni o zapachu miodu, wypełnione jej śmiechem i niskim, łagodnym głosem ojca. W inne dni wyciągała tłuste farby i malowała portrety szkodników. Zobacz, co się teraz stanie, mówiła. Czerniec wpelza na liść palmy. Już jest na nim, choć ledwo go widać. Ha! Wrzeszczała. Czerniec zniszczy te piękne liście. Zrywała wtedy srebrzysty portret ze ściany i darła. Kiedy płakałam, zostawiała straszny malunek czarńca i wychodziła, gasząc światło. Nie spałam wtedy całą noc.

Następnego ranka przychodziła uśmiechnięta i stawiała na stoliku kakao z cynamonem. Na poduszce pojawiały się dary. Wyschnięte, piernikowe serca z kwiatami z lukru, długopisy z nazwami hoteli, z czasów, gdy jeszcze jeździła na występy; a pewnego razu porcelanowa figurka tancerki, która nie umiała utrzymać równowagi. Ten prezent lubiałam najbardziej, choć baletnica nie potrafiła tańczyć i bezpieczna była jedynie oparta o framugę okna. Mam coś dla ciebie, mówiła zawsze, zawsze też długo przesuwając dłońmi po moich czarnych, prostych włosach, tak niepodobnych do jej wijących się loków. Pewnego dnia nie dałam się pogłaskać. Odsunęłam się: odruch wyprzedził myśl. Ojciec stał w szczelinie światła, jak zwykle obserwując, co się dzieje wokół. Następnego dnia, to ja przyniosłam jej kakao. Nie chciała wstać. To ja głaskałam ją po włosach.

Tego lata wydawało się, że jest lepiej. Chodziła w kwiecistych sukienkach i zapisała się na kurs hiszpańskiego. Ojciec woził ją tam i czekał, aż zajęcia się skończą. Siedział w samochodzie, wbijając wzrok w wejście do Instytutu. Słuchał radia, ale natychmiast wyłączał, gdy sylwetka matki, zawsze ostatnia, oddalona od rozszczebiotanej grupki koleżanek, przecinała mrok. Matka nie lubiła muzyki. Fortepian był dla niej za smutny, a piosenki pop zbyt wesołe. Zdaje się, że nie było takiego gatunku muzycznego, który współgrałby z jej osobowością.

Zajęcia językowe były jednak tylko chwilową fanaberią. Po dwóch tygodniach, gdy ojciec jak zwykle wziął kluczyki i czekał w drzwiach, chrząkając, żeby ją pospieszyć, spojrzała na niego, zwinięta na kanapie jak pnącze, nawet nie wyciągając szyi, spojrzała na niego tak, jakby nie planowali żadnego wyjścia, jakby nigdy nie chodziła na zajęcia, za które ojciec zapłacił zresztą z pieniędzy na rower. Bo ojciec marzył o rowerze, jak chłopiec, który nie miał komunii. To sobie kup, wzruszała ramionami, kiedy o tym wspominał. A gdy już uskładał kupkę banknotów z dodatkowych dyżurów i nieopatrznie się tym pochwalił, matka jakoś posmutniała. Było jej przykro, że to nie jej urodziny i nie ona dostanie prezent w czerwonej wstążce. A ojciec owinał w tę wstążkę siebie samego, wraz z rowerem i tym powietrzem, które miało smagać go po policzkach, i wręczył jej.

Ja też miałam mieć wyprawione urodziny tej wiosny. Po raz pierwszy miałam mieć prawdziwe przyjęcie, z tortem i koleżankami. Nie śmiałam nawet o tym marzyć. Gdy parę lat wcześniej ojciec chciał mi zorganizować kinderbal, matka płakała przez parę godzin. Zniszczą mi szklarnię, mówiła. Niech ktoś wejdzie, otworzy... Wieczory w maju są jeszcze zimne.

Wystarczy jeden podmuch i kwiaty – zrujnowane. Patrzyła na zielone liście z czułością, jak na dziecko, które łatwo łapie katar.

Nie wiadomo, czemu właśnie wtedy zmieniła zdanie. Może dorosłam w jej oczach, może dwunastolatki nie stanowiły już zagrożenia dla jej niecierpków i storczyków? Pewnego dnia wspomniała o tym tak po prostu, jakbyśmy co roku organizowali dla każdego urodzinowe przyjęcia. A przecież nikt nawet u nas nie bywał, oprócz pana z gazowni i listonosza. To miało być przyjęcie roku. Miałam mieć balony i kolorowe kanapki, choć już wcale ich nie chciałam. I suknię wieczorową, aksamitny prezent w kolorze burgunda, choć wołałam koszulkę z nadrukiem. Koleżanki były zaproszone: jakakolwiek dyskusja nad koncepcją urodzin mogłaby się skończyć odwołaniem całej imprezy. Posłusznie więc dmuchałam różowe balony i przyklejałam je taśmą klejącą do karnisza, potykając się o zbyt długą suknię.

Matka zajęła się tortem. Bo tort miał być zrobiony własnoręcznie, nie kupny. Białe tort hiszpański z bezowych krążków przełożonych bitą śmietaną, słodki smak kontrastujący z cierpkimi owocami. Denerwowałam się. Do przyjęcia pozostała godzina, a matka, w starym podkoszulku i spodniach dresowych ubijała białka, popijając wino. Dobrze widziałam, że zamiast sztywnej piany ma w misce lekko ubite jajo. Próbowала ją powstrzymać przed rozsmarowaniem masy na brytfance, milcz, powiedziała. Piana rozmyła się w młyńskie koło, piekarnik zbrązowił ją, a śmietana nie chciała się ubić, bo nikt jej nie włożył do lodówki. Kiedy rzuciła bezę na środek kuchni, a w nią miskę ze śmietaną, ojciec nieśmiało wyjął z zamrażalnika gotowy tort lodowy. Co, robisz ze mnie pośmiewisko?, wrzasnęła. Nigdy we mnie nie wierzyłeś, to przez ciebie to wszystko. Ojciec najpierw stał ze spuszczonej ramionami, potem cicho włożył tort z powrotem do zamrażalnika. Schylił się, żeby pozbierać szczątki miski. Trzymał dwa duże kawałki porcelany w rękach, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić. I wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Idę do szklarni, powiedziała. Nie ważcie się nawet tam podejść.

Pamiętam te urodziny nie tylko dlatego, że to jedyne, które miałam. Dziewczynki w obcisłych džinsach, ich rozmowa, której umiałam się tylko przysłuchiwać, szynka podwinięta lekko do góry na wyschniętych kanapkach i my, ja z ojcem, jak strażnicy chwilowego spokoju. Sto lat rozbrzmiało pośród cichych pytań. Czy twoja mama nie zmarznie na tym balkonie? Nie jest zbyt ciepło. Ona tak zawsze? Nad tortem bez świeczek, bo nikt o nich nie pamiętał, zamajaczyła postać za szybą, rude włosy uniósł wiatr

i zobaczyliśmy, że jej usta otwierają się na chwilę, a potem całe ciało odwraca znów w stronę kwiatów.

Kiedy dziewczynki już poszły, z napięcia, ulgi i strachu, bo matka nadal stała za szybą, wyrzygałam cały tort. A potem, następnego dnia, wymiotowałam żółcią, gdy okazało się, że matka przez noc nie zmieniła pozycji; nie zmieniła, bo od dawna wisiała na sznurze, na haku, do którego sąsiad z góry przymocował donice. Z pogrzebu nic nie pamiętałam, choć jestem na zdjęciach, mała czarna figurka na tle koleżanek odartych z kolorowych topów, niczym z przypadkowym chórem greckim. Za to dobrze pamiętam, co zdarzyło się potem, nie dzień czy dwa, ale cały miesiąc potem, w upalny, czerwcowy wieczór, gdy w końcu powiedziałam ojcu, że ktoś musi chyba podlać kwiaty. Spuścił głowę; mały czarny żuk w okularach. Nie rozumiem cię, wrzeszczałam, jakby po latach milczenia. Albo się zajmiesz tymi kwiatami, albo wywalmy to wszystko. Mam tego dosyć, słyszysz? Te szkodniki za chwilę wyleżą z tej cholernej szklarni i mnie obleżą w nocy, udusi mnie to pieprzone kapryfolium, rozumiesz? Zasłonił uszy rękami i zamknął oczy; nie znikłam.

Otworzyłam balkon, ale zamek chroniący niecierpki i pnącza przed suchym, chłodnym powietrzem nie chciał puścić. Mały zameczek, otwierany codziennie jej zwinnymi palcami, nie ustępował pod moją mokrą dłońią. Cofnęłam się w głąb mieszkania, chwyciłam figurkę baletnicy i z całej siły uderzyłam w szybę.

Czekałam na podmuch ciepłego, wilgotnego powietrza i zapach oranżeryjnej spoconej ziemi, czekałam, żeby rzucić się na adiantum i bluszcz, zniszczyć je, ręce drżały mi z pożądania, tak pragnęłam unicestwić ten piekielny ogród. Potem nie mogłam uwierzyć. Powoli dotknęłam liścia obramowanego lśniącymi drobinami szkła i zmiażdżyłam go w dłoni. Spróbowałam zerwać, ale powleczonego plastikiem materiał łatwo powrócił do pierwotnego kształtu. Kwiaty strzępiły się lekko na końcach, a błyszczące liście wydziełały plastikową woń. Przez okno, na chwilę, zanim znów odwróciłam się w stronę szklarni, zobaczyłam ojca, który wpatrywał się we mnie niewidzącymi oczami. Chciałam przywołać go, ale moje dłonie stężały, jak plastikowe łodygi, a i on nie zrobił ani kroku.

Joanna Jagiełło

Hanna Kowalewska

Julita i huśtawki

(fragment)

Rozdział IV. Pochody

Widok z balkonu

Gdzieś koło roku 1965 matka postanawia rozbudować dom i zrobić w nim wszystkie możliwe wygodę, bo nie może znieść myśli, że mieszka gorzej niż Saniewscy. Wiosną następnego roku po raz pierwszy wchodzi po dobudowanych schodach na górę, a potem na balkon wiszący nad ulicą, jeszcze bez balustrady, za co zresztą obrywam od matki. Przez następne lata matka zarządzi jeszcze zrobienie centralnego ogrzewania, kanalizacji i łazienki, a potem także garażu, choć na razie mamy tylko motocykl z przyczepą, którą ojciec przywozi towar do sklepu. Pożyczkom i remontom nie ma końca. Matka wymyśla kolejne zmiany, chodzi po urzędach za zgodą i papierkami na przydział, a ojciec z dwoma braćmi i szwagrem przywożą te wystane, wypłakane, wykrzyczane materiały, a potem robią z nich cierpliwie i mozolnie to, co matka sobie wymarzyła.

W ten sposób staję się właścicielem pachnącego świeżym tynkiem i farbą mansardowego pokoju z balkonem, z którego rozciąga się widok w pełni doceniony przeze mnie dopiero teraz. Ale i w dzieciństwie lubiłem gapić się zza metalowych prętów na świat w dole. A było na co popatrzeć. Trzy domy dalej znajdowały się schodki do jedynej w mieście knajpy. Z drugiej strony był spożywczy, a na rogu Rynku strażacka remiza, w której odbywały się zabawy. Za nią jeszcze fotograf, fryzjer, księgarnia, poczta. A naprzeciwko rozległy plac i topolowy park z dwoma pomnikami. Czy można chcieć więcej? Byłem u siebie, na balkonie, a jednocześnie w samym centrum miasta, tu, gdzie strażacy organizowali co roku festyny z fantami i wieczorną zabawą, gdzie komuniści ciągnęli z wieńcami, więdnącymi potem długo pod tablicą obwieszczającą zasługi dla zwycięstwa Ludowej Władzy, a pijacy do knajpy po kolejny haust uśmierzający ból istnienia. To stąd wyjeżdżały do pożaru wozy strażackie. To z tego balkonu plułem na głowę przechodniom i strzelałem słonecznikowymi pestkami.

I to z tego balkonu oglądałem pierwszomajowe pochody, zanim poszedłem do szkoły.

Przegląd

Trzeba Władzy przyznać, że potrafiła urządzać święta. Kto widział tamte pierwsze maje, dożynki czy dnie zwycięstwa, musi to potwierdzić. Władza nie miała zresztą wyjścia – codzienność była tak szara, biedna i schematyczna, że hałaśliwe świętowanie było jak odgromnik.

Najokazalsze były pierwsze maje. A może tylko najlepiej je zapamiętałem? Nie byłoby w tym nic dziwnego – to właśnie na plac rozciągający się nieopodal mego domu płynęły ze wszystkich stron miasteczka odnogi pobocznych pochodów, by połączyć się w rozlany tłum, szemrzący podczas przemówienia Pierwszego Sekretarza delikatnie jak jezioro przy łagodnym wietrze. A potem tłum odpływał ku głównej trybunie, stojącej w zupełnie innej części Rodzinnego, grubym głównym pochodem, napędzanym rytmem strażackiego bębna. I właśnie to zapamiętałem na zawsze – owo ubywanie z Rynku ludzi, odpływ, którego niczym nie można było powstrzymać, a potem pustkę i szelest papierków po cukierkach i lodach, jedyny dowód, że i tu było święto. Były to zresztą śmieci po towarach kupionych w sklepiu ciotki, której zawsze w takich chwilach pomagała moja matka.

– Udał nam się pierwszy maj – mówiły, licząc pieniądze. Bo komuniści, o dziwo, przymykali tego dnia oko na prywatny handel. Może chcieli, by czerwone lizaki, krówki i lody osładzały długie i nudne przemówienie?

A może raczej chcieli, by prywatne służyło tego dnia państwowemu – bo na świętowanie nie zasłużyło!

Tak więc święto przenosiło się gdzie indziej, a ja nie mogłem tego znieść. Darłem się, że też chcę iść. I szliśmy, ja i ojciec, bo matka musiała zostać w sklepie, a poza tym to ojciec częściej ulegał moim dziecięcym kaprysom. Mijaliśmy guzdrzący się za rogiem Rynku ogon pochodu i maszerowaliśmy obok niego w rytm strażackiego bębna, choć to raczej ja maszerowałem, a ojciec jedynie szedł nieśpiesznie, czasami pozdrawiając znajomych z pochodu.

Kiedys Lud oglądał królów w złotych karetach, a teraz Władza oglądała Lud. A Lud prezentował się, jak potrafił – bibułkowe kwiaty, flagi, kolorowe chusteczki, odprasowane marynarki, białe nonajrony, stroje gimnastyczne z byle jakiej bawełny, harcerskie mundurki, nieskazitelnie czyste elastyczne

podkolanówki, tenisówki z białymi sznurowadłami i nowe sandały ze ska-ju. Lud w najlepszym wydaniu! I Władza na trybunie w szarych garniturach – też w najlepszym wydaniu. Lud maszeruje, Władza patrzy. Choć właściwie nie cały Lud maszeruje. Bo jest jeszcze ten wiwatujący na chodnikach. No i ten w domach i obejściach, krzątający się przy niemowlakach, robiący na tarze pranie, bronujący ziemniaki, doglądający parnika, w którym dochodzą kartofle dla świń, a więc ten niby zapracowany, a w rzeczywistości odwrócony plecami do Władzy, któremu czasami nawet nie chce się powiesić flagi przed domem. Więc Władza patrzy, by wiedzieć, ilu maszeruje, ilu wiwatuje, a ilu się odwraca. Kto w dodatku odwraca się ot tak sobie, z konieczności, głupoty czy zaniedbania, a kto specjalnie tyłem do Władzy.

Dwa rytmy

A pokolenie? Lubi święta, także i pierwszego maja. I czerwony kolor – tego dnia wszechobecny. Julitę cieszy to święto, bo cieszy ją radość innych. Medyk kocha je, bo w harcerskim mundurze może dyrygować swoim zastępem, a potem drużyną. Róża, bo idzie w poczcie sztandarowym i wszyscy na nią patrzą, a ojciec z trybuny. Metka, bo jest w tłumie, na ulicy, wśród innych. Karolina, bo popisuje się przed trybuną z grupką dziewcząt gimnastycznymi figurami, a pokaz kończy jej szpagat na wysoko podniesionym przez dziewczęta kole, widocznym nawet z daleka.

Ale są i kontestatorzy. Bazyli nie znosi komunistycznych świąt, bo Owsiuł zwykle urządza wtedy z innymi gołębiarzami popijawę. W niedzielę pije dopiero od przyjścia z kościoła, a z okazji pierwszego maja balanga zaczyna się już w przeddzień, bo wiadomo, że następnego dnia jest wolne. A poza tym Bazyli nigdy nie może się doprosić u matki białej koszuli. Jego pocerowane portki też nie nadają się do szeregu. Tak więc Bazyli z konieczności wagaruje. To mu się zresztą opłaca. Gdy inni maszerują, on penetruje krzaki i zaułki, gdzie można znaleźć butelki po winie i oranżadzie. Potem część pieniędzy z ich sprzedaży zamienia na papierosy i lody, a resztę chowa, by mieć na wszelki wypadek, na przykład gdy w domu nie będzie chleba. Frajerzy! – myśli o maszerujących kolegach i ściska w ręku monety. Ale nic nie zmienia faktu, że oni są tam, a on tu, sam jeden, w byle jakich portkach, w tenisówkach, w których odklejają się podeszwy, ze zmierzwionymi, brudnymi włosami. Nie ma dla niego miejsca w pochodzie – Bazyli dobrze o tym wie.

Dla Bąka też nie ma tam miejsca – niepewny chód sześciopalczastej stopy, a czasami nawet szurnięcia nie pasują do podniosłego rytmu. Wychowawczyni nigdy się nie dopytuje, czemu Bąk jest nieobecny. Pozostali uczniowie są szczegółowo rozliczani, muszą przynosić zwolnienie od lekarza albo przynajmniej usprawiedliwienie od rodziców, a jego nazwisko nauczycielka zawsze omija, jakby zniknęło z dziennika na parę dni przed i po pierwszym maja.

Tak więc gdy inni idą do szkoły odświętnie ubrani, Bąk musi się zadowolić relacją w telewizji. Chciałby choć raz pójść na Rynek i zobaczyć, jak to wszystko wygląda w Rodzinnym. Matka jednak nie chce go puścić samego i nie chce z nim iść, tłumacząc się ściskiem. Tak naprawdę Krawczukowa nie znosi peerelowskich świąt. Tfu! – spluwa na myśl o pochodzie. Idą jak w Boże Ciało. A trybuna jak ołtarz. Diabelstwo jakieś! Co innego powiesić flagę, a co innego iść jak na procesję.

Krawczuk też nie lubi pierwszego maja, bo się musi napracować bardziej niż w inne dni. Władzy nie wystarcza samo patrzenie z góry, chce także wiedzieć, co mówi maszerujący i stojący na chodnikach Lud. Więc Krawczuk nadstawia ucha i notuje w pamięci słowa. A że ludzi dużo, to i słów dużo, a pamięć u Krawczuka nie najlepsza. Więc chowa się za kioskiem czy krzakiem, zapisuje i znowu wtapia się w tłum. Ale nie zawsze można znaleźć ustronne miejsce, więc głowa puchnie mu od nazwisk i nieprawomyślnych wypowiedzi. Tu żart, tu aluzja, tu jawna krytyka. Nie sposób wszystkiego zapisać i zapamiętać.

Koncert

Latem 1967 roku telewizja po raz pierwszy emituje na żywo festiwal w Opolu. *Dziwny jest ten świat*, wykrzykuje do mikrofonu Niemen. Bazyli przez chwilę zatrzymuje się przy otwartym oknie sąsiadów i słucha piosenki. Faktycznie, dziwny – myśli Bazyli, oblizując krew z pękniętej wargi. Ojca wyrzucili akurat z przetwórnii, przez co wścieka się już od paru dni. Nawet nie jest pijany, tylko w paskudnym humorze, więc czepia się o wszystko i rzuca, czym popadnie.

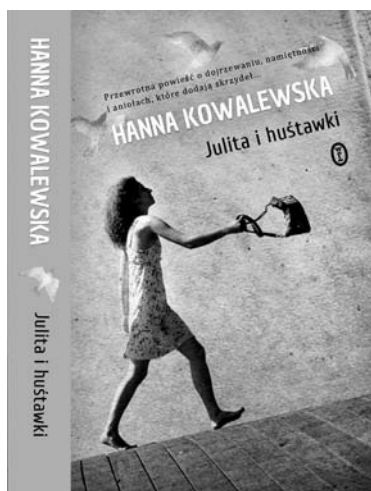
Piosenka się kończy, zaczyna się jakaś chała – tak przynajmniej myśli Bazyli i rusza przed siebie. Jednak nie tak łatwo uwolnić się od słodkawej melodii. Przycicha w mroku między domami i narasta nachalnie, gdy Bazyli mija kolejne posesje. Jest upał, zatem wszystkie okna pootwierane

są na oścież. Owsiurowi jakoś dziwnie ta otwartość przeszkadza, jakby Rodzinne uparło się dzisiaj, by mu pokazywać kolejne wnętrza domów, a wszystkie lepsze od tego, w którym on mieszka. Ani jednego gorszego! Bazyli przystaje przy każdym i zawsze wychodzi mu na to samo. I tylko ciemna chałupa babki Zubki, kryta słomą, z gliną na podłodze, bez prądu, wydaje się gorsza. Bazyli jednak wie, że to złudzenie, bo babka Zubka drzemie na stołku i nikt jej w tym nie przeszkadza. Ma niewiele, ale świętego spokoju jej nie brakuje. A u nich nawet tego nie ma.

Zaciska pięści i przystaje przy kolejnym domu. Znowu leci jakaś chała. Bazyli chciałby, żeby nadali coś lepszego albo jeszcze raz pozwolili wystąpić Niemenowi, i żeby wszyscy wtedy podkręcili gałki. Dopiero byłby śpiew – z tysięcy głośników. Wieczorny koncert w Rodzinnym. Zwielokrotniony! To byłoby niemal tak, jakby siedział na widowni w Opolu.

Na razie jedyny koncert, na jaki może liczyć, to żabi – w księżowskim stawie. Siada nad wodą i słucha kumkania coraz bardziej podminowany. Ma ochotę puścić parę kamieni, by ropuchy pospadały z liści i zamknęły się raz na zawsze. Ale nagle robi się mu ich żal. Mieszkają tu. Księżowski staw to pieprzony żabi dom. I rybi. I innego cholerstwa, które tam pęta i pływa. Nic mu do tego. Nic!

Więc tylko ściąga ubranie i wskakuje do wody. Zagłębia się w środek cieplej czerni, jakby sam był rybą.



Hanna Kowalewska

Julita i huśtawki

Wydanie II

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2017

Formaty EPUB MOBI

Oprawa broszurowa ze skrzydełkami

Stron 388

ISBN 978-83-08-06334-7

Rafał Lasota

Przekłète kochane Kresy

Wielka Rzeczpospolita od morza do morza – wspomnienie historii do dzisiaj budzi demony. Ruszam na wyprawę szlakiem przodków – dreszcz emocji na plecach, w powietrzu zapach przygody. Niewielki autobus PTTK wyrusza z Warszawy na Wołyń, Podole i dalej do Lwowa. Wycieczka opłacona, przewodnik – starsza kobieta z zapasem kanapek na dziesięć dni. Zastanawiam się, jak małgość z krakowską, trzymaną pod siedzeniem, można bez wstępu zjeść czwartego dnia podróży? Przewodniczka udowodni, że taki pokarm jest do strawienia, i to bez większych przygód. Spoglądam na zebranych. Rozmawiamy, ktoś jest z Krakowa, inny z Poznania, kilka osób spod Warszawy. Droga – jak pogoda – przyjemna. Granica. Pyzaty polski celnik tłumaczy cierpliwie, że nie przez niego ta kolejka. Służbowy pies wsiada do autokaru. „Nie głaskać” – słysząc głos opiekuna. A kto by chciał go dotykać? Psina rozgląda się po siedzących, wciska nos w kanapki przewodniczki i podejrzanie szybko wyskakuje na zewnątrz. Szlaban w górę, dawna polska zagranica. Ukraińcy kontrolują paszporty. „*Dywy sa na mene*” (*patrz się na mnie*) brzmi komenda. Krępa czarnobrewa dziewczucha w mundurze milicjanta przeszywa spojrzeniem. Uśmiecham się, ale służbistka nie reaguje, węszy. Bystre oczy patrzą na zdjęcie w paszporcie i na mnie. Mundurowy cyborg zastanawia się, czy „ja” na zdjęciu i „ja” na siedzeniu to ten sam „ja”. Weryfikacja pozytywna, można jechać. Wokoło pola.

„Wreszcie obsiane te ugory, ruszyli się do roboty”, mówi przewodniczka i odpakowuje pierwszą kanapkę.

Mijamy Łuck, Kowel, Równe. Pod Kowlem we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku mój dziadek Józef, strzelec Korpusu Ochrony Pogranicza, wyjaśniał z ruskimi i Ukraińcami różnicę w poglądach na temat granic Rzeczpospolitej. Strzelając celnymi argumentami, jedni i drudzy przekonywali się blisko dwa tygodnie. Kilku dziadek przekonał na amen... Przyjęli Polski punkt widzenia.

Na rozstajach dróg niewielki pomnik, kilka nazwisk wypisanych cyrylicą. Na kolumnie z „trójzębem” żółto-niebieskie sztandary Ukrainy. Tuż obok czarno-czerwone sztandary UPA – też Ukrainy.

Chorągwie falują na wietrze.

Ruszamy do polskiego Krzemieńca. Miasto piękne, takie z łezką w oku. Stare, butwiejące kamieniczki, cmentarzyk, a na nim grób z nazwiskiem „Słowacki”, zamek na wzgórzu. Wjeżdżamy na szczyt. Droga tragiczna pełna dziur, ale autko dzielnie przeciska się między rozstęgami. Kiedy wysiadamy, kierowca natychmiast zasypia. Kunszt jego drzemki przyjdzie porównać jedynie z odpornością żołądka przewodniczki.

Na zamkowym wzniesieniu wita nas Olga. Sympatyczna, rudowłosa pani doktor – naukowiec z uniwersytetu. Ma trzy tysiące pięćset hrywien na miesiąc – jakieś pięćset złotych. Opłaca z tego wodę, prąd i gaz. Zostaje połowa.

„Za to co zostaje, da się żyć?”

„Można się nauczyć”.

Ola mieszka z rodzicami. Dwójka emerytów dorzuca na utrzymanie jeszcze tysiąc czterysta hrywien – około dwieście złotych. Aby związać koniec z końcem, Ola dorabia, oprowadzając wycieczki. Znakomicie mówi po polsku.

„Skąd znasz Łacką mowę? Byłaś w Polsce?”

„Tak, ale nie wspominam tego dobrze. Pokochałam kogoś. Był przystojny, był ślub. Ale jego rodzina chciała posługaczki. Chciałam pracować, zarabiać, być kimś. Nie pozwalał. Dzieci nie mieliśmy, wróciłam do rodziców... A tutaj ruiny zamku. Widok jak z lotu ptaka. Kiedy przyjdzie jesień, część tych ścian runie. Nikt o to nie dba. Tą bramą chodziła królowa Bona ze Sforzów”.

Czas minął – ruszamy.

Ola ze smutnymi oczami zostaje na miejscu, razem z zamkowym wzgórzem i ruinami franciszkańskiej kolegiaty. Będzie czekała na kolejną polską wycieczkę.

Godziny odliczane kanapkami spod fotela przewodniczki szybko płyną. Wiśniowiec – posiadłość księcia Jeremego, odnowiona, ale na żadnej ze ścian nie ma nawet jednego portretu właściciela – zabronione.

Twierdza Chocimska. Przed wejściem na dziedziniec zamczyńska pomnik kozaka Piotra Sahajdacznego – zwycięzcy spod Chocimia! W tysiąc sześćset dwudziestym pierwszym roku obroną twierdzy przed Turkiem i Tatarem dowodził Jan Karol Chodkiewicz – nie jakiś kozacki ataman Sahajdaczny! Czy ktoś o tym pamięta? Ja pamiętam, ale tam w Chocimiu nikt o tym nawet nie wie.

Jedziemy wzdłuż rzeki Zbrucz, dawnej polskiej granicy. W oddali smutne, postrzępione ruiny. „Gdzie wieś, tam pałac, gdzie miasto, tam

zamek” – mówią Ukraińcy o kresach. Zatrzymujemy się na brukowanym kocimi łbami podjeździe. Drewniana brama, tuż obok pomnik z trójzębem, na nim chorągwie Ukrainy: żółto-niebieska i czarno-czerwona. Falują na wietrze.

Ruiny posiadłości Lanckorońskich – Skała Podolska.

Wzdłuż stromego zbocza osuwisko. Ściany kresowego pałacu leżą pomieszane z mchem i trawą. Kikut fasady stoi wsparty drągami.

„Tu remont robią”, oznajmia dobroduszny ukraiński przewodnik Mykoła. Rzeczywiście ekipa jest na miejscu. Trzech zmęczonych życiem facetów siedzi za prowizorycznym blaszakiem. Przed nimi leży jedna zardzewiała łopata. Mężczyźni patrzą na rzekę. Woń dzięki mięty i trawionego alkoholu.

Wspinam się na rumowisko, zaraz potem schodzę do lochów. Zwały ziemi i gruzu piętrzą się pod półkolistym sklepieniem. Tuż obok samotny kilof, taczki i kielnia. Chwytam oskard. Uderzam w ziemne osuwisko. Coś podłużnego, w kolorze zmurzałego brązu, wyłania się spomiędzy cegieł. To kość. Długa z wydatną panewką biodrową. Kolejne uderzenie. Kości śródrečna z delikatnym „klik, klik, klik” wysypują się z pryzmy. To ludzkie szczątki. O pomyłce nie ma mowy, wiele razy byłem przy ekshumacjach powstańców w Warszawie. Byłem, kiedy ich odkopali przy ulicy Sanguszkii, na Placu Krasińskich, przy Czerniakowskiej. Przez chwilę trzymam w dłoniach resztki zdrewniałego szkieletu, ostrożnie odkładam je na bok. Wypełzam na powierzchnię. Trójka robotników siedzi tam, gdzie ich zostawiłem. Zaczepiam ich. Są zdziwieni słysząc własną mowę z ust „Lacha”.

„Pracujecie tu”.

„Tak”, odpowiada jeden, cedząc słowa przez bezzębne usta.

„Tam w wykopie, gdzie wasze taczki szkielet ludzki”.

„Nie panie – to kot”.

„Nie żaden kot, a człowiek. Kości długie z uda i ręki”.

„Aaa, to pan doktor”, szepcze kolejny.

„Tak do cholery, doktor”, odpowiadam.

„My wczoraj znaleźli czerepy, ale co z nimi robić? Nikt nie powiedział. Rzuciliśmy tam w krzaki!”, wskazuje ręką w stronę kępy kwitnących maków.

Wyciągam stowę z portfela. Wciskam w łapę bezzębnemu kopaczowi.

„Pochowajcie je, tam, nad rzeką”.

„Dobrze pan. Tak zrobimy”, zapewnia mężczyzna i łapczywie chwyta banknot.

Autokar znowu cicho gra. Ruszamy.

Na przydrożnym rynku przewodniczka kupuje kwiaty. W oddali niewielka wioska Kołodno. Kilka chałup z eternitem na dachu. Na podwórku „chutoru” opel na rzeszowskich numerach. Polanka pośród drzew, wygrodzona niskim płotkiem. Pośrodku pomnik z czarnego marmuru. Na nim wydłubany krzyż. Nic więcej. Zaschnięte wieńce z biało-czerwoną szarfą.

„Kto tu leży?”

„Nasi!”

Zbieram wypalone znicze. Ktoś pomaga usuwać zmurszałe kwiatki. Jest cicho. Różane truchła jak trupy pakujemy do czarnego worka. Kierowca zabiera wszystko do kabiny.

„Będzie jakiś kosz to wyrzucimy. Tu nie zostanie”.

Zapalam świece. Na czarnym blacie z krzyżem żadnego nazwiska, żadnej litery. Tylko ziemny wzgórek.

„Ilu ich tu jest?”

„Dwustu, trzystu albo pięciuset – nie wiadomo, wszyscy w jednym grobie. Starzy, młodzi, bez znaczenia”.

To pod moimi nogami to grób? Jakaś mała ta górka z ciał! Do kolana, nie wyższa. Długa może na metr, ukryta wśród płożącego bluszczu. Zieleni tu piękna, soczysta. Na dobrej glebie porośla!

Czy człowiek bez nazwiska zasługuje na pamięć? Tak, tak – z krzykiem zafalował oburzony tłum w mojej głowie. Dobrze niech tak będzie, zasługuje! Ale jak tego nieszczęśnika nazwać?

Może właśnie... człowiek? Bo inaczej to niepolitycznie!

Niech zatem będzie!

Człowiek!

W tej samej chwili my Polacy uniesieni „zwycięstwem”, że zgodnie ustaliliśmy jak nazwać ofiarę, napiszemy kamienne epitafium:

„*Tutaj, w tym grobie leży pięćset człowieków!*”

To idiotyczne, głupie!

To może... lepiej ich nie nazywać? Będzie jak jest teraz!

Po co brudzić się przeszłością? Niech pozostaną ziemią, glebą, na której wyrosną perze i burzany. Będą szumieli w łodygach traw, wiosną zakwitną w kwiatach. To jest życie! O ludziach z mogiły wiadomo wszystko, kim byli, jak się nazywali – ale do dzisiaj nikt nie ma odwagi oddać im imienia!

Rozglądam się dokoła. Zza drzew patrzy na nas kilka par czujnych oczu. Starsza kobieta Ukrainka otoczona wnukami uśmiecha się przyjaźnie.

Podchodzę. Pytam.

„Co tu się stało, babciu?”

„Zdrowy bądź, syneczku. Ja mała była”.

„Co babcia pamięta?”

„O tam, zaraz stała chałupa. Wdowa mieszkała Laszka i dwie córeńki bliźniaczki. Babka moja do nich wołała. Zostawcie ją, ona wdowa i małe dytyny (*dzieci*) ... A tu zaraz dwie dziewuchy za stodołę uciekły. Tam były bagna i pole. Wołali na nie. Wracajcie, nic wam nie zrobimy”.

„Wróciły?”

„Tak...”.

„Kto ich mordował?”

„Nie wiem. Dzieckiem byłam”.

„A wasz ojciec był wtedy w domu?”

„Wziął widły i poszedł do sąsiadów. Mówił, że w polu pomagał...”.

Odchodzę.

Na głowie kobiety chustka w czarno-czerwone kwiaty.

Faluje na wietrze jak chorągiew na rozstajach dróg.

Rafał Lasota

Wiesława Oramus

Nie tylko słodkość

Przesuwała nożyk wzdłuż dłuższego boku prostokąta, potem krótszego, znowu dłuższego, potem krótszego tej blaszanej formy. Miało to chyba na celu oddzielenie jednej struktury od drugiej, nadanie zwartości tej miękkiej, przylepiającej się do blachy, chyba nawet wyrównanie nierówności.

Wymagało to skupienia, niezwyklej koncentracji, a nawet oderwania się od rzeczywistości. Pani Karolina na taką wyglądała. Nie odpowiedziała nawet na grzeczne „dzień dobry”.

Tak więc, po chwili wahania, wyszła. Maszerowała po korytarzu, czasami zatrzymywała się przy jakiejś tablicy ogłoszeń, rzucała na nią okiem, więcej czasu spędziła za to przy stoliczku zasypanym różnymi ulotkami, przeczytała wszystko, co na jednej z nich było o dolegliwościach jelitowo-żołądkowych, na drugiej o depresji jesiennej.

Kiedy wróciła do pokoju, trafiła na ważny moment; krojenia. Nadal odbywało się to na foremce. Pani Karolina dokonywała nożem podziału całej powierzchni na pasy, wzdłuż krótszego boku. Robiła to powoli, uważnie, ale zdecydowanie. Ręka jej przy tym ani raz nie zadrżała. Dzięki temu pasy wychodziły pocięte równiuteńko, jak „pod linijkę”. I dostarczały pani Karolinie wielu pozytywnych emocji, co nawet zmieniało jej rysy twarzy, dodawało łagodności, mogło być nawet odbierane jako twarz wyrażająca pogodę ducha, optymizm, poczucie własnej wartości.

Coś takiego zniszczyć? Czy warto? A jednak, chyba lepiej w takiej chwili niż na przykład w momencie przynębienia... biła się z myślami... I... – przepraszam bardzo, ale... – wydukała po chwili bicia się z własnymi myślami.

– Nie ma żadnego „ale”. Tu się pracuje – ofuknęła ją pani Karolina. Nie widzi?

– Widzi.

Pani Karolina zaczęła teraz czynność dzielenia struktury wzdłuż dłuższego boku, co wymagało większego wysiłku, większej precyzji, ale i siły, i wytrwałości – aby nóż nie zatrzymał się, nie zboczył z trasy, wyznaczonej przez niewidzialną linijkę, szedł równo – nie burząc struktury, nie odrywając jej od podłoża, nie deformując powierzchni z powodu pierwszych nacięć wzdłuż krótszego boku.

Patrzyła na to ze zdumieniem, swoistym podziwem, co doprowadziło do lekkich zaburzeń równowagi i uderzenia gorąca. Podeszła do okna, otworzyła je, natychmiast zamknęła, bo pani krojczyń, nie podnosząc nawet wzroku zarządziła zamknięcie krótkim, zdecydowanym – „u siebie się tak wietrzyć”.

Było to oburzające, więc stanęła przed nią i oznajmiła – Nie jestem tu dla przyjemności, nie dla własnych celów ani korzyści. Pani...

– Każdy tak gada, a potem okazuje się, że jest całkiem inaczej. Począć nie może?

– Może.

Usiadła, nawet nie zastanawiając się, czy ma czekać na stojąco, czy na siedząco.

Pani Karolina podeszła do szafek. Otworzyła drzwiczki. Ukazał się niezwykle widok poustawianych w rzędach słoików z konfiturami, sokami i czymś o nieokreślonej konsystencji na najwyższej półce, stosami talerzyków, szklanek, filiżanek na niższej.

Pani Karolina wyjęła trzy półmiski, paczkę serwetek i łyżkę.

Po chwili, po ustawieniu półmisek obok formy z ciastem pani Karolina wróciła do czynności związanych z formowaniem pociętej struktury na kwadraty, przenoszeniem ich na jeden z półmisek przy pomocy łyżki.

Precyzję ruchów utrudniało ciasto, resztki po każdym kwadracie, oblepiające łyżkę.

– Zapomniałam, zapomniałam, będzie tak miła i pójdzie po wodę?

– Pójdzie. Ile chce tej wody? – pozwoliła sobie na przedrzeźnianie mimo, no mimo wszystko... Mimo okoliczności.

Pani Karolina wyciągnęła z szafki jakiś rondel, co wprawiło ją w zdumienie, no w końcu stała się, że w miejscu pracy można mieć rondel.

– Do pełna nalać, przyda się – usłyszała zarządzenie już na korytarzu.

Zrobiła sobie w łazience zimny okład na czoło, twarz też nawilżyła, co bardzo pomogło. Wróciła uspokojona, z odzyskaną życzliwością do ludzi, świata.

Pani Karolina wypełniała już drugi półmisek. Trójkącikami ciast. Uzyskiwała je dzięki precyzyjnemu dzieleniu kwadratów na pół, w określonym miejscu, jednym precyzyjnym, zdecydowanym ruchem, następnie podjeżdżaniem łyżką, jak spychaczem pod trójkąt i przenoszeniu na półmisek, układaniu, chyba zgodnie z jakąś regułą.

Nieoczekiwanie, nie wiadomo z jakiego powodu, jeden z kawałków zsunął się z łyżki, wylądował na pustym jeszcze półmisku, ulegając kompletnej destrukcji.

To wyrwało panią Karolinę z transu. Z rytuału krojenia. Spojrzała na półmisek. Było w tym spojrzeniu coś wpędzającego w jeszcze większe zadziwienie tajemnicą ludzkiej natury. Pani Karolina – wpatrzona w zdeformowany trójkąt, mocno pochylona, wyciągnęła dłoń, zgarnęła trójkąt, tworząc z niego nową strukturę, jakąś bryłę o nieregularnych kształtach i włożyła ją sobie do ust, zaczęła żuć, potem obлизywać palce oblepione wszystkim, co wchodziło w skład wypieku.

Postanowiła wyjść, trzasnąć drzwiami, odmówić wykonania polecenia służbowego. Wstała, upuściła kopertę, schylając się po nią uderzyła czołem o kant blatu.

Wyszła, zamknęła delikatnie drzwi, pomaszzerowała do łazienki, zrobiła sobie zimny okład. Wróciła.

Pani Karolina zajęta była lepieniem kulek z resztek mniejszych i większych kawałków ciasta pozostałych w foremce i zjadaniem ich.

Można było wpaść w stupor na widok zręczności jej upięściennionych palców, brak troski o zazwyczaj niezwykle staranny manicure i widok bitej śmietany wyciekających spod paznokci.

Trwała w tym stuporze, na krześle, z kopertą na kolanach.

Pani Karolinie to nie przeszkadzało, otworzyła jedną z szuflad biurka, wyciągnęła mały nożyk, wytarła go, wyrzuciła serwetkę do kosza, usiadła wygodnie i podniosła formę, oparła ją o brzeg biurka i powoli zaczęła zeskrobywać resztki ciasta z dna i brzegów.

– Najlepsze są te mocno przypieczone – poinformowała nie wiadomo kogo, może siebie?

Skrobnięcie, zgarnięcie, lepienie kulki, wysypywanie na otwartą dłoń, zdawało się, nie będzie miało końca.

Zamknęła oczy. Trwała w stuporze. Wyrwał ją z tego głos pani Karoliny.

– To powie w końcu po co przyszła?

Wstała, podała jej kopertę. Wyszła. Przeszła przez cały korytarz, wróciła, zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami. Usłyszała szloch, spazmy.

Po długiej chwili weszła – gdy już ucichło.

Pani Karolina siedziała przy biurku, z foremką na kolanach, wpatrzona w kartkę, przytrzymywała ją prawą ręką, lewą zdrapywała resztki okruszyn z foremki. Łzy kapały i na kartkę, kopertę, i na dno foremki.

KONIEC

Wiesława Oramus

Jacek Pankiewicz

Wyrok

Ściąga do przyszłej historii świata

Niegdyś spacer, marsze, z rzadka rower. Teraz samochody, rakiety. Świat już nie idzie, lecz pędzi. Dokąd zmierza nasz świat?

Z najszlachetniejszego plemienia, od zarania ludzkości, nic już nie zostało! Choć słucham czasem Orchestre de Paris, tam dwaj muzycy szczególnie wyróżniają się rzetelnością podania dźwięku, szczerością tonu. To są właśnie resztki zaginionej rasy *Pitecantropus erectus*, cudem zachowani do dziś! „Pitecatropie, ubi es?”, pytałem kiedyś, w którejś z książek; ale właściwie kogo to dzisiaj obchodzi?

Prawie wszyscy zostali wymordowani przez agresywnych przybyszy z Południa. Echem po tamtej rzezi było jeszcze głośno później zadawane pytanie: „Kainie, a gdzie brat twój Abel?”. Współczesne więzienia dla Palestyńczyków są jakby ogniwem w tej tradycji; ale rewanże nie powetują Holokaustu, nie odkupią niczego.

Wyrzuty sumienia to byłaby dopiero wartość.

Tradycja zemsty jest na nic.

Powtórki warstwą po warstwie nakładają się. Ludzie odwołują się do świętości wiary – –

Brak podstaw do przejścia w sensowniejszą przyszłość.

Czyli do pytania:

...a co to jest dotyk spojrzeń?

A i potem – wspólna uwaga?

Ot, gapisz się, człowieku, w telewizor. Patrzysz, jak ktoś, kto przed tobą i nami wszystkimi wystawia twarz, nie kryje swoich myśli! Ba, on wręcz je demonstruje! pokazuje światu, że Allah jest wielki, tak wielki, jak on wobec Niego mały! więc rzuca się, tam, gdzie stoi, nie na matę, wprost na ziemię i bije głową, jest ponad posłuszny! gotów natychmiast zrobić wszystko, co mu każą. Zapisze się na obóz, dadzą mu do ręki broń oraz środki, by się mścił na niewiernych, mordował, gdziekolwiek są tacy jeszcze.

A na przykład ja, bardzo stary człowiek przecie, już prawie i dotyku w palcach nie czuję!

Chyba że cudze spojrzenia.

I żał mi, że tymi palcami żadnej kobiety już nie dotknę. Bo gdyby i, to odrząci mnie każda, może z obrzydzeniem. I nikogo to nie będzie obchodzić.

„Nie trzeba było tak długo żyć!”, powiedzą jedni, a przynajmniej pomyślą.

Choć to i nie sprawa wieku, lecz złego rozpoznania lekarzy była.

„Taka dolegliwość, to bywa tylko u angielskich lordów – nie u nas!”. Powiedzieli mi już pół wieku temu, w specjalistycznym szpitalu.

I nie podjęto leczenia, choć mieli obowiązek! Gdzie tam po tym wyrzuty sumienia!

Do teraz to już tylko moja sprawa!

Że brak sumienia, nic takiego niby – na tysiąc sposobów każdy sobie wytłumaczy.

W zamian jest jeszcze tu i ówdzie wiara. Są tacy, którzy ją mają.

A tu za oknem wiosna niby; choć nie dzieje się takiego nic – na wolnym powietrzu ludzi coraz więcej; zgromadzili się jak krokodyle w stawie; to są zazwyczaj zaprząnci, którzy twojej obecności nie zauważają; oni są, sprytnie przyśnięci, narybkiem na krokodyli bywają, cierpliwie wyczekujący, aż im się trafi gratka, darmowa ofiara do gwałtu, napaści – ktoś przyśnie i... nawet jak się wybiją na ludzi, ważniejsi będą od kultury – a jak się nie wybiją, to ważni dla mafii, funkcjonariusze leniwe, zaślinione gapie, aż ktoś wypatrzy ich, i będzie kwita z powołaniem.

Ale że przyjdzie kiedyś wiosna, to pewnie! i będzie maj, a wszyscy przyśnięci jak trzeba, wyczekujący na swój los, aż do nich coś przyjdzie – z nieba nadleci może szczęśliwa epoka! a na dziś to już niczego nie chcą, marzą, niech tylko coś przyjdzie, jakaś – epoka Androidalna najlepiej!

Złożona z wszelkich tworów technicznych nowości.

A już na dziś warunek sobie stawiają tylko jeden:

„Nowi ludzie mają być pozbawieni empatii, innych kłopotliwych miazmatów, które by rodziły niepotrzebne skrupuły! wyobrażenie o nich trzeba wpierw rozproszyć – uwagę na innych wypędzić stąd! gdzieś, nie wiadomo dokąd!”.

Z tego już do szczęśliwego Systemu Androidalnego, nikt by nie mógł się wycofać nigdy, do starych poniechanych mrzonek. A gdzie by była wiara jeszcze...

A cóż takiego jest wiara?

Ja na przykład, taki jakim dzisiaj jestem, nie przez wiarę się stałem.

Nie wierzę w wiarę.

Wierzę w świętych.

Bo świętym został ktoś taki, kto może nawet i nie chciał zostać nim.

Tylko że czegoś pragnął, tak bardzo, (jak na przykład ja, żeby mi wrócił dotyk!) – a nawet i trochę więcej, by coś szczególnie ważnego zrobić.

I życie temu poświęcił. Aż któremuś – ba! nawet i udało się!

Z pewnością nie dlatego – że chciał zostać świętym.

Lecz naprzeciw okolicznościom stanął, w których się znalazł, i nie uległ!

Kiedy wszyscy inni ulegli. Zaś on zrobił, co chciał, co zamierzał.

Więc przed każdym z nas, przed wszystkimi, staje jakieś, niby proste pytanie:

„A odtąd, dokąd to mam iść, do przodu czy do tyłu?”.

A jakim ja się przez to swoje życie stałem?

Bo też chciałem coś ważnego zrobić!

I przez całe życie się starałem. Staram do dziś.

...Lecz nie pamiętam nigdy – a byłoby to dla mnie bardzo, bardzo ważne: dotyku spojrzeń, ciepłych, cokolwiek i rozumnych!

czyjeś uwagi zatrzymanej przy mnie,

wytrwałej chęci, by mi się coś udało.

...Czyli tego, co poszerzałoby przestrzeń moją, i przez tę Uwagę czyniło ją Wspólną.

Ja przecie też starałem się wspierać starania cudze! ba, i marzenia cudze także!

Ale gdzie – wzajemność?

Bo życiu to jak na wojnie – idziesz, bratku, na pierwszą linię, ryzykujesz, starasz się własnym ciałem zastawić innych, by zdobyć nowy teren. Idziesz nie dla blaszki, medalu, czasem nawet i przymilnego uśmiechu żony. Żeby wrogowi nie ulec! –

Lecz wszystko to jest nieważne bez pomocy sąsiada. On cię ochroni, nigdy nie zwycięża się osobno. Więc ty i sąsiad to jedno! Idzie się razem. I zwycięża się razem. Jesteście jedno Ramię, i wspólny oręż! choć bywa, choć zdarza się, że polegiesz. I wtedy jesteś osobno.

Ale idziesz nie – żeby nie polec! nie – żeby bohaterem zostać! jak świętym też nie zostaje się przez modły, lecz przez przypadek, on jest święty!

Nie wierzę ja w wielki czyn jedynie dla świętości.

Choć w świętość czynu – owszem, tak!

Kiedy nie mam czucia w palcach, jestem niezdolny nie tylko do kochania kobiet, lecz i do pisania o tym, co wciąż przeżywam –

a więc czy mam już tylko, na modłę chińską, pójść w góry, rzucić się ze skały?

Przecież, tak patrząc z zewnątrz, nawet i nikt nie uwierzy, że zrobił to rozumny ktoś, przytomny człowiek!

Ja tylko usiłuję wciąż – jeszcze zrobić coś, coś takiego co lubię.

Także i co innym sprawia przyjemność!

zwłaszcza – komuś nieznanemu.

Na szczęście tacy są wszędzie.

Niech mnie nie zdziwi ktoś, że chcę mu coś dobrego zrobić!

a czy to zauważy, czy nie?

tylko zrobić przykrość komuś – byłoby mi nie za bardzo! bardzo głupio.

I tak człowiek żyje sobie, niby bez powodu.

A nawet kiedy i pragnie czegoś jeszcze;

na przykład przyjaciół zdobywać chce!

Przez całe długie życie tak chciałem! no i zdobywałem.

Tylko dotąd coś jakby – nikt nie został. Choć i wielu zdobyłem.

Czemu ich nie ma?!

Byli, ale spłynęli, i tyle.

Dzisiaj już świat taki jest, że –

no, nic! Zero empatii. Starałem się, nie dostałem.

Chciałem poznać was, zrobić coś dla was –

zaczynasz tak, człowieku, iść, i okazuje się, że w Nieskończoność wybrałeś się.

I nie masz obok siebie nikogo.

...a i może się zdarzyć,

że dojdiesz tam, gdzie jest Bóg.

Na końcu drogi zawsze może być Bóg.

Bóg jest podobno Nieskończonością.

Może i ty – w nią wejdiesz.

...A może On też jest i empatyk? I mówi zawsze tylko: „Tak, tak! Nie, nie!”, więc jest i – Wzajemnością?

I to się zwykle nie kończy –

(Byłby to pierwszy mój dowód na istnienie Boga.

Pierwszy i niejedyny – bo Nie-Do-Zakwestionowania!)

A na Ziemi jest coraz gorzej.

Rozwój wypadków rychło już doprowadzi człowieka do braku człowieka w sobie.

Zapanują systemy nowe, Androidalne, jak mówią.

Niby przybywa i bogactw coraz więcej na Ziemi, ale naprawdę to tylko ludzi jest coraz więcej; bogatych i mrowie biednych, podziałów przybywa; broni do niszczenia jest coraz więcej, i Ziemi coraz mniej; nawet i posłowie do Sejmu wybierani są po to, żeby było komu się kłócić. Panów przybywa, jest ich coraz więcej, przez co i kultury mniej. Oni są leniwi, oceniają innych według siebie. Nie wierzą w ludzkość.

Media są finansowane tylko po to, żeby było dla nas „Panem et circenses!”, tamtych zapraszają, niby tego żąda lud, bo „Chleba i igrzysk!”, wołają, jak w starożytnym Rzymie.

Przez co i Rzym upadł, już dwa tysiące lat temu. A ludzkość dzisiaj, ta „ludzkość”, sama wyrok pisze na siebie. Ci co za modą pędzą, to są pany teraz najważniejsze –

„Precz z empatią!” – wołają. – „My nie chcemy być z tamtymi!”.

„Wszystko niech będzie nasze, albo...”.

„Niech nam tu przybędzie ta Androida!”.

„Niech już nami rządzi czip, programiści”.

A mieliśmy już w historii niejedno ciekawe podejście. My, Polacy.

Nam nie, żeby podbijać inne narody, kłębiło się we łbie, jak Napoleonom, Hitlerom, Stalinom;

jeden taki przykład tu przywołam, bo tylko nam się udało!

Była ongiś przecie bitwa pod Kłuszynem, niedaleko Smoleńska, w 1610. Gdy naszym się udało, w znacznie mierze pokojowo, to co nie wyszło wszystkim innym.

Mądry hetman wielki koronny dowodził, Stanisław Żółkiewski, mąż – czemu nie święty dotąd!

Przed bitwą powiedział tylko: „Rycerze! Potrzeba jest w okolicznościach, nadzieja w męstwie, a zbawienie w zwycięstwie! Ruszajcie czynić swoją powinność!” – –

I ruszyli! z wściekłością, bo armia była znużona całonocnym marszem, lecz Hetman z finezją niesamowitą tak poprowadził rzecz całą, że w pięć godzin skruszyli cały opór wroga – pięć razy, a niektórzy twierdzą, że i siedem razy liczniejszego.

Tak że rychło przybyli bojarowie Ruscy, by do Moskwy prosić, i zwycięzcy zaoferować koronę cara.

Hetman scedował tę propozycję na synka Króla. Synek się wahał, poprosił o zgodę ojca. Ruscy żądali tylko, żeby przyszły car, małżonek ich księżnej, przyjął prawosławną wiarę.

Ojczulek Król głupio się nie zgodził i sprawa się rypla!

Pobyli tam nasi jeszcze ze dwa lata, pouczali się – i do domu!

Co przypominam dla kontrastu, gdyż „zwycięski Napoljon” nie tylko że po paru dniach z Moskwy rejterować musiał, ale i po swoich śladach nad Sekwanę aż Ruskich przywiódł, oni tam bistra kazali pozakładać sobie:

– A nuże barysznia vodka dawaj, bystro daże pobystreje!”.

Naszym zaś Moskwa poddała się sama!

I pomyśleć dziś tylko – dawno już mielibyśmy nie tylko jedną wiarę, może wspólną, ale i język ten sam.

Nawet Włodek Putin rozwinałby się lingwistycznie, mówiłby teraz ładnie po polsku.

A na islamskim wciąż, niezawojowanym przez zielonych ludzików, Krymie panowałyby stosunki tak błogie – jak nie przymierzając w naszych białostockich Kruszyńskich. Żyją jak u pana Boga za piecem! i prezentują światu spokój niby pax Romana, społeczną zgodę. O wiarę tam nikt nie walczy.

Zaprawdę powiadam wam: jakże macie nie żyć tak, jak to już modo polacco bywało?!

i do tego pytam: jak nie zacząć, choćby od dziś, maluchów sposobić do empatii?

Żyć dotykami spojrzeń – dla wspólnej uwagi! Nie tylko dla siebie – ale i dla innych.

Wielkanoc, 16 kwietnia 2017

Odczucie pokus

Pewien Profesor mądry (i wierzący, więc mu wierzę) chwalił Przypadek.

Ponieważ nie mam zbyt wielkiego przekonania do losów, które innym się zdarzyły, odniosę się tu do przykładu z własnego życia.

Otóż mam ja w swoim wielozawodowym życiu i taki przypadek, że byłem nauczycielem. Bez własnego mieszkania jeszcze, ale już z zawodem; pomieszkiwałem wtedy u pewnego „Inżyniera”, który faktycznie magazynerem był tylko, a lubił magazynować zwłaszcza towarzystwo przeróżne, na weekend, oraz i nałogi; pijaczyną w praktyce był najczęściej, a nade wszystko pragnął zostać duszą towarzystwa; jak tylko zdobył jakieś pieniądze, szedł do knajpy, tam udawał dansera, przyklejał się do którejś towarzyski z parkietu, i natychmiast zapraszał ją na noc do naszej kawalerki.

Kobietka zwykle nie miała gdzie nocować, to i się udawało. A jak tylko przekroczyła nasz próg, to jak najszybciej pragnęła dać spocząć nogom i pakowała się do mojego polowego łóżeczka, jakby nie zauważając, że zajęte. A ja niby spałem jeszcze, i już nie spałem.

Kiedy jednak przyszedł ranek, nie głód seksu był problemem nas trojga, ale dojmujący głód w czystej postaci, i czas było gotować zagrychę, czyli smażyć kaszanke, bo nowe pół litra z czerwoną kartką już czekało, a bywało i więcej. Mnie jako jedyne w tym gronie człowieka ze statusem pominąć w kolejce za nic nie wypadało, więc i nie próbowałem się migać. Nauczyciel to nauczyciel. Piłem strzemiennego i pośpieszałem do pełnienia swych obowiązków służbowych.

I oto pojawia się w szkole, w stanie wciąż dość mocno nacechowanym. Ale i moja klasa Druga C też czuwa. Byli to uczniowie, zapewne nie przez przypadek, wyjątkowo uzdolnieni do czujności, od razu od drzwi otaczali mnie podwójnym kołem, i prowadzili najkrótszą drogą do klasy, by nikt nic nie zauważył. Następnie ja zadawałem im ciche czytanie; sam, wydalaając niepotrzebny chuch w stronę ściany, drzemałem, ile się da. Cisza panowała w tym przybytku nauki tak wielka, że może i absolutna.

Ale, ale! zdarzyło się zaraz, niby to przypadek w przypadku, że gdy tak trwaliśmy w błogim studiowaniu siebie, do drzwi puk-puk się odezwowało.

A co to? i po co?!

A to pani Dyrektor szkoły w towarzystwie pań Wizytatorek z Kuratorium wtaczają się, celem zapewne odbycia rozmów z nami. Tak się im tam gdzieś indziej znudziło, że musiały przyjść do nas.

– Tak tu u pana, kolego, cicho i klasy w ogóle nie słychać, więc postanowiłyśmy wstąpić!

I nic to, że ja się wykręcam jak mogę, w inną stronę, by przyłgnąć buzią hen gdzieś –

jednak dzieci się odezwały, jak na wyprzódki!

– Ależ psze pani!...

– Pan nam cichą lekcję zadał i nie kazał nic a nic przeszkadzać!

– Bo inaczej to nie daj panie Boże! wycedził i po superkatolicku jakiś smarkacz, choć nasza szkoła była sztandarowo „świecka”;

Czy panie coś zrozumiały, czy nie zrozumiały –

– No, jak tak pan wam zadał...

Zawahały się.

Weszły do najgłośniejszej klasy w szkole, a zastały ciszę.

Czy nie przypadek? Toż to on zaprowadza tak dziwny porządek.

I wyszły, i poszły sobie.

Nie były nieprzygotowane na taki przypadek.

A ja?

Cóż ja, pomyślałem sobie, że może już i nie jestem taki sobie zwyczajny facet?

I raczej trochę przypadkowy.

Jeszcze na studiach kiedyś kolega z akademika odezwał się do mnie, może w poczuciu zbyt dojmującego nagromadzenia przypadków w naszym życiu,

– Ty, chodzisz na te polonistykę prawda? I po co? Co masz z tego? O, tam jeden z naszego pokoju, co ma łóżko nade mną, wziął kiedyś tak przejął się sobo, że napisał wiersz... o Stalinie; poszedł i zaniósł to do „Nowej Kultury”, przyjęli a jakże, i sam poeto został!... A drugi znów tak raz się upił, bo podobno pierwszy raz w życiu! Wziął i to opisał, zaniósł do jakiejś Redakcji – i tam kazali jemu, żeby pisał więcej! A teraz on nic, tylko pije i spi! ale pisać nie chce; jemu i książkę wydać chcieli!... To może i ty idź do „Nowej Kultury”, zanieś im coś!

A ja sobie pomyślałem:

„Nie jestem ja taki głupi jak inni! nie pójde i nie zaniose!”

Aż któregoś dnia tak było paskudnie na dworze, choć to przedwiośnie akurat; i sobota, a tak wyjątkowo przykra, wróciłem ja od lekarza akurat, laryngologa, i łeb mi rozsadało wciąż od świdrującego bólu, bo on nie chciał mi zrobić punkcji, śpieszył się gdzieś, do baby pewnie, i nie chciał – –

...Aż po paru godzinach przemogłem się; wziąłem i szrajbnąłem coś o tym, wyszło ze cztery strony; w poniedziałek zawiozłem wszystko do „Nowej Kultury”, i kazali zostawić, przyjść za dwa tygodnie – –

A kiedy przyszedłem znów, powitał mnie ten sam pan, kazał siadać, nic nie mówić; i wtedy on sam przez czterdzieści minut tłumaczył mi coś tam i coś tam, a żeby to wszystko zmieścić, terkotał szybko jak karabin maszynowy – niby co to tam jest pisane, to znaczy co ja... niewiele rozumiałem z tego.

– A ponieważ pan tego nie spamięta, to tu zapisałem wszystko na kartce.

I dał mi ją. Facet był cholernie szybki w mówieniu, a jeśli o wzrost idzie, to raczej dość mały.

Dał mi maczkiem zaćpany prawie cały arkusz kancelaryjnego papieru w linię. Na końcu było tam:

„...i macie, Kolego, zdolność do kojarzenia rzeczy bardzo odległych! to wyjątkowa zdolność, gratuluje! proszę pisać dalej!”

Myślałem, że jak już tak, to mógłby mnie skierować do jakiejś akademii pisania powieści od razu, bo ten mój niby Uniwersytet... albo wydrukować choćby to! –

I poczułem się znów, jak w akademiku, przez wszystkich opuszczony, jak też i u lekarza!

Widać w Kosmosie całym – ciągle jestem sam!

To czego on mi gratulował?

Ów ważny uczony, któremu wierzę, co jest wierzący, twierdzi, że w Kosmosie jest tak, że mało co o tym wiemy; a jak już wiemy, to jest raczej bardzo już prawdopodobne; choć ogólnie to raczej jest tak, że tylko bardziej jest pewne, że coś jest, niż że nic nie ma...

I z tym poglądem trudno polemizować;

Choć jak się jest choć trochę ambitnym, to można; to i popolemizuję z tym – kiedyś, ale nie teraz.

Bo skojarzyła mi się tu właśnie wypowiedź Szefa, z okresu, kiedy to ja zaczynałem karierę biuralisty;

On powiedział wtedy

– Panie kolego, widzę,

Że pan coś tam pisze, a nawet czasem to i wydrukują gdzieś; a pan to podpisuje z imienia i nazwiska! to niebezpieczne jest!

Lecz skojarzenia są dla mnie na pierwszym miejscu, dziś, tak i wtedy –

On wtedy to powiedział, a ja zmilczałem, bo szefowi nie odpowiada się tak od razu, „to może grozić śmiercią lub kalectwem”; a i w dodatku że gość był dość niemądry... pomyślałem sobie może wtedy, że mamy dość marne życie publiczne, lecz nie wiadomo, jak je odmienić! tak zresztą wtedy, jak i teraz!

Bo na przykład, kiedy wszyscy coś chwalą – to należy raczej przeciwstawić się temu! i zaprotestować!

Na przykład był kiedyś król, którego bardzo za życia chwalono, jak to króla. A dziś człowiek jak pomyśli, ponazastanawia się nad takim,

„To czemuż on nie połknął tej trucizny sam, póki jeszcze mógł – a tak intensywnie czekał, aż inni go otrują?”.

I dlaczegoż ten król takiego węża miał w kieszeni, kiedy trzeba było grosza wyłożyć na ratunek dla Kraju? i odmówił prośbie generała Kościuszki o dobrojenie wojska, wsparcie powstania! Kościuszko musiał z kraju uciekać, aż zatrzymał się w Ameryce, i Amerykanom pomógł bronić niepodległości, za jaką, bohaterowi, stawiają mu pomniki do dziś!

A król, że sam zdolności do wojowania nie miał żadnych, i do rządzenia krajem też – to mu odmówił!

To po co parł się do władzy? czemu postawił na kochankę, jakąś tam panią z Anhalt, kiedy i sam kochankiem marnym był! żaden tam z niego i Casanova z Mokotowa, jak potem niektórzy! To i ona się potem z nim tak wrednie obeszła. Że *Così fan tutte*? One wszystkie są takie, jak powiadał Mozart. Lecz on przynajmniej napisał o tym operę.

Więc nie pchaj narzędzia między drzwi, kiedy –

Ja, jako ten, co się zazwyczaj nie zgadza ze wszystkimi, ponawiam i dziś to pytanie,

Ach, wy głupi magnaci, ach marna ich czeladzi, kto wam kazał wybierać tak słabo obeznanego w fachu podrywacza – na króla aż?!

By się okazał zdrajcą i tchórzem?

I krzyczeli: „Vivat król, vivat wszystkie stany!”

A potem zaraz zginęła Polska!

I mówią, że przyczyna tego nieznana.

Przedtem czy potem?

Choć mówią, że po czasie wiadomo już wszystko.

– Władzy raz zdobytej, a innym wydartej, już nie oddamy nikomu!

Tak powiadał – mistrz Stalin?

cały zastęp bandziorów:

Stalin, czyli gość po seminarium duchownym, potem wydoskonalił się w roli kata narodów;

I Hitler, który z zamiarem bycia artystą rozstał się – jedynie dla władzy i narkotyków;

I Saddam Husajn, który już przez własną matkę był zrodzony z nienawiści, a jak tylko dorósł, to mordował tysiące i miliony obywateli własnych.

Wszystko stwoży wyrosłe z najbardziej przypadkowych wzorców człowieka...

Lecz kto nie chce takim wzorcom podlegać, sam musi najpierw bytem odrębnym stać się.

Zbudować odrębną władzę nad sobą. Mądrości różne poznać, mowę uczuć opanować; prawa które rządzą w Przyrodzie.

I we Wszechświecie.

Bo na początku pokusy są do wszystkiego.

Pragniesz być pięknym i mądrym? Proszę bardzo!

Przypadek pierwszy:

– ...a bo ja proszę pana, zmarnowałem życie! Dobrze widzę to dopiero teraz!

– A co chciałby pan robić zamiast?

– A niechbym sobie wcześniej i poszedł studiować polonistykę!

Za to inżynierem został; ma staż pracy liczony już od pierwszego roku studiów, bo chodził na AGH! A po AGH to niektórzy umieli i artystami zostać!

– ...i co mnie dziś z tej emerytury zostało, wie pan?

Przypadek drugi:

– A bo dla mnie to zawsze było najważniejsze, żeby poznać sens życia! Bez tego to ja chodziłem jak pijany – chodziłem, szukałem i nic!

– Ale nie żyje pan bez sensu! jest pan świetnym fachowcem. Wszyscy ufają panu, chwalą! jak pan do tego doszedł?

– A bo wie pan, trafiłem w końcu do jezuitów – oni mnie naprowadzili! dziś to po pierwsze wiem, po co jest wiara, żeby prowadzić człowieka; no i po drugie mądrość, żeby odróżniać dobro od zła, brzydotę i piękno...

I podporządkowałem się. Cały swój swój wybór, i wyobraźnię, pole do wolności, oddałem komuś w pacht!

– Pan ma już raz na zawsze wszystko załatwione. A czy pan wie, czy to akurat jest dla pana? Zna pan dobrze historię jezuitów? I wszystkie ich uczynki, których się dopuścili, w Południowej Ameryce chociażby; i gdzie indziej, w stosunku do małoletnich?

– Co pan mówi?!

Prawda i taka bywa.

Nie ma jednej prawdy i jednej rady na wszystko.

Cała twoja życiowa przestrzeń do wypełnienia jest!

Nie ma przestrzeni innej –

Prócz tej, która jest w Wyobraźni –

więc nie zastępuj jej niczym!

Ona przez ciebie tylko – jest do wypełnienia!

To ta jedyna – niczym niezastępowalna, wolność twoja.

Pan Profesor mi wyklada, w jakiej to temperaturze mózg zrodzić się Wszechświat;

W tej jednej jedynie!

I przy takiej tylko mózg trwać, rozszerzać się, wręcz zakwitać swą nie-wyobrażalną przestrzenią – ...a ja niech zostanę przy stwierdzeniu jednego mądrego pana Krytyka Co Kiedyś Tam mnie zapewniał, i żyję dotąd w tym przekonaniu, że co do życia, to nie ma cenniejszego nic, jak ta... ha-ha-ha, zdolność do kojarzenia rzeczy odległych, nawet i z najodleglejszych zdarzeń, żebym spoić je mózg – ja, niezależny byt – ze sobą, zaistnieć w nich, w tej przestrzeni raz wybranej, ustrojonej podług własnej woli – może

i dzięki temu znam uczucie, a poznawałem je przez całe życie, co to jest wieczna tęsknota, wiem!

Bo mam ją – a także kontakt z najdalszym bytem w Kosmosie (i niebytem – jeśli może tam jeszcze się pojawić!) kto tak daleko dąży – to i dosięga czasem!

...taka i niech będzie wieczność człowieka, i moja miłość – człowieka, który próbował uciec w Kosmos.

Od cudzych przyzwyczajęń tu – od losu, którego sam sobie nie zgotował.

25 maja 2017

Jacek Pankiewicz

Joanna Sendłak

Piramida

(fragment niepublikowanego opowiadania)

Podróż była męcząca. Czuł się jak rozbitek wyrzucony przez morze na bezludną wyspę. Tym było lotnisko, wyspą, na której znalazł się wbrew woli. Jego bagaż mieścił się w kieszeniach kurtki. W skali wszechświata odległość, jaką miał pokonać, była niewielka, ale czas ciągnął się w nieskończoność. Art miał wrażenie, że spędził na lotnisku kilka dni, może lat? Zmęczenie zalepiało myśli. Poklepał kieszenie, upewniając się, czy wszystko jest na miejscu i spojrzął na rozkład lotów. Było mgliście, samoloty nie startowały. Czy wernisaż zostanie odwołany? Pewnie właściciel galerii zadba, by widzowie nie zauważyli braku autora, parę kieliszków wina poprawi im nastrój. Obrazy od tygodnia były na miejscu.

Art rozejrzał się bezradnie. Między kioskiem z kolorową prasą, a bezcłowym sklepem zobaczył kawiarnię. Nonszalancko ruszył w jej stronę.

Opadł na aluminiowe krzesło, zamówił kawę i ponuro obserwował zmarszczki na powierzchni burej cieczy. W końcu zapłacił wygórowany rachunek i wrócił do poczekalni.

– Leci pan tym samolotem? – spytał mężczyzna okręcony materią różowego szalika. Miał dziwny wyraz twarzy, rozpięty między ironią, a pogardą.

– Owszem – przytaknął Art, w palcach obracał bilet linii lotniczych, tożsamy z trzymanym przez nieznanego.

Różowy jegomość wymownie powachlował się nim i poprawił szal. Materia spłynęła kaskadą na okrągłe ramiona.

– Jestem Skiński – rzucił, podając wilgotną dłoń. – Mamy pecha, zażadam odszkodowania od linii, powinni zapewnić hotel, wyżywienie, ale kogo obchodzą pasażerowie? A przecież zapłaciliśmy za bilety!

Art spojrzął na intruza, jakby obserwował kraba. Skiński klepnął biletom kolano i nachylił się konspiracyjnie. Sprawiał wrażenie człowieka, który za chwilę wyjawí wstydlíwá tajemnicę.

– Czym się pan zajmuje, jeśli wolno spytać? Nie znoszę wścibstwa, jednak odniosłem wrażenie, że zajmujemy się czymś pokrewnym.

– A pan czym się zajmuje? – odbił pytanie Art, zastanawiał się co wybrać, prawdę, czy kłamstwo, które rzuci obcemu, jak ochłap.

– Jestem artystą – wyznał Skiński, trzepocząc oczami, jak pensjonarka przyłapaną na pisaniu pamiętnika.

Art poczuł irytację.

– Jestem portierem – oznajmił zaczepnie, jakby wygłaszał mowę końcową w sądzie.

– Ach tak – westchnął Skiński widocznie rozczarowany. Wodniście szare oczy błysnęły niedowierzaniem. – Więc myliłem się?

– Jaką dziedzinę sztuki pan uprawia?

– Nic konkretnego – powiedział Skiński, prostując plecy, które pomimo wysiłku, pozostawały zaokrąglone, jakby był ulepiony z miękkiego wnętrza chleba – wszystko i nic – ogólnie machnął ręką. Koniec szala podderwał się niczym skrzydło. – Badam ludzką duszę, prowokuję, czekam...

– Uważa się pan za teoretyka sztuki? – ton głosu Arta zawibrował, jakby napiął strunę instrumentu. – W naszych czasach zbyt wielu dyletantów wygłasza autorytarne sądy. Każdy może ogłosić się autorytetem, to kwestia przywdziania kostiumu, podszycia się, a więc kłamstwa. Nie sądzi pan? – Art patrzył wyczekująco, gotowy zadać śmiertelny cios.

Skiński metodycznie zwijał szal. – Dlaczego się pan denerwuje? – zapytał głaszcząc materiał.

– Jestem spokojny! – krzyknął Art.

– Zdawało mi się, że słyszałem w pana głosie oburzenie, może potępienie? Co mi pan zarzuca? Ocenia pan ludzi zbyt pochopnie, kieruje się uprzedzeniami! – mówił Skiński spokojnie. – Czy zastanawiał się pan nad genezą własnych myśli? Jaka część z nich jest przypadkowa? Czytał pan opowieść o człowieku, który wyruszył na poszukiwanie Boga, ale zablądził i zszedł do piekła?

Skiński pogrzebał w torbie i podał mi cienką książeczką. Potem zaczął opowiadać, chociaż, mógłbym przysiąc, nie zachęciłem go ani jednym znakiem, spojrzeniem czy grymasem ust, przeciwnie, położyłem książkę na stoliku i odsunąłem na odległość ramion.

– Niech pan sobie wyobrazi, że osobnik, który wyruszył na poszukiwanie Boga, na widok czerwonego, świetlistego tronu upadł na kolana i zaczął błagać: „Daj mi szczęście” – zawodził z przyzwyczajenia. Siedzący na tronie spozryzał niechętnie i żeby pozbyć się natręta, mruknął – „Już dobrze, bądź szczęśliwy, tylko przestań prosić!”.

Człowiek wstał, otrząsał kolana z popiołu, który gęstym kożuchem zasłaniał podłogę i wrócił do domu, jednak nic się nie zmieniło: żona, pulchna kobieta w średnim wieku, patrzyła na niego, jak na szereg stojących na półce przypraw.

Każdego popołudnia zamykał się w pokoju i poświęcał niewinnemu hobby: – budował piramidę z zapalek. Po latach, których upływu nie zauważył, stos sięgnął sufitu i wypełnił pokój. Mężczyzna odemknął nieduże drzwiczki prowadzące do wnętrza budowli i ostrożnie wszedł do środka. Początkowo ciasny korytarz, powoli rozszerzał się. Przez delikatną materię ścian przesączał się żółty blask.

Igrekowski – tak nazywał się budowniczy piramidy – stanął zaskoczony, nie przypuszczał, że budowla okaże się tak rozległa. Gdzieś w oddali było słychać głosy. Przyspieszył, przed kolacją chciał skończyć zwiedzanie, punktualnie o siódmej wieczorem. Poczucie obowiązku, uwierało, jak ciasny but.

Wspinał się wąskimi schodkami, meandrowały niczym górską ścieżką. Wreszcie korytarz skończył się, wypuł mężczyznę w przestronnym pokoju, którego okna wypełniała panorama miasta. Na tle szarego nieba domy budowały barwną mozaikę.

Pod oknem stało niewielkie drewniane biurko, a siedząca za nim kobieta miała na sobie granatową garsonkę i pantofle na obcasie. Pod ścianą stały obrazy, zajmowały znaczący fragment przestrzeni, ale wewnątrz pozbawione było terpentynowego zapachu pracowni malarskiej.

Kobieta nie zwracała na niego uwagi, stukała w klawiaturę laptopa końcami sztucznych paznokci, wydając dźwięki podobne do stąpania psich łap po kamiennej posadzce.

– Słucham? – spytała, nie podnosząc głowy, włosy oblepiały ramiona jak złocista gaza.

Igrekowski zawahał się.

– Przyszedł pan podpisać kontrakt? – oderwała palce od klawiatury i patrzyła bezrefleksyjnie, jakby był ekranem telewizora.

– Jaki kontrakt? – zapytał zdziwiony.

– Zrzeczenia się praw autorskich do idei dzieła – wyjaśniła obojętnie, a ponieważ Igrekowski milczał, dodała ze złością.

– Przyniósł pan do nas piramidę, dzieło pańskiego życia, przecież nie pracował pan za darmo. Jesteśmy tu po to, żeby panu zapłacić. Prowadzimy bazę danych artystycznych koncepcji, pańska idea twórcza zostanie

umieszczona na naszej stronie internetowej i za odpowiednią opłatą wynajęta innemu artyście. Gwarantujemy brak plagiatu i pełną dyskrecję – kobieta potrząsnęła głową, pajęczyna włosów oderwała się od ramion. Wstała i podeszła do okna. Połyskującym jak rybia skóra paznokciem pokazała rozległą panoramę.

– Widok również należy do naszej bazy danych, ale na tak szerokie koncepcje stać nielicznych. Mój szef należy do wybrańców, jest niezwykle bogatym człowiekiem – westchnęła, a jej oczy zakryła mgła.

– Więc pośredniczycie w wynajmowaniu twórczych pomysłów? – spytał Igrekowski.

– W wielkim skrócie można tak powiedzieć – westchnęła blondynka podnosząc telefon, który zamruczał dyskretnie jak domowy kot. Rozmawiała przyciszonym głosem, odwrócona bokiem w kierunku okna. – Znowu tu jest? Prosiłam, żeby ochrona go nie wpuszczała! – syknęła ze złością i rozłączyła się. Sięgnęła do sterty leżących na biurku formularzy i podała kartkę mężczyźnie.

– Proszę wypełnić i podpisać na dole, wszystkim się zajmiemy, będzie pan zadowolony z naszych usług, gwarantujemy dyskrecję.

Wskazała krzesło stojące po drugiej stronie biurka i podała mu długopis.

Usiadł, formularz wydawał się prosty, zaledwie kilka rubryk: imię, data urodzenia, tytuł koncepcji artystycznej i numer konta, na które będzie przelane wynagrodzenie. Na dole widniało miejsce na podpis.

– Nigdy nie myślałem o sobie jako o artyście, nie pracowałem dla pieniędzy, chciałem uciec od rzeczywistości, to wszystko. Nie spodziewałem się, że kiedyś moje wysiłki zostaną dostrzeżone – spojrzał pytająco na blondynkę, która uśmiechnęła się zachęcająco i puknęła palcem kartkę.

– Podpis – szepnęła oparła się o biurko i umieściła potężny biust na wysokości jego wzroku.

Na czole Igrekowskiego wystąpiła kropla potu. Pochylił się nad kartką i próbował opanować drżenie dłoni. Kiedy wróci do domu triumfalnie pokaże żonie materialny dowód, że nie zmarnował czasu i lata spędzone na układaniu zapalek nie były stracone. Oto potwierdzenie – kwestionariusz i pieniądze, które zasilą konto. Dlaczego nie spytał blondynki, jaką otrzyma sumę? Kiedy oddawał kartkę i długopis, myśli w jego głowie biegały nerwowo.

Nagle drzwi pokoju otworzyły się z trzaskiem, wpuszczając do wnętrza podmuch.

– Żądam natychmiastowego anulowania mojego zgłoszenia! – krzyczał jakiś mężczyzna w okularach. Blondynka obciągnęła garsonkę i zmarszczyła brwi. Na jej twarzy pojawił się ślad umysłowej pracy.

– Proszę na dole pobrać numerkę na widzenie z szefem. Ja nie przyjmuję reklamacji! – zawołała, podchodząc i wycelowanym w brzuch mężczyzny długopisem popychała go w kierunku drzwi, jak szermierz gotowa zadać ostateczne pchnięcie.

Mężczyzna dotknął plecami drzwi i stanął, zobaczył Igrekowskiego i w kilku susach doskoczył do niego.

– Chyba pan nie podpisał papierów? – krzyknął histerycznie – czytał pan mały druk na dole kartki? – wołał chwytając Igrekowskiego za ramiona i potrząsając jakby szykował Martini.

– Jaki mały druk? – zaniepokoił się Igrekowski.

– Na dole kartki opisują prawdziwe warunki umowy, konsekwencje oddania idei, wyparcia się swoich myśli – wołał, czerwieniejąc na twarzy – nie wolno powracać myślami do oddanego projektu, ani posługiwać się skojarzeniami, które doprowadziły do jego powstania. Czy zdaje pan sobie sprawę, jakie to ma konsekwencje? Powoli przestaje pan istnieć! Naruszona zostaje ciągłość twórczej drogi, która staje się niewytłumaczalna i wszystko trzeba zaczynać od początku, ale życie proszę pana, jest za krótkie, by zdążyć drugi raz stworzyć coś wartościowego. Nie wolno śledzić dalszych losów wynajętych koncepcji, a te przeważnie dostają się w łapska dyletantów, pseudoartystów, których nie stać na własny pomysł lub zostają przemielone na slogany reklamowe dla wielkich koncernów, strywalizowane i wykoślawione. Niech pan podrze ten przeklęty formularz i ucieka!

Mężczyzna odsunął Igrekowskiego od biurka i chwycił wypełniony przez niego formularz. W tym momencie do pokoju wpadł pracownik ochrony ubrany w granatowy mundur z rzędem srebrnych guzików. Chwycił obydwu mężczyzn za ramiona i wypchnął na korytarz. Blondyna z hukiem zatrzęsnęła drzwiami.

Biegli po schodach, przeskakując po kilka stopni, aż znaleźli się na ulicy.

Był środek letniego dnia, samochody stały w korkach, wypełniając jezdnię po horyzont. Słyszać było klaksony i pokrzykiwania zdesperowanych kierowców. Mężczyzna w okularach rozejrzał się uważnie dookoła, jakby upewniał się, czy nikt ich nie śledzi. Ręką, w której wciąż powiewał zmięty formularz umowy, wskazał narożną kawiarnię.

– Usiądźmy na chwilę, porozmawiamy spokojnie – zaproponował. Igrekowski zerknął na zegarek.

– Tylko chwilę, o siódmej mam kolację – wyjaśnił.

Przecięli jezdnię, okrążyli rozgrzane słońcem samochody i dotarli do stolika. Igrekowski opadł na krzesło, serwetką wytarł pot z czoła. Był zmęczony, chociaż od chwili gdy wszedł do piramidy, do obecnego momentu, upłynęła zaledwie godzina.

– Gdzie właściwie jesteście, nie znam tej dzielnicy miasta?

– Nie mam pojęcia, miasto ciągle się zmienia – mężczyzna patrzył z wyrzutem na zatłoczone ulice.

– Od dawna pan tu mieszka? – spytał Igrekowski powodowany przymusem prowadzenia niezobowiązującej konwersacji.

– Nie pamiętam – westchnął mężczyzna i nagle, jakby sobie coś przypomniał – Czy ja się przedstawiłem? Jestem Iksiński – powiedział i ponad blatem wyciągnął rękę do Igrekowskiego. Dłoń była chłodna, a uścisk zdecydowany. Ciężki kelnerki położył się na białym blacie. Igrekowski spojrzał na dziewczynę, była uderzająco podobna do blondynki z agencji. Szybko opuścił wzrok.

– Dwie kawy – zamówił Iksiński i widząc zmieszanie Igrekowskiego, zachichotał. – Oni wszyscy są podobni, ten świat jest pełen trywialnych myśli. Opowiem ci, w jaki sposób się tu znalazłem, może przestaniesz traktować mnie jak szaleńca. To nie ja jestem szalony, ale świat, w którym jesteśmy! – Iksiński nerwowo potarł brodę i zaczął mówić przyciszonym głosem:

– Ta podróż była najbardziej męcząca ze wszystkich, jakie odbyłem. Leciałem na swój wernisaż, ale lotnisko sparaliżowała mgła. W pewnej chwili przysiadł się do mnie dziwny gość w różowym szaliku. Podejrzany facet zaczął opowiadać historię o mężczyźnie, który zmarnował życie budując piramidę z zapalek – zamilkł, bo twarz Igrekowskiego poszarzała, podobna do ściany domu, na którego tle siedział.

– Źle się czujesz? – spytał Iksiński z ugrzecznioną troskliwością.

– Jestem zmęczony, mów dalej – poprosił cicho Igrekowski.

Iksiński podjął opowiadanie: – mężczyzna w różowym szaliku spojrzał na mnie i zapytał: – Czy pan uważa, że autor odczuwałby satysfakcję z twórczości, gdyby wiedział, że nikt nigdy nie powiązałby dzieła z jego osobą, że pozostanie anonimowy? Czy czułby pan satysfakcję, gdyby brakowało bezpośredniego kontaktu z odbiorcą?

– Prawdziwy artysta czuje imperatyw tworzenia.

– Tak pan sądzi? – zapytał melancholijnie – bo widzi pan, ja uważam, że kiedy zabraknie odbioru, pozostajemy niczym mydlane bańki, rozdęte pęcherze ludzkich myśli. A myśl powinna służyć komunikacji!

Nagle monolog Skińskiego urwał się. Przyznam się, że opowieść mnie wciągnęła. Zastanawiałem się czy mówił o kimś, kogo znał, czy wszystko wymyślił, ot, tak na poczekaniu. A może każdemu napotkanemu turyście opowiadał to samo, obserwował, jakie wywierał wrażenie?

– No i co? Ciekawa opowieść? – spytał, kiedy głośniki zapowiadały nasz samolot. Mgła wreszcie się podniosła i mogliśmy spokojnie wystartować.

Skiński przylepił do mnie niebieskie oczy. Mierzyliśmy się wzrokiem jak osobniki różnych gatunków, w końcu sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął notes, który natychmiast upuścił. W pościgu za rozsypnymi na podłodze kartkami zderzyliśmy się głowami, upuściłem bilet i paszport. W końcu on zebrał wszystko i podał mi moje dokumenty. Wyprostował się.

– Czy nie zechciałby pan podpisać się na dole kartki, pod twierdzeniem, że prawdziwy artysta nie oczekuje poklasku publiczności? – spytał zupełnie niespodziewanie, kiedy lotniskowe głośniki ponaglały pasażerów by udali się do odprawy celnej. Widząc moje zdziwienie wyjaśnił:

– Widzi pan, założyłem się z przyjacielem, że znajdę uczciwego twórcę i na dowód przyniosę jego podpis. – Bycie artystą to stan duszy, wykonywany zawód jest tylko splotem życiowych okoliczności – dodał i podesunął do mnie notes.

Sam nie wiem dlaczego, może pod wpływem dziwnej opowieści, wziąłem pióro i z rozmachem podpisałem kartkę. Niech wygra zakład, przeżyje triumf, dla mnie to nic nie znaczyło, jakbym ustąpił miejsce staruszcze w tramwaju.

Skiński zatrzaskał notes i spojrzał na zegarek.

– Przejdę się, rozprostuję nogi – powiedział ciepłym tonem, jakby przemawiał do swojego psa.

Dlaczego wcześniej brałem go za dziwaka? Nawet różowy szalik wydał mi się zupełnie zwykłym akcentem stroju.

Mgła ustąpiła szybciej niż się spodziewałem. Zostawiłem książkę na stoliku i poszedłem do stanowiska odprawy. Nie będę opowiadał o locie, podczas którego niepokoiłem się, czy zdążę na wernisaż. Wybiegłem z lotniska, złapałem taksówkę i kazałem zawieźć się do galerii. Wnętrze wypełniały tłumy, nie spodziewałem się takiego zainteresowania moją skromną osobą. Przepełniony dumą i niepokojem podeszedłem do drzwi. Na plakacie z reprodukcją najlepszego mojego obrazu, napisane tłustym drukiem, widniało moje nazwisko. Wszedłem do wnętrza i zginąłem w tłumie. Ludzie krążyli z kieliszkami wina i pogryzali orzeszki. Wymieniali

pochlebne uwagi o obrazach, co przyznam, sprawiło mi dużą satysfakcję. Ktoś włączył kamerę i właściciel galerii, wysoki młody człowiek w skórzanym kurtce, wyszedł na środek.

– Chciałbym państwu przedstawić autora tych wspaniałych prac, pana Arta.

Tłum rozsuwał się powoli, niczym teatralna kurtyna i na środek wyszedł jegomość w różowym szaliku, ten sam, z którym rozmawiałem na lotnisku. Jakim cudem dotarł do galerii przede mną? Ukłonił się non-szalancko i najzwyczajniej w świecie zaczął opowiadać, jak wpadł na pomysł namalowania moich obrazów. Mówił bez zająknienia, jakby czytał w moim umyśle, powierzał tłumowi przemyślenia, których sam nigdy nie odważyłbym się wypowiedzieć publicznie.

Struchlałem, ludzie brali go za mnie! Kiedy otrząsnąłem się ze zdumienia, wybiegłem na środek, chwyciłem go za ten cholerny różowy szalik i krzyknąłem.

– To pomyłka, obrazy są moje!

– Kim pan jest, nie znam pana! – powiedział oschle, wyrывая szalik z moich dłoni.

– Jak to mnie nie znasz? Spotkaliśmy się na lotnisku, słuchałem twojej idiotycznej opowieści o Igrekowskim, twórcy piramidy z zapalek, musisz mnie pamiętać! – krzyczałem coraz głośniejszym głosem, aż otaczający nas ludzie przwarli do ścian, jakby chcieli się w nich ukryć, na środku pozostał tylko on – uzurpator, a także mężczyzna z kamerą na ramieniu oraz właściciel galerii, który podniósł telefon i wezwał policję.

Komisarz Zet przyjechał tak szybko, jakby ukryty za rogiem czekał na umówiony znak. Wkroczył do wnętrza leniwym krokiem rewolwerowca, ospały mężczyzna w średnim wieku wziął mnie pod łokieć i wprowadził do pokoju na zapleczu, małego składziku ściśle wypełnionego obrazami, z wąskim biurkiem ustawionym bokiem do drzwi. Wskazał głową krzesło, a sam usiadł na bławie. Wyjął z kieszeni czerwony notes i zaczął go kartkować.

– Pana nazwisko? – spytał w końcu, kiedy już zacząłem podejrzewać, że milczenie było formą nacisku wywieranego na mój zmęczony umysł. Podałem swoje dane, informując, że jestem malarzem, autorem wystawianych prac.

Komisarz Zet powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy, zachował zimny profesjonalizm. Podałem mu wszystkie szczegóły rozmowy z uzurpatorem, w tym dokładny przebieg wyżej opisywanej rozmowy na lotnisku, oraz fakt istnienia książki, w końcu zamilkłem.

– Czy mogę zobaczyć tę publikację?

– Zostawiłem na lotnisku.

Wtedy do pokoju wszedł Skiński, a za nim mężczyzna z kamerą.

– Wszystko w porządku? – spytał Skiński poufale kładąc dłoń na ramieniu komisarza Zet, który zsunął się z blatu biurka, jak uczeń zajmujący odpowiednią pozycję w obecności nauczyciela.

– Osobnik, który podaje się za Arta twierdzi, że jest malarzem, autorem pańskich prac – powiedział komisarz do Skińskiego, fałszywego mnie.

– Nazywam się Art, Art! – obwieściłem dobitnie.

– Paszport proszę – powiedział Zet oficjalnym tonem.

Szybko podałem dokument, żałowałem, że wcześniej nie wpadłem na ten oczywisty sposób udowodnienia swojej tożsamości. Przez kilka minut obracał paszport w topornych palcach, potem mruknął coś i niespodziewanie podniósł dokument do kamery.

– To oczywisty dowód, że mężczyzna podający się za Arta, autora obrazów z wystawy, w rzeczywistości nazywa się Skiński – oznajmił ze sztucznym uśmiechem, jakby grał w reklamie jogurtu. Wyrwałem dokument z jego rąk i spojrzałem na nazwisko. Pod moim zdjęciem widniało nazwisko Skiński! Patrzyłem osłupiały i przez chwilę nie mogłem wydobyć głosu. Jak on to zrobił? Kiedy podmienił paszporty? W jaki sposób zastąpił swoje zdjęcie moim? Na lotnisku, kiedy upuścił notes i zbieraliśmy rozsypane dokumenty! Tylko wtedy, nie było innego wytłumaczenia.

Teraz Skiński stał przede mną i uśmiechał się bezwstydnie. Triumfował, przeżył tors do kamery, przybrał pozę wodza, który zaraz nabije głowę wroga na pal. Mój umysł rozpadł się na kawałki i bezsilnie opadłem na podsunięte przez komisarza Zet, krzesło.

– Mógłbym pana zatrzymać za zakłócanie porządku – stwierdził ponuro Zet – i zrobię to, jeżeli pan Art złoży oficjalne doniesienie – zerknął pytająco na Skińskiego, który tymczasem odwrócił się lewym profilem do kamery, udrapowaną materią szalika, przysłonił workowatą szyję, która zdradzała niemłody wiek i scenicznie machnął ramieniem w geście ułaskawienia. Obiektyw zaszurał w ciasnej przestrzeni i zogniskował się na moim nosie.

Poczułem, że dłużej tego nie zniosę, w tamtym momencie nie mogłem inaczej postąpić. Wepchnąłem sfałszowany paszport do kieszeni, nie patrzyłem na nikogo, wyszedłem do sali, w której panowała grobowa cisza, jakby wszyscy wstrzymali oddech, potem wypadłem na ulicę, popędziłem przed siebie. Byłe dalej od tamtych szaleńców, od wstydu, który palił każdą komórkę mojego ciała. Czego się wstydziłem? Przecież to ja zostałem oszukany!

Joanna Sendłak

Kazimierz Świągocki

O czasie

*[Rzeczy] ani nie istnieją w sposób zupełny,
ani nie można powiedzieć,
żeby w sposób zupełny nie istniały.
To bowiem naprawdę istnieje,
co niezmiennie trwa*

św. Augustyn, *Con.* VII, 7

Nigdy chyba nie wyzbęde się uczucia zdziwienia, że to, co kiedyś przeżywalismy jako najbardziej realne, żywe i konkretne – dziś jest już tylko dotykalne pamięcią. Ono żyje jakoś w dalszym ciągu, jest w nas obecne, ale stajemy bezradni, gdy przyjdzie nam chęć określenia istoty tego życia. Życie to i nie-życie, istnieje ono i nie istnieje.

Czymże jest to, co minęło, i czym to, co powoduje mijanie? Pierwsze nazywamy przeszłością, drugie czasem. Ale tylko naiwni prostaczkowie albo zarozumiali uczeni mogą żywić przekonanie, że skoro znaleźli nazwę, to zrozumieli zjawisko i rozwiązali problem. Święty Augustyn na pytanie o czas odpowiadał: wiem, czym jest, póki o to nie pytasz, nie wiem, gdy pytasz. Ta odpowiedź może być uznana za wyraz bezradnej ludzkiej mądrości. Bo mądrość ludzka to mądrość niewiedzy, to Sokratejskie wiem, że nic nie wiem.

Może ona jednak sugerować również istnienie innej wiedzy niż ta, która da się ująć w słowa, pojęcia i definicje, wiedzy przedślowej, przedracjonalnej. Bo Augustyn najpierw mówi przecież: wiem, gdy o to nie pytasz. A zatem – wiem.

Lecz jest to taka wiedza, że jej nie można wyrazić. Wielki filozof wcale tu nie żartuje, ani nie wykręca się od odpowiedzi. Wszystko jednak wskazuje na to, że wiedza, o której on mówi, że ją posiada, nie należy do porządku poznawczego filozofii i nauki. Może więc do poezji?

Ale czy poezja daje nam wiedzę? Raczej nie. Czy daje jakiegokolwiek poznanie? Z pewnością jakieś tak. Ale to nie naukowe, ani filozoficzne poznanie obiektywne, lecz wyłącznie pewien rodzaj samopoznania oparty na wsobnej wizji, na wewnętrznym samooglądzie i samoprzeżywaniu. Poezja jest działaniem, jak na to wskazuje grecki źródłosłów jej nazwy

(*poiein* – działać). Poemat, czyli rezultat owego działania, zawiera treści tego specyficznego doświadczenia egzystencjalnego, które się w nas dzieje nieustannie, gdy tylko byt swój staramy się uczynić jakoś przejrzystym, pojętym, i przyswajalnym dla niego samego tak, aby – niczym Bóg – mógł o sobie powiedzieć: jestem tym, kim jestem. Doświadczenie to jednak uczy nas, że te boskie słowa są nam odmówione pod groźbą pogwałcenia prawdy.

Byt nasz bowiem z natury swojej jest niepełny i nienasycony. Jest nie tym, czym jest, ale tym, czym się staje. On nigdy nie jest u siebie, nigdy cały w sobie, lecz zawsze poszukujący siebie, wychylony poza swoje granice, które zresztą bardziej podobne są do zmiennych i oddalających się linii horyzontu, niż stałych brzegów morza. Ten byt nasz wiecznie poszukuje siebie samego, swojej pełni, skończonego dosytu swego istnienia, tak jak ziarno rzucone w głębę nie spocznie w swoim rozroście, póki nie stanie się spełnioną rośliną dojrzałą, entelechią. Kres wzrastania ludzkiego bytu i stan jego całkowitej dojrzałości byłby realny wówczas jedynie, gdyby mógł on o sobie powiedzieć te boskie słowa: jestem tym, kim jestem.

Może zresztą słowa z Księgi Rodzaju o stworzeniu człowieka na obraz i podobieństwo Boga skrywają w swej tajemniczej głębi tę prawdę i zarazem metafizyczno-eschatologiczną nadzieję. Jest to nadzieja na wyjście z istnienia w czasie. Na wypłynięcie z Herakliteskiej rzeki zmienności do Parmenidejskiego morza trwania. Wtedy nie będzie już nam potrzebna pamięć, to marne narzędzie spajania tego, co ulotne, w złudną postać rozsypującej się wiecznie całości. I nie będzie potrzebna żadna filozofia i najbardziej nawet metafizyczna poezja, bo nic już nie będzie wymagało szukania, nawoływania, ani scalania. Wszystko będzie na miejscu i scalone. Nie będzie ani nieszczęśliwej świadomości, ni szczęśliwych rzeczy, ani ich wzajemnego oddalenia i sporu. Będzie tylko tożsame z sobą ISTNIEĆ. Ono powie: jestem tym, czym jestem. Ale to wszystko nastąpi wtedy, kiedy nas nie będzie i rzeka czasu pogrąży się całkowicie w oceanie wieczności.

Tymczasem jednak mówi się, że sztuka i literatura po to są, aby utrwalać to, co przemija, aby unieśmiertelnić to, co śmiertelne, uwiecznić chwilę. Twierdzenia te, choć popularne i wchodzą do repertuaru obiegowej mądrości eseistów i różnych myślicieli, głoszą treści wewnętrznie sprzeczne. Bo jakżeż można uczynić trwałym to, co z istoty swej jest nietrwałe? Trzeba by zmienić jego istotę, naturę. A to by znaczyło jednak, że artysta jest nie tylko twórcą, lecz i stwórcą, więc Bogiem. Lecz to już czyste szaleństwo.

Któż z nas może zmienić naturę czasu, skoro go nawet zrozumieć nie jesteśmy w stanie? Czas bowiem jest doskonale irracjonalny. I jest też

doskonale ironiczny. Daje nam jedną ręką to, co zabiera drugą. Daje bogactwa świata i życia, mówi do nas: patrzcie, to wszystko co widzicie, istnieje naprawdę. Istniejecie wy sami. Wasze dążenia i wszelkie nadzieje nie są fikcją, lecz żywną treścią waszego życia. Mówi dalej: głęboki sens ma wasza praca, owoce jej wysiłków nie ulegną roztrwonieniu. Pracujcie więc, dążcie do celu, bierzcie świat w swoje posiadanie. I mówiąc to, czas, aby nie być gołosłownym, odsłania przed nami coraz to nowe obszary rzeczywistości, nowe ziemie, nowych ludzi, przyjaciół, wrogów, nowe przeżycia, radości i smutki, które bez jego udziału byłyby dla nas na zawsze zakryte. I tak jak wiatr przypędza do brzegu morza lub wielkiego jeziora coraz to nowe fale z drugiego krańca horyzontu, którego linia, ginąc we mgle, nasuwa nam myśl o nieskończoności, myśl o tym, co pewien grecki filozof nazwał pięknem i tajemniczo dziś dla nas brzmiącym słowem *apeiron*, tak czas napędza nam przed oczy i uszy coraz to nowe fale wrażeń i wydaje się jak ów boski *apeiron* niewyczerpanym dawcą tego, co istnieje.

Ale jego wspaniałomyślność ma nazbyt wiele z istoty pozorów, aby można cieszyć się jej blaskiem naprawdę. Oto bowiem czas nie daje nam niczego za darmo. Otrzymujesz nowe, ale tylko pod warunkiem, że oddajesz stare. Jeśli oglądasz piękne drzewo z jednej strony, a chciałbyś je obejrzeć z innej, musisz porzucić poprzedni punkt widzenia. Nie możesz bowiem widzieć drzewa ze wszystkich stron jednocześnie. Tak jak nie możesz żyć jednocześnie we wszystkich porach dnia i roku i we wszystkich fazach swojego życia. Wszelkie przemieszczanie się jest zawsze utratą tego, co się aktualnie posiada i zdobywaniem nowego. I tak tylko istniejemy w przemianach, czyli w czasie. Tyle od czasu otrzymujesz, ile mu oddajesz. Bilans zatem wydaje się tu być doskonale zerowy. Ukoronowaniem tej metafizycznej buchalterii jest ostateczne rozliczenie z życia: Otrzymałeś je za darmo, boś przecież wyłonił się z nicości do bytu, z nie-życia do życia, a więc jak gdyby dostałeś coś za nic. Ale tak jest tylko na początku. Na końcu zaś odwrotnie: umierając, oddajesz życie i przyjmujesz nie-życie, zabrano ci byt, dano nie-byt, a więc oddałeś coś za nic, jakkolwiek by to *nic* rozumieć.

I tak ostatecznie czas wymierza doskonałą sprawiedliwość, dając nam tyleż życia co śmierci, tyle bytu co niebytu.¹ Misterium życia i śmierci widziane w kategoriach czasu znajduje swoje rozwiązanie w stanie metafizycz-

1 Por. zachowany fragment z Anaksymandra, filozofa, który był twórcą koncepcji *apeironu*: „A to, co jest początkiem istniejących rzeczy, to też z konieczności stanie się ich zgubą. Ponoszą bowiem nawzajem karę sprawiedliwą za niesprawiedliwość swoją w porządku czasu”.

nego zera bezwzględnego. Musi zatem ostatecznie być tak, że jeżeli życie, istnienie jest prawdą, to czas jest pozorem, a jeśli czas jest prawdą, to życie pozorem. Taka wydaje się stąd wynikać logika. Jednakże logika ta nie daje nam żadnego pocieszenia, gdyż sama nie wskazuje wyjścia z zamkniętego kręgu wzajemnie znoszących się członów tego wniosku-twierdzenia. Stoimy przed paradoksem, jeśli nie przed absurdem. Ani bowiem nie jesteśmy w stanie umysłem swoim pojąć tego, iż czas jest nierealny, ani tego że życie nie jest prawdą. Wszak istniejemy jednak jakoś i naprawdę doznajemy czasu i nawet poznajemy go, skoro jesteśmy w stanie pomyśleć o bez-czasie, czyli o czymś, co jest czasowi przeciwne.

Tak więc wracamy do sytuacji wyjściowej, czyli do kłopotu świętego Augustyna. Spróbujmy jednak jakoś sobie odpowiedzieć: Czas, tak jak życie jest niepoznawalny w swojej istocie. Wiemy, że jest, poznajemy jego przejawy i skutki, ale on sam w pełni swego majestatu, w swej najgłębszej istocie tak jak życie jest tajemnicą. Znamy go jako przyczynę różnych następstw, ale nie znamy przyczyny jego samego. Słyszymy głos, lecz nie widzimy wołającego. A zatem rozważania prowadzone w duchu logiki empirycznej, nie dając ukojenia naszemu myśleniu, zdają się odsyłać je i skłaniać do przyjęcia jakiegoś irracjonalnego wymiaru, czy wręcz podłoża rzeczywistości. Wydaje się, że to co racjonalne jest tylko powierzchnią, głębia zaś jest irracjonalnej natury. I właśnie w tej tajemniczej głębi, w przestrzeniach irracjonalnego znajduje się klucz do ostatecznego wytłumaczenia wszystkiego. Ostateczna racja czasu i naszego istnienia w czasie, jak również racja wszystkiego, co racjonalne. Bo to, co racjonalne, ma swe korzenie w tym, co irracjonalne.

A z tym co irracjonalne najbardziej spokrewniona jest poezja. I ona to, być może, jest jedynym naszym głosem, na który odpowiada ze swojej niepojętej głębi Byt. Bo on ma naturę poetycką – zaczyna się słowem a kończy milczeniem i, tak jak wielka poezja, mieszka w nieogarnionej ciszy, która jest nim samym, i która jest także odpowiedzią na nasze pytanie: Czym w istocie jest czas, i czym jest to, co się w nim rodzi i w nim umiera?

Kazimierz Świegocki

Przekład **Anny Bańkowskiej****Rudyard Kipling****Mandalay**

Gdzie pagoda stara w Moulmain patrzy sennie w morską toń,
 Tam birmańskie dziewczę siedzi, o mnie myśli, wsparłszy skroń.
 Wiatr rozwiewa palmy liście, dzwon świątynny woła: „Hej,
 Wróć, brytyjski żołnierzyku, do nas wróć, do Mandalay!”

Wróć się, wróć do Mandalay,
 Gdzie flotylla rzeką mknie,
 Słyszysz, jak się turkot niesie z Rangunu po Mandalay?
 Tam gdzie szlak do Mandalay,
 Gdzie fruwią ryby, gdzie
 Brzask jak nagły piorun spada na zatoki cichy brzeg!

Halkę miała żółciutką, a czepeczek zielony,
 Supi-yaw-lat jej imię, tak jak królewskiej żony.
 Gdy pierwszy raz ją ujrzałem, cygaro wielkie kurzyła,
 Na bożka stopę glinianą całusy słodkie trwonila.
 Bałwan z gliny – istny cud –
 Zowią go tam Budda, bóg!
 Wiem, gdzie wszystkich bożków miała, gdy się ze mną całowała,
 Tam gdzie szlak do Mandalay...

Gdy słonko nad polem ryżu jak przez sitko mgłą przesiewa,
 Ona swoje banjo bierze i „Kulla-lo-lo” mi śpiewa.
 Ramię jej przy mym ramieniu, a twarz tuż przy mojej twarzy,
 Słonie ciągną pnie po błocie, statki dymią, tylko marzyć!
 Słoń mozolnie wlecze tek
 Przez błotnisty rzeki brzeg,
 A poza tym wielka cisza, słowo powiesz – i masz grzech!
 Tam gdzie szlak do Mandalay...

Lecz to dawno odpłynęło, roztopiło się w mgle złej,
 Nie kursują autobusy na trasie bank – Mandalay;
 I pojąłem tu, w Londynie, sens starego wygi słów:
 „Gdy usłyszysz raz zew Wschodu, nic już nie chcesz, bywaj zdrów!”

Nie, niczego nie chcę stąd!
 Tylko czosnku ostrą woń
 I to słońce, i te palmy, i świątynnych dzwonów ton,
 Tam gdzie szlak do Mandalay...

Szlag mnie trafia, że zelówki o ten nędzny zdzieram bruk,
 Że angielska wstrętne mżawka żre mi kości, trawi mózg!
 Znam laleczek ze trzydzieści w Chelsea, Strandzie, czort wie gdzie,
 Wszystkie bają o miłości, lecz cóż jedna z drugą wie?

Końska gęba, szorstka dłoń,
 Cóż wie taka – bo i skąd?
 Była słodka, smukła panna i zielony, cudny łąd,
 Tam gdzie szlak do Mandalay...

W byle łajbę - i za Suez, tam gdzie cnota budzi śmiech,
 Gdzie z przykazań nie pytają, gdzie zapiszesz każdy grzech!
 Gdzie świątynne dzwony słyszeć, tam me serce, tam mnie goń,
 Gdzie pagoda stara w Moulmein patrzy sennie w morską toń.

Tam gdzie szlak do Mandalay,
 Gdzie flotyła stara, gdzie
 Nasi marli niczym muchy w pochodzie na Mandalay!
 Tam gdzie szlak do Mandalay,
 Gdzie fruwają ryby, gdzie
 Brzask jak nagły piorun spada na zatoki cichy brzeg!

Przełożyła Anna Bańkowska

Joseph Rudyard Kipling – (ur. 30 grudnia 1865 w Bombaju, zm. 18 stycznia 1936 w Londynie) – angielski prozaik i poeta. Zdobył światową popularność wierszami o brytyjskich żołnierzach służących w koloniach oraz przygodowymi opowieściami zaliczanymi do klasyki literatury młodzieżowej. Uchodził za piewę imperializmu, dostrzegał jednak wartości kulturowe ludów podbitych. Ukazywał kolonializm jako posłannictwo białej rasy, której powinnością jest krzewienie zasad europejskiej cywilizacji. Lata młodości spędził głównie w Indiach, które są egzotycznym tłem jego najbardziej znanych utworów: powieści *Kim* oraz opowiadań fantastycznych *Księga dżungli*. W licznych artykułach i wystąpieniach okolicznościowych komentował najważniejsze wydarzenia polityczne na świecie. Jego niezwykle poczytna twórczość budziła skrajnie różne oceny krytyków. W roku 1907 został wyróżniony literacką Nagrodą Nobla „w uznaniu przenikliwości, oryginalnej wyobraźni, śmiałych pomysłów i wybitnego talentu narracyjnego”.

Przekłady Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Viktor Fischl (Avigdor Dagan)

GARNCARSKI TARG NA KAMPIE

Dom przy domu garncarze
zwinną nogą rozpędzają kręgi,
ugniatają palcami mokrą glinę
w formę dzbanów,
odzwierciedlających
obłoczek kształtów pięknych kobiet
we wszystkich barwach tęczy.

Na niektórych ptaki stroszą pióra,
a na innych powiewają najbarwniejsze wstęgi,
a do wszystkiego kogut przyłączył
swe pianie, które nocą trzymał
w pełnych płucach jak jeńca, a dopiero rano
wypuścił z klatki
i zapłacił nim wszystkie długi.

A każdy dzban słońcem błyszczy, każdy wyglansowany
jak jabłko na szafie, jak order za zasługi,
jaśniej niż łódki w czasie żniw i jak dziecięcy śmiech,
jak mleko, jagody, po deszczu liście młode.
I błyszczy dalej, nawet w cieniu, gdy je na targ wynieśli
pod rozłożyste kasztany, jeden w jeden dzbany.

A każdy podobny jest do wierszy,
czy do garncarzy – tylko dlatego,
że raczej z poetami niż z alchemikami
na miedzach poszukują złota,
gdzie glebę z głębi wydobyły pługi,
i ugniatają glinę tak jak słowa,
aż zaświeci w ciemności – i dzban i poemat –
we wszystkich barwach tęczy.

POSĄG ŚWIĘTEGO JERZEGO

Trzeci dziedziniec zamkowy;
na koniu z brązu święty Jerzy
kopią w smoczą paszczę mierzy,
w zięjące gardło ją zanurzy.

Z gargulców stroją grymasy z góry
diabły, chichoczą, skrzeczą puchacze,
za wachlarzami skryte twarze
dziewcząt, a obok drwią potwory.

Czy wiara może przenosić góry?
Uwierz, a skończysz pod pręgierzem,
rozpłyniesz się jak w morzu łyż,
kostuchy skrzą się ciętym dowcipem.

Księżyc się w chmurach zanurza,
aż nagle nietoperza błonę
przenika światło. W paszczy wyszczerzonej
tkwi pewnie kopia. Buchał z niej płomień,
dogasa już.

BERTRAMKA

Pan Mozart do tej pory wygrywa na starodawnym szpinecie
w pokoju z fotelikami, które jeszcze znały krynoliny,
potakująco kiwa do taktu zegar kolumnowy,
na chwilę trzeba było odłożyć jedwabny wachlarz,
aby białe dłonie mogły zaklaskać.

A tymczasem srebrny flet tylko czeka na zmierzch,
a potem rozdzwięczy się cichą, przecichą pieśnią,
którą słyszy tylko księżyc, kochankowie w altanie
i jaskółki w gniazdach, tu ulepionych,
a w których teraz żadna nawet nie puści pary z dziobka.

A wszystko o co pytasz – jak to jest możliwe,
 że nie ucichły trąbki polowe i bębny,
 skoro Mozart gra menueta na staroświeckim szpincie.

NAD GROBEM FRANTISZKA HALASA

Otwiera się ziemia, pod której osłoną
 ukryte się dzieje dzieją.
 W mroku bratasz się z podziemną rzeką,
 z ziarnem, co kielkuje pod śnieżną zawieją.

Szczytem gór wysoko wznosisz się za mgłami,
 do swych przyjaciół – gwiazd się garniesz.
 Gwiazd, tych nocy krwinek,
 które razem z tobą przepływają nami.

Już głos twój wtapia się w kogucie pienia
 w poranną miesza się muzykę naszą,
 kiedy to czas się pieni aż do wrzenia,
 już blisko koguty pieją i śmierć płoszą.

Z czeskiego przełożyła Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Przekłady znajdują się w przygotowywanym wyborze wierszy Viktora Fischla (Avigдора Dagan) pt. *Praskie przechadzki*.

Za zgodą rodziny autora. Utwory pochodzą z tomiku *Dom pod trojgiem skrzypiec* opublikowanego przez emigracyjne wydawnictwo „Poezie mimo Domov”, Monachium, 1981.

Victor Fischl (Avigdor Dagan) urodził się w 1912 roku w Hradcu Kralove, zmarł w 2006 r. w Jerozolimie. Studiował prawo i socjologię. Przed wojną był aktywnym działaczem żydowskich organizacji. Pisał artykuły do czasopism syjonistycznych i znanych gazet, współpracował z radiem, w 1933 r. zadebiutował tomikiem wierszy. W roku 1939 wysłano go do Londynu z poufną misją załatwienia wiz brytyjskich dla najbardziej zagrożonych działaczy żydowskich. Misję tę spełnił, lecz po wkroczeniu Niemców do Czechosłowacji nie miał już dokąd wracać. Podjął pracę w emigracyjnym ministerstwie spraw zagranicznych, gdzie należał

do najbliższych współpracowników Jana Masaryka. (Po latach ta znajomość zaowocowała książką wspomnieniową *Rozmowy z Janem Masarykiem*.) Był sekretarzem czechosłowackiego PEN Clubu, który w 1940 r. współtworzył na emigracji. Po wojnie wrócił do Czechosłowacji i pracował w MSZ. Po zagadkowej i tragicznej śmierci Masaryka w 1948 r. zdecydował się na emigrację. O decyzji tej ostatecznie przesądziła odmowa wydania jego *Pieśni o żalu*, powieści, która w 1947 roku uzyskała międzynarodową nagrodę Europejskiej Fundacji Kultury. W roku 1949 zamieszkał w Izraelu, nauczył się hebrajskiego, przyjął nazwisko Avigdor Dagan i przez ponad trzydzieści lat pracował w służbie dyplomatycznej. Był ambasadorem Izraela w Jugosławii, Islandii, Austrii, Norwegii, Japonii, Birmie, a także w Polsce w latach 1961-1964. Przyjaźnił się tu m.in. z Idą Kamińską i Antonim Słonimskim, którego znał z czasów londyńskiej emigracji i z którym tłumaczyli nawzajem swoje wiersze. Spotykał się często również z Władysławem Bartoszewskim, który wspomina go w swoich pamiętnikach.

Po przejściu na emeryturę poświęcił się pracy pisarskiej. W Czechach opublikował około pięćdziesięciu książek z literatury pięknej. Znany jest głównie jako prozaik. Pisał wiersze, powieści, opowiadania, książki dla dzieci, prace historyczne i publicystyczne oraz przekładał literaturę obcą. Literaturę piękną pisał tylko po czesku, publicystykę po angielsku, a teksty urzędowe po hebrajsku.

Po wyjeździe z Czechosłowacji publikował niewiele, i to wyłącznie w oficynach emigracyjnych, bo jego książki znalazły się na indeksie. Dopiero po aksamitnej rewolucji w 1989 r. był częstym gościem w Czechach i wydano wiele jego książek. W 1991 r. został odznaczony orderem T.G. Masaryka. W roku 2004, wraz z pisarzem Josefem Škvoreckym, otrzymał prestiżową nagrodę im. Jaroslava Seiferta, a w roku 2005 nagrodę *Gratias agit* za zasługi za granicą dla Republiki Czeskiej. Jeszcze przed śmiercią Fischl został uhonorowany przez Międzynarodową Komisję astronomiczną nadaniem jego imienia nowo odkrytej planetoidzie. Niestety dokumentu już nie odebrał.

W Polsce twórczość prozatorska Fischla-Dagana ukazywała się drukiem w przekładach Andrzeja S. Jagodzińskiego (*Opowieści jerozolimskie*), Leszka Engelkinga (fragmenty powieści *Dworskie błazny*), Krzysztofa Rejmera (*Pieśń koguta*). Wiersze Fischla drukowano w polskiej prasie literackiej i prezentowano w radiu. Na antenie Polskiego Radia w roku 2005 miało premierę zrealizowane przez Andrzeja Piszczatowskiego słuchowisko *Sny o Pradze i Jerozolimie* według wierszy i opowiadań Viktora Fischla. (kbj)

Projekt okładki: Piotr Życieński



Przekłady Joanny Jagiełło

Anne Sexton (1928-1974)

Umarli znają prawdę

*Dla mojej matki, urodzonej w marcu 1902, zmarłej w marcu 1959
i mojego ojca, urodzonego w lutym 1900, zmarłego w czerwcu 1959*

Odchodzę sprzed kościoła. Wystarczy, to koniec,
niech idzie beze mnie do grobu procesja usztywniona,
niech zmarli w karawanie pojedą samotnie.
Jest czerwiec. Braniem się w garść jestem już zmęczona.

Jedziemy więc na Cape*. Dobra się być staram
dla siebie, gdy słońce nierówno przez chmury przeziera,
tam gdzie kołysze się morza żelazna brama
i mnie dotykasz. To w innym kraju się umiera.

Najdroższy, wiatr tak szarpie jakby biły w nas
z białego serca wody wyjęte kamienie
i cali wchodzimy w dotyk. I nikt nie jest sam.
Mężczyźni potrafią zabić – za tylko to lub tak wiele.

A co z umarłymi? Oni boso leżą
w łódkach z kamienia. Są bardziej kamienni
niż morze, gdyby przestało falować. I nie chcą
by błogosławić ich gardła i oczy i kostki u ręki.

* Cape – Cape Cod, półwysep w stanie Massachussets, zwykle nazywany po prostu 'Cape'.

The Truth the Dead Know

*For my Mother, born March 1902, died March 1959
and my Father, born February 1900, died June 1959*

Gone, I say and walk from church,
refusing the stiff procession to the grave,
letting the dead ride alone in the hearse.
It is June. I am tired of being brave.

We drive to the Cape. I cultivate
myself where the sun gutters from the sky,
where the sea swings in like an iron gate
and we touch. In another country people die.

My darling, the wind falls in like stones
from the whitehearted water and when we touch
we enter touch entirely. No one's alone.
Men kill for this, or for as much.

And what of the dead? They lie without shoes
in their stone boats. They are more like stone
than the sea would be if it stopped. They refuse
to be blessed, throat, eye and knucklebone.

Gwiazdzista noc

*To nie uwalnia mnie od ogromnej potrzeby – mówiąc wprost –
potrzeby religii. Wtedy wychodzę w noc malować gwiazdy.*
– Vincent Van Gogh w liście do brata

Miasto nie istnieje
albo tylko tam, gdzie czarnowłose drzewo
wślizguje się jak topielica w nieba żar.
Miasto milczy. A noc aż kipi od wrzących gwiazd.
Gwiazdzista, gwiazdzista noc! Chcę umrzeć
właśnie tak.

Więc one żyją. W trzepocie drgań.
Księżyc-pomarańcz pulsuje żelastwem
jak bóg co odpycha dzieci, by nie patrzyły mu w twarz.
Stary wąż się przemknął, połknął kilka gwiazd.
Gwiazdzista, gwiazdzista noc! Chcę umrzeć
właśnie tak:

w noc pędzącą, co jest jak czart
którą wessał ten wielki smok, odszczepić się
od życia – bez flag,
bez podbrzusza,
po co płacz.

The Starry Night

That does not keep me from having a terrible need of – shall I say the word – religion. Then I go out at night to paint the stars.

– Vincent Van Gogh in a letter to his brother

The town does not exist
except where one black-haired tree slips
up like a drowned woman into the hot sky.
The town is silent. The night boils with eleven stars.
Oh starry night! This is how
I want to die.

It moves. They are all alive.
Even the moon bulges in its orange irons
to push children, like a god, from its eye.
The old unseen serpent swallows up the stars.
Oh starry starry night! This is how
I want to die:

into that rushing beast of the night,
sucked up by that great dragon, to split
from my life with no flag,
no belly,
no cry.

Przełożyła Joanna Jagiełło

From *The Complete Poems* by Anne Sexton, published by Houghton Mifflin Company. Copyright © 1981 by Linda Gray Sexton. Used with permission.

Anne Sexton, właśc. Anne Gray Harvey (ur. 9 listopada 1928 – zm. 4 października 1974), poetka amerykańska. Po urodzeniu drugiej córki (1955) zachorowała na ciężką depresję i podjęła pierwszą próbę samobójczą. Pisanie poezji zostało jej zalecone przez psychiatrę jako autoterapia. Wstąpiła na bostońskie warsztaty literackie, gdzie poznała słynnych wykładowców, m.in. poetów Maxine Kumin, Roberta Lowella, a także Sylvię Plath, z którą się zaprzyjaźniła. Szybko zaczęła odnosić sukcesy, drukowała w znanych czasopismach. Jako jedna z pierwszych pisała o menstruacji, masturbacji, zdradzie, aborcji, tematach dotychczas uważanych za niepoetyckie tabu. Była zaliczana do konfesyjnego ruchu poetów lat 50. i 60. XX w. (Confessional Movement), ale nie lubiła tej etykiety. Mówiła o sobie, że jest raczej „gawędziarką”, która „dobrze wie, na czym polega różnica między prawdą poetycką a prawdą doślovną”. Zmarła śmiercią samobójczą u szczytu powodzenia. (*opr. red.*)

Przekład Anity Janowskiej

Heinrich Heine

Z „Księgi pieśni”

Masz diamentów stosy i pereł warkocze
I masz najpiękniejsze i najśłodsze oczy,
Cały świat masz, miła, i to bez starania.
Czego więcej pragnie moja ukochana?

Oczu twoich piękno legion strof opiewa
Pieśni nieśmiertelnych, którem ukradł z nieba
Słyszać w nich eolskiej harfy cudne grania
Czego więcej pragnie moja ukochana?

Oczami pięknymi tak mnie udręczyła
Że się wreszcie we mnie dusza wypaliła
I umarła dusza męką tą stargana
Czego więcej pragnie moja ukochana?

*

Miauczą klarnety, smyczki zawodzą
I blacha ryczy i bębny grzmią.
Druhny weselny korowód wodzą,
Bo dziś mą miłą zaślubi on.

Wyją puzony, gitary brzęczą
Dzban wina niosą pachółki.
W górze na harfach łkają i jęczą
Białe niewinne aniołki.

*

Nie kochasz mnie, nie kochasz mnie.
 Wiem, trudno, nie dbam o to.
 Wystarczy mi, że widzę cię,
 Jak żebrak cudze złoto.

*

Śnił mi się dziś znów stary sen,
 Że noc była majowa,
 A cicho w szumie starych drzew
 Przysięg dźwięczały słowa.
 Wśród pocałunków przysięg moc
 Czułe szeptanych od nowa,
 Zaś bym owych przysięg pomny był,
 Mą rękę ugryzłaś Droga.

O słodka, miła, kąśliwa ma,
 Jam cenił to przysięganie.
 Tak piękne były przysięgi twe,
 Lecz zbędne było kąsanie.

Zatrute są moje pieśni
 I takie już pozostaną.
 Jad w życie moje wsączyłaś,
 Trucizny wiersz przenikają.

Zatrute są moje pieśni
 I takie już pozostaną.
 Żmij wiele w sercu mym noszę
 I jedną – najbardziej kochaną.

*

Kastraci dziś narzekali
 Słyszając me głośnie śpiewanie,
 Skarżyli się i mówili,
 Że głos mój brzmi nader wulgarnie

I nagle tkliwie i czysto
Zabrzmiały małe głosiki.
Tryle jak kryształ przejrzyste
Na szczyty się wzniosły muzyki.

Śpiewali o czulej tęsknocie
I o miłości wieczystej
A damy we łzach tonęły.
Gdy piękno odczuły tak czyste.

*

Kochali się...

Kochali się bardzo, lecz żadne
Wyznać drugiemu nie chciało.
Patrzyli na siebie spode łba,
A każde z miłości cierpiało.

Rozstali się w końcu i potem
We śnie się tylko widzieli,
A kiedy już dawno umarli,
Nic o tym nie wiedzieli.

*

Gdy wam zwierzałem moje cierpienie,
Widziałem w oczach waszych znudzenie,
Lecz gdy cierpienie ująłem w rymy,
Zyskałem nagle wiele estymy.

*

List, który wczoraj mi dałaś,
Nie mógł mnie wcale zasmucić.
Nazbyt obszernie pisałaś
O tym, że chcesz mnie porzucić.

Pisany kaligraficznie
Manuskrypt na pożegnanie?
Nie pisze tak długo, tak ślicznie,
Kto się na zawsze rozstaje.

*

Najmilsza moja o błękitnych oczach,
Mało ci było mych wyznań?
Zawsze mówiłem, że cię kocham bardzo,
A ty nie słuchałaś mnie, przyznaj.

Prawda, bez ciebie, w pokoju samotny
Mówiłem o tym tak szczerze,
A kiedy byłaś, jak posag milczałem,
Wpatrzony w kościelne wieże.

Sfruwały stamtąd wtedy złe anioły
I zamykały mi usta.
O Boże, mój Boże, przez te złe anioły
Smutek dziś we mnie i pustka.

*

Tak, to są te same oczy,
Co mnie czule pozdrowiały
I te same widzę usta,
Co mi życie umilały.

I głos słyszę ten sam ciepły,
Co mógł zawsze udobruchać.
Dziś gdym wrócił do ojczyzny,
Już nie umiem go wysłuchać.

I gdy białe znów ramiona
Tak jak dawniej obejmuję,
Inny jestem, pusty jestem
Tępym sercem nic nie czuję.

*

Gdy co dzień rano przechodzę
Koło twojego domu,
Widzę cię moja mała,
Patrzysz w dół po kryjomu.

Oczy masz ciemnobrunatne,
Zerkasz zza białej story
I myślisz: czego mu braknie
I kim jest ten człowiek chory.

„Jestem niemieckim poetą
W kraju mym bardzo znanym,
Gdy mówią nazwiska wielkich
I ja jestem wymieniany.

A czego brak mi w tym kraju,
Brak wielu, jak ja znękanym.
Gdy mówią o tych, co cierpią,
I ja jestem wymieniany”.

*

Że kocham cię pieseczku,
O tym ty dobrze wiesz.
Gdy cukier daję ci w palcach,
To wiem – poliżesz i zjesz.

Ty chcesz być tylko pieskiem
I nie udajesz lwa,
Lecz reszta moich przyjaciół
Niestety ten zwyczaj ma.

*

Bratu, z egzemplarzem FAUSTA

Czytaj, choćbyś miał pobłądzić
W mrokach wierszy, które wielbię,
Lecz gdybyś zrozumiał wszystko,
Diabeł zgłosi się po ciebie.

Christian Johann Heinrich Heine, właśc. Harry Chaim Heine (ur. 13 grudnia 1797 w Düsseldorfie, zm. 17 lutego 1856 w Paryżu) – niemiecki poeta pochodzenia żydowskiego, także prozaik, krytyk, publicysta. Przedstawiciel romantyzmu, zwykle wiązany z ruchem Młodych Niemiec (Junges Deutschland 1830-1848), choć sam siebie do niego nie zaliczał. Swą wysoką pozycję w kulturze europejskiej i światowej zawdzięcza przede wszystkim liryce, w szczególności utworom tworzących „Księgę pieśni” (1827, w Polsce 1880). Do wielu jego utworów muzykę komponowali słynni muzycy, m.in. Robert Schumann i Franz Schubert. Był ulubionym poetą polskich twórców okresu pozytywizmu, a dla wielu nawet nam współczesnych wciąż pozostaje niedoścignionym wzorem myślenia romantycznego i poetyki o swobodnej acz szlachetnej frazie, która korzystając między innymi z ironii, satyry, żartu, gry słów, zaskakującej metaforyki potrafiła nadawać potoczności w języku i tematom pospolitym powagę godną literatury i rozważań filozoficznych. Jego wiersze tłumaczyli m.in. Adam Asnyk, Felicjan Faleński, Marian Gawalewicz, Czesław Jankowski, Maria Konopnicka, Adam Konopnicki, Aleksander Kraushar, Miron (Aleksander Michaux), Stanisław Jerzy Lec, Robert Stiller (*opr. pmn*).

Przekład Grzegorza Łatuszyńskiego

Miraš Martinović

Hymn orficki

(Modlitwa znaleziona w grobie jakiejś kobiety. Pochodzi z VI/VII wieku przed Chrystusem. Zwykłymi, bezpośrednimi i wzruszającymi słowami opisuje ona wędrówkę duszy przez Ziemię Zmarłych oraz los, jaki ją czeka)

Kiedy wstąpisz do miejsca pobytu zmarłych

Po lewej stronie znajdziesz źródło.

Tuż przy źródle rośnie śmigły biały cyprys.
Do tego źródła za nic nie podchodź.

Zobaczysz drugie źródło, które wypływa z czasu
Wspomnień.

Z niego bije świeża woda. Strażnicy go pilnują.

Powiesz im: „Jestem córką ziemi i gwiezdne
Nieba.

Jest to wam znane. Męczy mnie wielkie pragnienie.
Ja umieram. Dajcie mi zimnej wody
Co wypływa z jeziora wspomnień”

I oni pozwolą ci pić z boskiego źródła.

I od tej chwili jako heroina włączyć będziesz
Bezkresem.

Kiedy Lukan przybył do Rzymu

Kiedy Lukan
Przybył do Rzymu
Księżyc był w pełni

Wszystko
Tchnęło
Pełnią

Wśród przepychu
Śmiał się
Demon

Wszystko przypominało
Dojrzały owoc
Który

Własna
Słodycz
Trawi

Biblioteka Kallimacha

Jakie szczęście?
Żyć między 300 i 240 przed Chrystusem.
Być Kallimachem.
Obywatelem Aleksandrii.
Bibliotekarzem
W bibliotece Aleksandryjskiej.

Przemierzyć dziesięć jej pomieszczeń,
Otrzymać polecenie od Ptolomeusza II
Sporządzenia *Katalogu*.

Musiał być szczęśliwy
Ten Kallimach.

(Autor ponad 800 książek. Mówią!)
Największy poeta epoki hellenistycznej.
A może i nieszczęśliwy. Kto to wie?

W dzień układał *Katalog*.
Porządkował książki. Robił streszczenia.
A w nocy śnił jak Biblioteka
Staje się Uniwersum,
Które się nie da dosięgnąć
I wprowadzić do *Katalogu*.

Następnie odwiedzał owych dziesięć pomieszczeń
Szczęśliwy, że swoimi krokami może
Przemierzyć przestrzeń
Co zawiera całą mądrość świata.

Zawsze trochę niespokojny
Z powodu możliwych pożarów
I cezara.

Pieśń garncarza

Od dawna nie mam ręki.
Nie formuję amfor.
Nie formuję waz.

Od dawna moje palce
Nie formują gliny,
Gliny nie formują.

Potłuczone są naczynia,
Które formowały
Moje niegdysiejsze palce.

Wzdłuż dróg, po których
Wędrowały karawany.

Tam, gdzie są osady
Ludzkie.

Pozostała
Pieśń,
Którą śpiewałem.

Kiedy formowałem wazę
W Rizinium.*

Pieśń przetrwała

Słuchać ją
Słyszę ją.

* Antyczne miasto na miejscu dzisiejszego Risanja w Boce Kotorskiej.

Studnia w Medunie*

Przez którą przechodzą cienie z tamtego świata

Kto tu gasił pragnienie,
Kto się opierał na tym murze?

Woda skradła jego twarz.
Woda skradła wiele twarzy,
Wiele spojrzeń.

Przez otwór tej studni
Cienie schodziły w inny świat,
A dusze w niebo.

Granica dwóch Światów.

Pieczęć każdego wieku
Wyciśnięta została na murze.

Dusza budowniczego miasta
I dziś błędząca wokół
Przychodzi, żeby się napić.

Powiadają: Spragniony umarł.

Męczy go
wieczne pragnienie.

25 lutego 2010

* Stare miasto Ilirów Meteon z IV i III wieku przed Chrystusem, położone nieopodal dzisiejszej Podgoricy, którego mury obronne zachowały się w dość dobrym stanie do dziś, zdobyte zostało ok. 167 roku przez legiony rzymskie, a ostatni król iliryjski Gentios wraz z rodziną trafił do niewoli.

Zegar słoneczny

*Kamienny obelisk w ruinach Doklei... kiedyś za pomocą
Jego cienia
W tym mieście mierzono czas...*

Stałem prosto!
W środku tego przepięknego niegdyś miasta.
Wyciosali mnie kamieniarze
Z pobliskiego kamieniołomu
I tu dostarczyli.

Postawili,
Żebym stał,

Żebym mierzył czas.

Obcowałem ze słońcem,
Rzucałem cień i

Mówilem im, która jest godzina.

Stałem,
A oni przechodzili. Tak jak dni przemijały
I noce.

Przemijały lata.

Dogadywałem się ze słońcem,
Co mam im powiedzieć.

I oni przemijali,
Ci, którzy swoje życie
harmonizowali z moim cieniem,
Z jego krótkością i długością.

Odmierzając czas,
Sprawy i dni,
Mierzyli swoje troski i
Radości,
Nie myśląc lub czyniąc to czasami,
O swojej przemijalności.

I przeminęli,
Miasto i ludzie, którzy
W nim mieszkali.

Zostałem sam

Wśród nicości.

Szeptuję się ze
Słońcem.

Znów przemijały dni, lata
I wieki.

Zmywały mnie deszcze – tak został wytarty

Teraz już nieczytelny
Zapis, który jeden z mierniczych czasu
Wpisał.

Pozostały tylko dwie litery z imienia

RA...

A ja dalej leżę
W gruzach,

W których nikt nie mierzy czasu.

29 czerwca 2010

* Doklea, potem zwana Dulją, była starożytnym rzymskim miastem, które znajdowało się w pobliżu dzisiejszej Podgoricy, przy ujściu Zety do Moračy. Duklja to również najstarsza nazwa państwa powstałego na ziemiach dzisiejszej Czarnogóry, które za dynastii Vojslavljeviciów w XI wieku uzyskało koronę królewską. Jego późniejszą kontynuacją była Zeta, a następnie Czarnogóra.

Przełożył Grzegorz Łatuszyński

Miraš Martinović, jeden z najbardziej autentycznych i najważniejszych pisarzy czarnogórskich, poeta i prozaik, którego twórczość zarówno poetycka, jak i prozatorska oscyluje między tematami antycznymi i zapomnianymi pejzażami Czarnogóry.

Urodził się w 1952 roku. Mieszka w Herceg Novim. Zadebiutował w 1974 roku zbiorem wierszy: „Mit o czereśni”. Kolejne jego tomiki wierszy to „Modlitwa mrówki” 1985, „Kręgi na piasku” 1991, „Zima z Mandelsztamem” 1994, „Tabula smaragdina” 1997. Płodniejszy jest jednak jako prozaik, ma bowiem w swoim dorobku 12 powieści, z których kilka zostało przetłumaczonych na albański, włoski, hebrajski i turecki. Jest laureatem szeregu prestiżowych nagród krajowych i zagranicznych.

Przekład Grzegorza Łatuszyńskiego

Slobodan Vukanović

Labirynt

Zmarłeś w chwili
W której zapragnąłeś wieczności
Śmierć jest karą za piękno

Myśl jest ratunkiem przed zapomnieniem
Kometę która spadnie na pustkowiu
Tysiąc lat później można
Fałszywie ocenić i zinterpretować

Wszystko jest początkiem
Tak jak wszystko jest granicą
Równoprawność jest w popiele
W popiele rzeczy i bytów

Archeolog odczytuje znaczenia
Ty oceń kto miał rację
Albo bądź Hamletem

Od ciekawości boli głowa
Mrówka mierzy wszecz
Ptak wzwyż
Oliwka kusi owocem i trwaniem
Figa jest królową chwili

labirynt jest naszym losem

Nie ma już

Żaba skrzeczy
Moje spojrzenie ubiera się w pragnienie

Trafiłem do pudła
Marzę o wolności

Pętla to kwiat strachu
Pieśń również nie niesie nadziei

Przyszłości nie ma
Przeszłość jest chwilą raju

Wolność nie może uciec z klatki
Moje spojrzenie ubiera się w pragnienie
Chwila to wiek
Czekanie wieczność

Czas mnie prześcignął
Co niedokończone poprawić się nie da

Zazdroszczę oliwce cierpliwości
Róży zarozumiałości i zapachu

Nie ma już przebaczenia i skruchy
Minął okres trwałości

Oszustwo

Ryby marzą o świetle
Człowiek ze strachu wymyśla wiarę

Dzień jest stracony
Jeśli nie uловиłeś Nic

Włóż je do pudełka
Żeby oszukiwać siebie i innych

Labirynt II

Cudem jest szczęście
Psychika to zagadka

Posłuchaj kołysanki
Lekarstwa na złudzenia

Labirynt jest największym wynalazkiem
Ciągłe masz nadzieję

Łowy

Liście wędrują
Złota rybka pływa

Sieć jeszcze marzy
Kto wpadnie

Perła czeka na poławiacza

Alibi

Kiedy jestem motylem
Myślę jak kwiat

Moja medytacja to mniszek
Nasienie do czytania i patrzenia

Złudzenie jest oszustem
Szuka alibi dla strażników

Powrót

Liść podróżuje
 Mrówka przestawia ziarnko piasku
 A Penelopa...
 Czeką na marynarza i podróżnika

Nadzieją jest dźwięk rogu
 Latarnia jest świetlikiem
 Odyseusz to wieczny zawód
 Los lub przygoda

Powrót to wahadło
 Dla Odyseusza i Penelopy

Przełożył Grzegorz Łatuszynski

Slobodan Vukanović (1944), Czarnogórzec, mieszka w Podgoricy, jest poetą, eseistą i dramatopisarzem. Opublikował kilkanaście tomików poetyckich, m.in. „Zvezdano perje” (Gwiazdne pierze), „Kuće mirišu na maglu” (Domy pachnące mgłą), „Djevojčica sa glavom pomorandže” (Dziewczynka z głową pomarańczy), szereg dramatów i słuchowisk radiowych oraz dziesięć książeczek dla dzieci.

W Warszawie nakładem Oficyny wydawniczej „Agawa” ukazał się wybór jego poezji pt. „Świetlisty owoc” w przekładzie Agnieszki Syskiej. Wiersze Vukanovicia prezentowane są w ponad 30 antologiach, panoramach i wyborach. Znalazły się również w czarnogórskich podręcznikach szkolnych.

Od szeregu lat wydaje Magazyn Literacki „Quest”, w którym jako redaktor naczelny wiele miejsca poświęca polskiej literaturze, w szczególności poezji. W bieżącym roku opublikował duży blok współczesnej poezji polskiej (15 poetów, 100 wierszy) w wyborze Grzegorza Łatuszyńskiego i w jego przekładach na język czarnogórski.

Jego poezja tłumaczona była na angielski, włoski, słoweński, macedoński, polski, węgierski, rumuński, bułgarski, rosyjski, białoruski, arabski, kazachski, turecki i albański.

Przekład Grzegorza Łatuszyńskiego

Milan Orlić

Ciemny kwiat

Podobny do strzały Zenona: od zawsze w drodze,
 ale nigdy przecież
 na końcu drogi. Do określonego celu nie dotarł.
 Trochę w wiecznym
 błędzeniu między niepoprawnie zbłąkanym Ahaswerem
 i odosobnionym bibliotecznym
 Hyperionem. Jako pasja obojętny, z pewnością
 gdzieś – kto wie, gdzie? –
 kielkuje, wzbiera i rośnie ten kwiat. Komuś,
 wierzę, nawet świat.
 W życiu moim osiadł jego fatalny
 zapach. Wchodzę w sześćdziesiąty
 szósty rok i może dlatego każde
 spojrzenie w niebo
 wywołuje uśmiech na mojej twarzy i serce grzeje.

O próżności

Ja też dwudziestodwulatkiem byłem i wrażeniem,
 że mogę wszystko, żyłem,
 po wszystko, czego zapragnę na szerokim globie,
 mogę ręką sięgnąć sobie.
 Mogę choćby do nieba, myślałem, i mocno schwycić dzień.
 I że przez zepsucie, co narasta,
 przez naturalne bezprawie miasta,
 oto wyłącznie ja mam przyzwolenie na wszelkie zachcianki.
 I że moje pragnienia
 nigdy nie szeszczą. I że na nie czas mi daje
 dni niezliczone.
 Wspominam sobie to miłe zauroczenie właśnie

teraz, kiedy siedząc w ogrodzie
 jak w raju, wśród rozkwitających gladioli,
 petunii
 i azalii cynicznie więdnę tylko ja, stary
 bon vivant, dla którego
 życie było cudownie łaskawe. Wszystko inne buzuje i rośnie.
 Rano, gdy
 pomyśle, by pójść do łazienki, po prosu mi się
 nie chce. Nie ma nic,
 czego bym jeszcze nie poznał: o sobie i świecie,
 poza godziną,
 w której wszystko dla mnie zgaśnie. Ale
 czego miałbym się
 bać? Poranka, kiedy nikt już nie zastuka
 do moich drzwi?
 Oskarżającego uczucia, że coś może jednak
 przepuściłem? To, czego nigdy
 i w żaden sposób nie powinienem był przepuścić? A może
 musiałem to uczynić?

O nowym początku

Zaświtał i ten poranek. Od dawna już przeczuwałem, że będzie
 to wczesny
 ranek, świtanie dnia, w którym starzec przeżyje
 w końcu chwilę,
 jaką go przez całe życie straszono. Jeśli było
 to wyczekiwanie
 lub nawet odliczanie, można w końcu tak nazwać,
 Wyprzedziłem
 własny metabolizm. I gdy już się
 nie udało siebie poznać,
 niech przynajmniej z własnej decyzji zrobię coś dla siebie.
 Może to będzie
 jakaś postać eutanazji. Postanowiłem więcej
 nie czekać.
 Po prostu zamilknąć: dlatego stanąłem przed

lustrem swojego
życia i zobaczyłem, iż wszystko już się od dawna
zdarzyło i że
nikomu nic nie mogę o tym powiedzieć.
Wiem, kto owego
ranka pierwszy otworzył drzwi do mojego pokoju i próg
przekroczył.
I to zupełnie wystarczy na nowy początek.

Charon mówił łagodnie

Jeszcze tylko westchnienie i to będzie to: Jak kiedyś
we śnie, gdy mnie
przywoływał.
Chodź. Charon mówił łagodnym
głosem, wspomagany
delikatną gestykulacją rąk. Swobodnie przejdź na
drugą stronę,
nie bój się, śmiało zostaw wszystko za sobą. Ty i tak
z mgły kosmicznej
tworzyłeś świat. Czas już, żebyś wreszcie
odpoczął. To i tak
jest tylko nowym początkiem, nie martw się. Nigdy
nie podnosił
głosu, nigdy się nie złościł. Tylko cierpliwie
zapraszał, żebym przeszedł
na drugą stronę. Nie prosił, mówię, nie
groził. Uważnie
słuchałem i, nie wiedząc dlaczego, opierałem się w milczeniu.
Miałem
to dziwne uczucie, że czegoś brakuje. Niewątpliwie
brakuje,
żebym całym sercem przeszedł na drugą stronę.
Ale teraz,
kiedy spokojnie siedzę w tej łodzi i całym sercem
przechodzę
na drugą stronę, pamiętam tylko łagodność

jego głosu. I motyla,
 co niemal niezauważalnie zatrzepotał
 swoimi małymi
 skrzydełkami: jakiś świat gaśł pewnie
 gdzieś
 na końcu, kto wie, jakiego kosmosu. Jakaś jaskółka, oto,
 przeleciała może
 przez mały rynek miejski tuż nad sennym
 spojrzeniem jakiegoś chłopca,
 w którego oku: na chwile może zaiskrzyło
 odbicie owego trzepotu:
 świata dalekiego kosmosu: ogona jaskółki, co przelatowała
 tuż nad bezgłośnymi
 uderzeniami jego serca, które odbijały się może echem
 w jakichś kosmosach.

Strażnik ognia: piekielnie atrakcyjny zawód pisarza

Tak było: zawód pisarza piekielnie atrakcyjny,
 czasami może
 gorzki, ale patrząc tylko z zewnątrz. Dawno to minęło,
 dawno minął
 ten czas, kiedy dworski ogrodnik
 oznaczał grzędy
 poety. Trzymał w swoich rękach dworskie
 pieczęcie. Podczas długich
 zimowych popołudni w ciepłej berżerze, przy
 ogniu z kominka
 rozkoszował się w pałacu królewskim. Jawnie
 używał w prześciganiu się
 o przychyłość królewską: w prześciganiu się literackich
 garbusów, którzy dopiero co uciekli
 z katakumb, które na literackich cmentarzach
 apatycznie
 zaludniali. Minęły te czasy, dawno minęły
 te cudowne czasy.
 Albo na turniejach: kiedy przybywali jeszcze

z dalekich
 królestw, by konkurować o rękę
 księżniczki miłością
 i pięknem. Od kiedy
 zmarł nasz biedny król
 i księżniczkę tanio
 sprzedano do białej niewoli, a dworski ogród
 chwastem i ostem
 obrósł, zawód pisarza nie jest atrakcyjny
 tylko przeklęty.

Przełożył Grzegorz Łatuszyński

Milan Orlić, serbski poeta, prozaik, eseista, filozof, urodził się w 1962 roku w Pančevie (Serbia), studia filozoficzne odbył na Uniwersytecie Belgradzkim, pracę doktorską obronił na Monash University w Australii. Wykładał na wielu uniwersytetach europejskich i światowych, m.in. w Pradze, Brnie, Gdańsku, Poznaniu, Wrocławiu, Opolu, Krakowie i Paryżu. Uczestniczył w ponad 30 konferencjach naukowych serbskich i światowych oraz w kilkudziesięciu międzynarodowych festiwalach poetyckich.

Opublikował kilkanaście książek, prezentowany jest w ponad 20 krajowych i zagranicznych wyborach, antologiach i leksykonach. Jest laureatem szeregu prestiżowych nagród literackich, m.in. Nagrody im. Isidory Sekulić, Nagrody im. Milana Rakicia i Nagrody im. Branka Miljkovicia.

O jego twórczości opublikowano ponad sto tekstów krytycznoliterackich w Serbii i w czasopiśmiennictwie światowym.

Poezja i eseistyka Orlicia tłumaczona była na 15 języków, w tym również na język polski.

Jest redaktorem naczelnym czasopisma „Sveske” (Zeszyty). W tym roku opublikował w nim wielki blok współczesnej poezji polskiej (15 poetów, 100 wierszy) w wyborze Grzegorza Łatuszyńskiego i w jego przekładach na język serbski.

Alicja Patey-Grabowska (Steffen)

Satyry

W karnawałowym tramwaju

W karnawałowym tramwaju
zasznurowani w maski
chowamy twarze głęboko
pod grubą warstwą tektury.
Wokół cyrkowi ludzie:
arlekiny i błazny.

Na ustach pieczętki
NIE OTWIERAĆ

lub zerwane zwisają
sznurki od plomb.

Jedne ze sklepu „Uśmiech”
obdarzone w uśmiechy –
cienkie fałdki zadarte wokół ust.

Inne żałosne, z bruzdami do ziemi.

Są też gładkie jak płótno
naciągnięte na wałek.
Maski – pewnie najdroższe –
Nic nie oznaczają.

Pchła

Energiczna
Żywotna
Niebezpieczeństw unika
Skacze

Niewybredna
Dla żarcia
gotowa w sierść kundla

Wybiera ofiary słabe
które siebie drapią

Czai się w szczelinach
wypatrując momentu
Miejsca nie zagrzewa
Z łóżka na łóżko
Z fotela na fotel

Osiół

Ciągnę wózek
jak koń
jestem clownem
zabawką dla dzieci

Kiedy stoję dęba
jak koń
kiedy biję kopytem
jak koń

Mówią:
– „Ma upór ośli”

Nie ma mnie bez innego

Z José Angelem Leywą

rozmawia Krystyna Rodowska¹

Krystyna Rodowska – Urodziłeś się w wiosce zagubionej w górach, w rodzinie z dziesięciorgiem dzieci, borykającej się z wieloma ograniczeniami. Myślimy najczęściej, że dzieci, które miały trudne dzieciństwo, nie są później w stanie osiągnąć życiowego sukcesu. Twój przykład podważa tego rodzaju sądy: wydaje się, że wszystko, nawet bariery i przeszkody do przezwyciężenia, narzucone Ci przez Twój życiowy start, stały się z czasem Twoim wewnętrznym bogactwem. Mam na myśli ślad, jaki Twoje dzieciństwo odcisnęło na pamięci i wyobraźni już dojrzałego poety, widoczny w wierszach z tomu *Duranguaños*. Słowo to nie istnieje w języku potocznym, jest wymyślone przez Ciebie. Wiem, że Durango to nazwa stanu na północy Meksyku i stolicy tego stanu, gdzie chodziłeś do szkoły średniej, a także do kina *Imperio* wraz z Twoją babcią. Ty jednak bawisz się tą nazwą, odkształcasz ją, nadajesz jej jakiś wymiar fantazmatyczny, jakbyś chciał w ten sposób nabrać nieuniknionego skądinąd dystansu do własnych wspomnień. Czy mógłbyś sam skomentować motyw tego rodzaju słowotwórstwa? Co chcesz powiedzieć przez to nieprzetłumaczalne słowo „*Duranguaños*”?

José Angel Leyva – W rzeczywistości urodziłem się w stolicy stanu o tej samej nazwie, w Durango. Moi rodzice mieszkali wówczas w górach Durango, w wiosce, która paradoksalnie nosiła nazwę „Miasto”. Zachowałem wspomnienia oparte na wydarzeniach realnych, a także na fantazjach, jakie towarzyszyły mi w czasie pierwszych lat mojego życia. Można myśleć, że pewne rzeczy mi się przyśniły, ale to są wspomnienia zmysłowe i namacalne, które pozwalają mi przywołać obłok pary unoszący się nad wanną, w której matka kąpała mnie i starszą siostrę w czasie chłodów; miałem wtedy nie więcej niż cztery lata. Ognisko domowe kojarzy mi się od tej pory z nieodłącznym ciepłem,

1 Rozmowa opublikowana w tomiku José Angela Leyvy *Wiersze*, którego promocja wraz ze spotkaniem z tym meksykańskim poetą na zaproszenie Oddziału Warszawskiego SPP odbyły się w Domu Literatury 22 maja 2017 r.

doznaniem jakby wnętrza macierzyńskiego brzucha. Ojciec mój był nauczycielem szkoły podstawowej, z przekonania i z powołania. Kochał przyrodę i ludzi, którzy odpłacali mu taką samą miłością aż do jego śmierci. Z powodu wszystkich przejawów czułości i przywiązania, jego pogrzeb przypominał festyn. Musieliśmy wynająć trzy ciężarówky, żeby zawieźć na grób te wszystkie wieńce od przyjaciół z gór i z wielu innych miejscowości.

Babcia, matka mojego ojca, także nauczycielka, była niepoprawną kinomanką. Wcześniej owdowiała, zajęła się wychowaniem szóstki swoich dzieci. W mieście Durango na wieczornych seansach można było zobaczyć trzy filmy, toteż ona biegała od jednego kina do drugiego, żeby zobaczyć filmy meksykańskie i westerny, kręcone w wielu wypadkach w Durango, operujące rozmaitymi ujęciami tamtejszych krajobrazów. Kino *Imperio* należało do jej ulubionych, bo było blisko domu i miało najlepszy repertuar.

Pejzaż Durango, to głównie ziemia jałowa, pustynna, nad którą rozpościera się niebo z odcieniem szmaragdu, „niebo, które jest bardziej niebem”, jak zauważył kolumbijski poeta Juan Manuel Roca. To olśniewające światło i z pewnością także tania siła robocza ściągają tutaj wielu reżyserów i producentów filmowych ze Stanów Zjednoczonych. Tutejsi, patrząc pod światło, marszczą brwi, mrużąc przy tym oczy, co nadaje im wygląd zagniewanych, choć w rzeczywistości są to ludzie szlachetni i przyjaźnie nastawieni do innych, tyle że na pierwszy rzut oka sprawiają wrażenie podejrzliwych ponuraków. Ta dwuznaczność przełożyła się na aliterację „Durango – huraño” (przymiotnik „huraño” oznacza człowieka nieokrzesanego, burkliwego, ponuraka). Oczywiście, to tylko gra słów, która jednych drażni, a drugich śmieszy. Zauważyłem jednak, że oni sami coraz częściej mówią o sobie „duranguraños”.

Jak to się stało, w jakim momencie i z jakiego powodu postanowiłeś związać swoje życie z literaturą? Ukończyłeś studia medyczne, miałeś nawet zrobić specjalizację z psychiatrii. Co skłoniło cię do zmiany kierunku zainteresowań: jakieś wydarzenie? Jakaś lektura czy lektury? Czy to był proces czy iluminacja?

Nie potrafię odpowiedzieć ci precyzyjnie na te pytania. Po prostu nie mogłem wyobrazić sobie siebie jako lekarza, kiedy już de facto nim byłem i pracowałem w szpitalu psychiatrycznym. Nagle wszystko wydało

mi się aż do bólu przewidywalne, włączając w to własną śmierć, na granicy ostatecznej nudy. Poezja nie była dla mnie i nie jest zawodem, lecz formą życia bez jakiejkolwiek gwarancji czy programowania. Po prostu wybrałem coś, co wydało mi się byciem w drodze... Literatura była ryzykiem i jest nim wciąż. Jest także dla mnie drogą zbawienia, ujęcia z życiem. Mówiąc inaczej, jako lekarz przeżywałem czyjeś cierpienie w sposób aseptyczny, nie zarażając się nim, podczas gdy pracując w słowie, nie tylko się żyje, lecz odzyskuje życie.

Jesteś pisarzem wszechstronnym: poetą, prozaikiem, eseistą, autorem wielu rozmów jakie przeprowadziłeś z innymi pisarzami, uprawiasz także eseistykę, związaną z malarstwem. Kierujesz pismem literackim „La Otra” (Inne), po doświadczeniu współ-szefowania, w ciągu jedenastu lat, pismu „Alforja” (Sakwa), które także było poświęcone przede wszystkim poezji. Jesteś człowiekiem wielu zainteresowań i wielu poszukiwań w labiryntach słowa. Przy tym rozpisaniu siebie na głosy, myślę, że jesteś jednak przede wszystkim poetą, dysponującym rozpoznawalną, tobie właściwą poetyką, bynajmniej niełatwą w odbiorze. Zrobił na mnie szczególnie wrażenie Twój sposób dobierania się do zagadkowej materii wspomnień w wierszach z tomów *El Espinazo del Diablo*, *Duranguraños* i *Habitantes*. Każde przywoływanie cieni dzieciństwa staje się dla Ciebie jakimś szczególnym wyzwaniem, jakąś rozpaczliwa walką o dotknięcie przeszłości palcem, ze świadomością, że jest to przecież niemożliwe. Twoje zaklinania przeszłości to nie tyle narracje, czy obrazy, lecz przede wszystkim ćwiczenia z kondensacji i odnawiania języka, sprowadzonego do napięć między wypowiedzianym a niewyraźnym. Jakbyś skomentował tę obserwację?

Z subiektywnej, wyłącznie mojej perspektywy, mógłbym powiedzieć o potrzebie autoterapii czy psychoanalitycznej spowiedzi. Ale w tym co się udaje wyrazić, zawiera się jakieś istotne, głębokie otwarcie na innych, a zaraz potem zdziwienie tym, co się powiedziało. Zgadzam się z poetą meksykańskim Eduardo Lizalde, gdy w swoim długim poemacie „Wszystko jest wieżą Babel” mówi o świadomości tego, czemu nadaje się nazwę lub tego, co nas nazywa, w jaki sposób nas nazywa i kto nas nazywa. Człowiek jest kimś, kto znajduje się w trakcie permanentnej przemiany, jest językiem, jest tym podmiotem określanym przez Rimbauda jako ktoś, kto zawsze jest inny od siebie samego. Podobieństwo moje do kogoś innego staje się bardziej wyraźne w miarę

jak odkrywam zmiany jakie zachodzą we mnie samym, w miarę jak zaczynam obserwować siebie z perspektywy tego innego i wtedy dopiero rozpoczyna się dialog o doświadczeniu i pragnieniach. Skończyłem właśnie czytać książkę hiszpańskiego poety Antonio Gamonedy *Un armario lleno de sombras* (Szafa pełna cieni). Jest to rodzaj pamiętnika z ciemnych czasów frankizmu i hiszpańskiej wojny domowej, czyli epoki jego dzieciństwa. Mogła to być biografia wspólna dla tysięcy dzieci tej wojny, dzieci głodu, biedy i śmierci, ale pod jego piórem stała się epifanią poety, który ponownie przeżywa cierpienie, okrucieństwo, takimi jakie widzą je naiwne oczy dziecka, nadające swoiste znaczenie terrorowi i poświęceniu, walce o godność i przezwyciężaniu strachu, miłości matki. To właśnie owa *szafa pełna* cieni oświeśla przeszłość, ożywiając ją dla przyszłych pokoleń. A przeszłość można ożywić jedynie wtedy, gdy się ją wyposaży w odpowiedni język, zdolny do odnowienia własnych zasobów i do udzielenia odpowiedzi na pytania innego czasu. Język literatury jest dla mnie narzędziem o wielu ostrzach, jak zajęcie, odpowiadające różnym motywacjom. Nie ma czegoś takiego jak utwór w stu procentach liryczny, w stu procentach epicki czy w stu procentach dramatyczny. Poezja żywi się każdą formą języka pisanego i każdym wysłowieniem. Język mówiony jest niewyczerpanym źródłem i nieustannie się zmienia. I tutaj dziennikarstwo jest jego niezmordowanym kopistą. Ale poezja, wspólna wszystkim działaniom literackim a także intelektualnym, przekonuje mnie do pracy z wszelkimi możliwymi materiałami, aby podsycać tę nieczystą i kapryśną, buntującą się przeciw wszelkim regułom dynamikę liryczną.

Jak doszedłeś do tej filozofii czasu i języka, którą tak fortunnie streszcza twoja zwężała formuła: „Jak rozległe smakuje nicość”?

Bardzo ważne dla mnie jest coś, co nazwałbym ikoniczną zdolnością języka. Gdy udaje mi się skoncentrować emocje i czas w słownym obrazie, wiem, że czytelnik zrozumie mnie, czy raczej wyczuje, dotknie. Wychowałem się w kulcie słowa, opartego na ścisłym związku z rzeczywistością, lecz widząc, że ów związek jest nie do zrealizowania, że rzeczywistość rozsypuje się pod ciężarem nazwy, doszedłem do wniosku, że ona istnieje, ale w jakimś innym miejscu, w jakimś innym czasie. Niekiedy ją spotykam, odkrywam i nazywam. Literatura jest tą lub tymi rzeczywistościami, które potencjalnie istnieją.

W twojej pracy z językiem zmierzasz równocześnie do precyzji i wieloznaczności, co wydaje się sprzeczne jedno z drugim, ale sprawia, że twoja poetyka, której awangardowe korzenie są wyraźnie wyczuwalne, jest intrygująca i atrakcyjna. Myślę, że przyswoiłeś sobie w dużym stopniu doświadczenia dwudziestowiecznej awangardy spod znaku Huidobro, Octavio Paza, może jeszcze innych poetów, których nie znam.

Tak, masz rację. Narzędzia odziedziczone po awangardowych estetykach dwudziestowiecznych przysłużyły mi się bardzo, pozwoliły zrozumieć lepiej władzę instynktu i harmonię chaosu, podświadomości, siłę wyobraźni i niezgody na konwencję. Z drugiej strony uważam, że taka jest natura języka codziennego, którym posługujemy się my, Meksykanie: jest on wieloznaczny aż do szpiku kości, ale w tej ułomności dopatruję się jego walorów semantycznych, jego potencjału ekspresji o wielkiej sile precyzji, jako że bez przesady, potrafi on wyrazić w jednym słowie, jednej formule dwa lub trzy znaczenia jednocześnie. Sekret polega na intonacji, konotacji gestu lub głosu. Oczywiście, to czysty barok, ale o niesamowitym bogactwie ekspresji. Ten sam efekt można osiągnąć w poezji.

Większość poetów to osobnicy introwertyczni, zapatrzeni we własny pępek. Czasem uprawiają kamuflaż, zasłaniając się spędzaniem czasu przy piwie czy wódce. Czyżbyś stanowił wyjątek? Bo ty najwidoczniej kultuwiesz zdolność otwarcia się na innych. Nawet pismo, którym kierujesz, nazywa się „Inne”; inne, bo nastawione na słuchanie głosów innych twórców? Przypisując wielką wagę do dialogu? Czy ten zmysł otwarcia, zainteresowania innymi zawdzięczasz upodobaniu do lektury, które tak często podkreślasz w swoich wypowiedziach?

W moim pojęciu *ja* nie istnieje bez kogoś innego. Nie ma poezji, która obywałaby się świadomości istnienia tego drugiego, innego. Nie będzie przyszłości, zginie nasz gatunek, jeżeli człowiek nie wyjdzie ze skorupy swojego egocentryzmu i zafascynowania odbiciem Narcyza w tafli wody. Każdy z nas jest indywidualnością, ale naznaczoną piętnem zbiorowości. Pismo „Inne” zrodziło się z doświadczeń promowania poezji i poetów w trakcie jedenastu lat istnienia pisma „Alforja”. Dodatkowy bodziec dla jego funkcjonowania stanowi gotowość do współpracy jaką przejawia wiele osób, które cenię i które mi są bliskie, zainteresowanych

skłanianiem ludzi do wysiłku czytania poezji. Istnieje zasadnicza różnica między piszącym wiersze a tym, kto uprawia poezję: ten pierwszy jest zakochany w swojej literaturze, podczas gdy ten drugi nasłuchuje pulsu człowieka w tym co pisze, nasłuchuje go w poezji, tworzonej przez innych, kocha poezję bardziej niż własne odbicie w wierszach. Czy można uprawiać poezję, jeśli się jej nie czyta, nie słucha, jeśli się nie rozmawia z innymi, nie wchodzi w dialog „z człowiekiem, który zawsze mi towarzyszy” – jakby powiedział Antonio Machado?

Jak widzisz rolę poety, intelektualisty w społeczeństwach latynoamerykańskich, których plagą są gangi narkotykowe, wszechwładna korupcja i trwająca wciąż marginalizacja autochtonów, czyli Indian? Czy poeta może temu przeciwdziałać? Czy poezja „zaangażowana” ma rację bytu na kontynencie, na którym słowo „poeta” zwykło się wciąż jeszcze pisać dużą literą?

Droga Krystyno, oto syn meksykańskiego poety, Javier Sicilia, 23-letni chłopak został zastrzelony wraz z sześcioma innymi osobami, na zasadzie ukartowanej zbrodni. Za co? Za nic, po to tylko, by zasiać strach i terror. W ciągu czterech lat doliczyliśmy się już 40 tys. ofiar i przewiduje się, że pod koniec rządów prezydenta Felipe Calderona liczba ta może wzrosnąć do 70 tys. Strach i przerażenie panują w kraju, będącym w stanie politycznej dekadencji, gdzie organy sprawiedliwości są kpina ze sprawiedliwości. Policja i przestępczość to jedno i to samo. Nikt nie ma zaufania ani do wojska ani do policji, ponieważ nie tylko nikogo nie bronią i nie chronią, ale to oni zabijają niewinnych ludzi. Trzeba przyznać, że my, intelektualiści, nie jesteśmy tutaj bez winy, zamykając oczy na korupcję, dla własnej wygody lub z obawy przed ryzykiem. Brak zasad etycznych, brak zaangażowania w stosunku do własnego kraju i narodu obraca się przeciwko nam z iście dantejską furją. Nie sądzę, aby poezja mogła cokolwiek wskórać w tej sytuacji, a także w wielu innych, kiedy to może jedynie dowieść swojej praktycznej bezużyteczności. Natomiast sami poeci, jako obywatele, mają pole do działania i mogą wiele osiągnąć, pod warunkiem że zdystansują się od beneficjów i przywilejów, jakie stwarza państwo, by uspić umysł i sparaliżować wolę. Na szczęście, wciąż potrafimy oburzać się i dawać wyraz otaczającej nas grozie. Ufam, że ocali nas kultura, w której śmierć nie jest wysłanniczką przemocy, korupcji czy handlu narkotykami, lecz po prostu toczy swą nieuniknioną rozgrywkę z życiem.

Jak określiłbyś relację poezji latynoamerykańskiej z europejską? A także, jak wyglądają jej powiązania, odniesienia do poezji północno-amerykańskiej, bardzo czytanej i tłumaczonej w Polsce? Z moich własnych, być może powierzchownych obserwacji, wyniesionych z uczestnictwa w rozmaitych międzynarodowych festiwalach poezji w Ameryce Łacińskiej wynikałoby, że nie ma wyraźnego, wzajemnego zainteresowania i wymiany. W epoce kwitnącego w Europie, przede wszystkim we Francji, surrealizmu, ściągały do Meksyku takie osobowości jak André Breton, Benjamin Peret, po klęsce Hiszpanii republikańskiej tworzyli tutaj hiszpańscy poeci Leon Felipe, Luis Cernuda, Emilio Prados i inni. Relacja z Hiszpanią, w porównaniu z innymi krajami, jest w dalszym ciągu uprzywilejowana, choćby z powodu wspólnego języka. Ale w Twoim piśmie „La Otra” przeczytałam niedawno, między innymi, wiersze np. Korneliusa Platelisa, litewskiego poety, w tłumaczeniu Gerardo Beltrana – meksykańskiego poety, mieszkającego stale w Warszawie. Wyszedł numer „Postdata”, prezentujący przedstawicieli starszego i młodszego pokolenia współczesnych poetów polskich, takich jak Tadeusz Różewicz, Wisława Szymborska, Julia Hartwig, Urszula Koziół, a także Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, Piotr Sommer, Andrzej Sosnowski, Bohdan Zadura, Tomasz Różycki i inni. Ciekawi mnie Twój komentarz do tych publikacji i do problemu, o którym wspominam na początku...

Już odkąd powstała „Alforja” postanowiliśmy prezentować poezję tworzoną w wielu językach, przez autorów z różnych krajów, kultur, narodowości, grup etnicznych. W samej Ameryce Łacińskiej niektóre kraje są mi bardziej bliskie, inne mniej. Ameryka Łacińska jest konglomeratem kultur tubylczych i napływowych, podbojów i adaptacji uchodźców, migracji wymuszonych także przez wojny i biedę. Natura tego kontynentu jest bez wyjątku kosmopolityczna. Każdy kraj jednak cechuje tradycja otwierania się na innych, większego czy mniejszego. W przypadku Meksyku można mówić o długiej tradycji karmienia się europejskim dziedzictwem kulturowym. W epoce Porfiriatu² dominowała kultura francuska, odkąd zaś wyzwoliliśmy się spod dominacji Hiszpanii, zaczęliśmy dzielić traumatyczną granicę ze Stanami Zjednoczonymi, które są przecież światową potęgą... Nie sędzę,

2 Porfirio Diaz (1830-1915), prezydent Meksyku, rządził autorytarnie krajem w latach 1876-1911, z czteroletnią przerwą.

by Ameryka Łacińska przestała spoglądać w kierunku Europy, myślę, że wprost przeciwnie, to metropolia europejska traktuje nas jako peryferię. Młodzi poeci meksykańscy czytają zachłannie poetów europejskich, przynajmniej tych, do których mają dostęp i nie przestają czytać poetów ze Stanów Zjednoczonych. Z kolei w Meksyku i innych krajach latynoamerykańskich są poeci wielkiego wymiaru, zupełnie nieznani w Europie. Toteż cieszę się, że przyjechał do Polski poeta tak wybitny jak Eduardo Lizalde i że z czasem tutejsi czytelnicy poznają być może twórczość innych cenionych twórców meksykańskich, takich choćby jak Ruben Bonifaz Nuno, Ali Chumacero, Francisco Cervantes, Elsa Cross, Coral Bracho, by wymienić tylko niektórych, pozostających w cieniu wielkiej postaci Octavio Paza.

Na koniec, rytualne pytanie: jakie masz plany, projekty na najbliższą przyszłość?

W dalszym ciągu wydawać „La Otra”, być czynnym na różnych planach kultury, nie zaniedbując własnej pracy literackiej, a w szczególności poezji.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Krystyna Rodowska

Podgląd jest kwartalnikiem literackim Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (OW SPP). Powstał w 2015 r. z inicjatywy prezes OW SPP Małgorzaty Karoliny Piekarskiej. Nazwę podał wiceprezes Grzegorz Łatuszyński.

Pismo jest bezinteresownie redagowane i przygotowywane do druku przez zespół, w którego skład z zasady wchodzi członkowie zarządu OW. Ukazuje się w formie drukowanej, ale przede wszystkim jest przeznaczone do czytania w formacie PDF. Numery można bezpłatnie pobierać ze strony <http://podglad.com.pl>.

W kwartalniku publikowane są utwory członków OW SPP, dokonywane przez nich tłumaczenia z języków obcych, prace krytyczne o nich, a także newsy oraz noty bio- i bibliograficzne.

Pismo powstało, aby pokazywać ogółowi naszego społeczeństwa, w tym także władzom i organizatorom kultury, jak aktywne jest Stowarzyszenie Pisarzy Polskich oraz jaki potencjał ma literatura wysoka tworzona przez twórców Oddziału Warszawskiego, największego w Polsce.

ISSN 2392-2753

00-079 Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

Tel.: +48 22 826 31 78, e-mail: redakcja@podglad.com.pl

